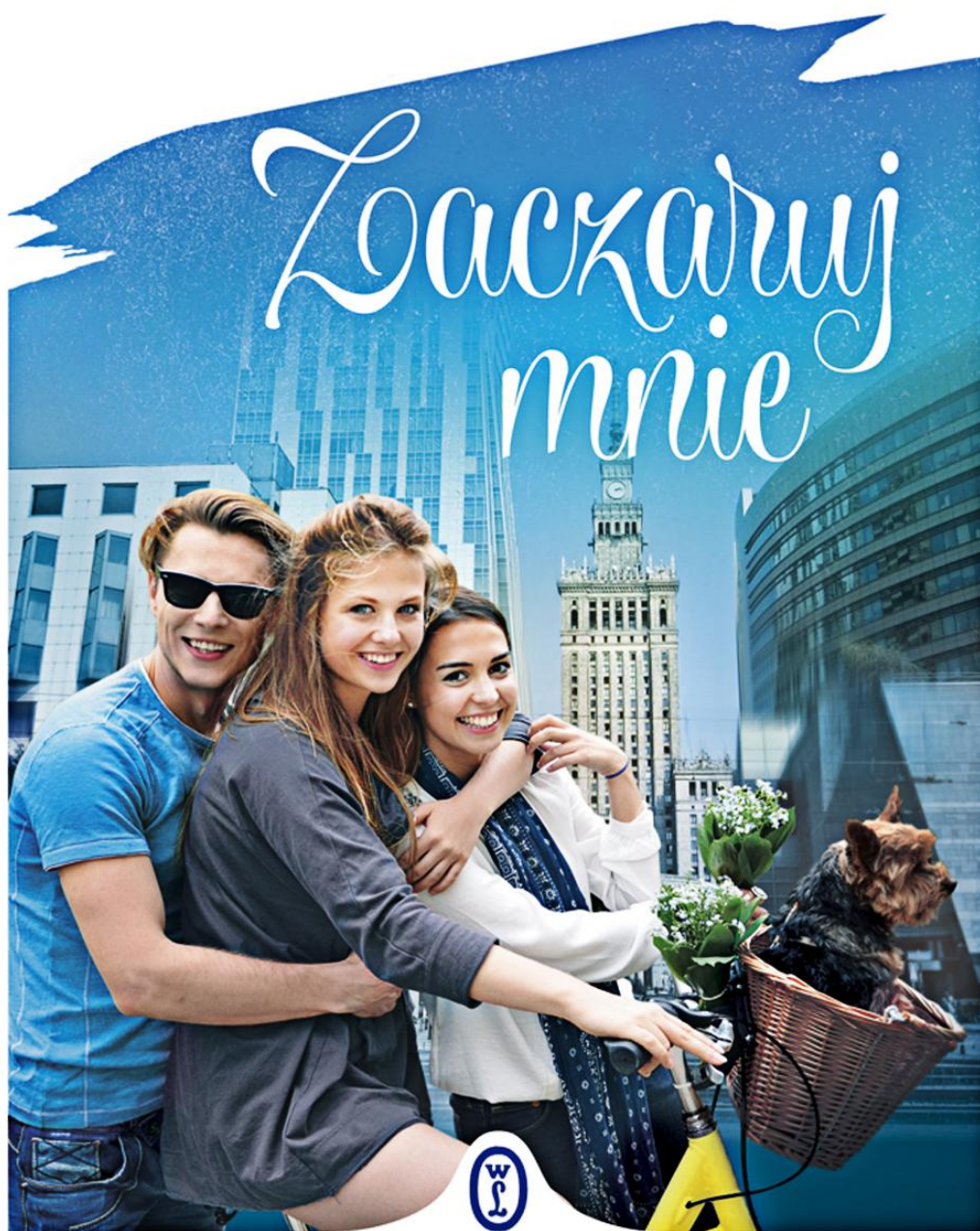


KAROLINA
FRANKOWSKA



*Od czasów serialu Przyjaciele
nie opowiedziano takiej historii o miłości i przyjaźni!*

KAROLINA
FRANKOWSKA

*Zaczekaj
mnie*

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Rozdział

PIERWSZY

Imię? — Zosia.

— Nazwisko?

— Morawiec. — Zlustrowałam spojrzeniem policjantów, którzy spisywali w parku mnie, Kaśkę i Bartka. Wyższy miał czapkę nasuniętą na oczy, ciężko było coś wyczytać z jego twarzy. Co innego niższy, który żuł zapamiętałe gumę, a z kieszeni munduru wystawały mu okulary typu lustrzanki. Wyglądał jak gliniarz wyjęty żywcem z amerykańskiego serialu.

— Panie władzo, proszę o najwyższy wymiar kary — mrugnęłam do niego porozumiewawczo. Byłam pewna, że po tym tekście nam odpuści. W amerykańskich filmach inteligentny żart zawsze zmiękcza służby mundurowe. I faktycznie, policjant spojrzał na mnie znad notatnika.

— Pięć stówek na głowę. Tyle mogę dla was zrobić tego wieczoru. Na więcej nie pozwala mi kodeks. — Pechowo gliniarz od gumy nie oglądał tych samych filmów co ja. Policjanci zajęli się sprawdzaniem naszych danych w bazie. Wyczułam na sobie spojrzenia Kaśki i Bartka.

— Trzeba było od razu załatwić nam dożywocie! — Typowa reakcja Bartka. Zamiast podziękować za próbę ocalenia, histeria z tendencją do przejaskrawiania.

— Chciałam go podejść psychologicznie — usiłowałam się bronić.

— Musiałaś przespać całe studia — syknął. Kaśka słuchała naszej kłótni w milczeniu. Nie musiała nic mówić. Jest moją najlepszą przyjaciółką, zawsze wiem, co myśli. Tym razem było to coś w rodzaju: Zośka, zabiję cię!

Wszyscy byliśmy nieco podenerwowani. Zbliżał się koniec miesiąca, więc mieliśmy zero kasy. Żeby zapłacić za wynajem mieszkania, każdy z nas zadłużył się u kogo popadnie. A tak się akurat składa, że wśród naszych znajomych nie było nikogo z listy najbogatszych Polaków, zatem znalezienie chętnych do wsparcia finansowego stawało się coraz trudniejsze. Pięć stówek mandatu nie poprawiało naszej sytuacji.

— Ja ogarnę tych policjantów. — Obie z Kaśką popatrzyłyśmy czujnie na Bartka. To koleś, który średnio po tygodniu wylatuje z każdej pracy. Powód? Niewyparzony język.

— Jesteś ostatnią osobą, która jest w stanie cokolwiek ogarnąć — odcięłam się.

— Patrz i się ucz. — Zanim zdążyłyśmy go powstrzymać, stał już przy policjantach. No i odpalił raketę: — Panowie, jesteśmy dorośli. Po co się bawić w kotka i myszkę?

— Myślisz, że nasza służba to zabawa? — Niższy mundurowy przeżuł nerwowo gumę. Miałam nadzieję, że Bartek nie powie już ani słowa więcej. Myliłam się.

— Wszyscy wiedzą, że policjanci są jak ryby, lubią brać! — Bartek zaśmiał się ze swojego dowcipu. Za to mundurowi nie sprawiali wrażenia ani trochę rozbawionych.

— Chcesz powiedzieć, że bierzemy w łapę? — wycodził ten od gumy. Ton jego głosu oznaczał dla nas jedno: kłopoty, przy których blednie pięć stówek mandatu. Zostaliśmy

zatrzymani przez patrol za picie alkoholu w parku i zakłócanie ciszy nocnej. Teraz dojdzie próba przekupstwa, czyli przestępstwo przez wielkie „P”. Staralam się na migi pokazać Bartkowi, żeby się zamknął. Tyle że on na mnie nie patrzył. Kaśka zamiast mnie wspomóc, była zajęta zakrapianiem sobie czegoś do oczu. Nie miałam wyjścia. Jak zwykle sama musiałam ratować sytuację.

— Panowie, to tylko takie żarty, kolega jest urodzonym dowcipnisiem! — Żeby nie powiedzieć pajacem, dodałam już w myśli.

— Nie rozmawiamy z panią, tylko z nim — zgasił mnie wyższy policjant. Oczami wyobraźni widziałam, jak nas skuwają i wiozą na dołek. I wtedy Kaśka wybuchnęła histerycznym szlochem, a z jej oczu wypłynęły potoki łez.

— Kupiliśmy musujące wino, bo chcieliśmy uczcić zdany egzamin koleżanki — załkała rzewnie, pokazując na mnie. — Czy to taka zbrodnia? — Spojrzała szklistymi oczami na policjantów.

— Mandat to jeszcze nie koniec świata. — Wyższy okazał się wrażliwy na kobiece łzy. Próbował uspokoić Kaśkę, ale ona nie dała się wybić z roli.

— Dla pana może nie — zachlipała — ale dla nas, biednych studentów, to... to...

— Armagedon — dokończył za nią Bartek. Kaśka wymownie zanosła się płaczem.

Policjanci wymienili niepewne spojrzenia. Nie wiedzieli, jak zareagować. Kaśka była niezwykle przekonująca w roli sierotki. Przez chwilę nawet ja uwierzyłam, że jesteśmy studentami. W rzeczywistości cała nasza trójka już jakiś czas temu zakończyła przygodę z nauką. Każdy z nas na innym etapie.

Bartek studiował marketing i bankowość. Rzucił studia pod wpływem życiowej zawieruchy, która zmiotła jego zapał do większości rzeczy — zostawiła go dziewczyna. Beata była moją koleżanką z roku. Wynajmowała mieszkanie ze mną i Kaśką. Wyjechała w ramach Erasmusa na pół roku do Madrytu i... jest tam do dzisiaj, już dwa lata. Bartek wpadał do mnie i Kaśki, żeby się wypłakać. W międzyczasie tak się zadomowił, że został na stałe. Dla jasności: mnie i Kaśkę łączą z nim wyłącznie relacje kumpłowskie. Bartek obecnie, jak sam mówi, jest na etapie „szukania bluesa”, czytaj: życiowego powołania.

Co do mnie, to od roku jestem magistrem psychologii i jak miliard innych absolwentów tego kierunku próbuję zacząć się w branży. Jak mi idzie? W skrócie — porażka.

Z naszej trójki tylko Kaśka jest człowiekiem sukcesu. Jako jedyna robi to, co kocha. Skończyła szkołę charakteryzacji filmowej. Pracuje na planie superpopularnej telenoweli *Szepty miłości*. Jest asystentką charakteryzatorki — właściwie jedną z kilku asystentek, ale to stan przejściowy. Kaśka zakasuje wszystkich — makijaż ma w małym palcu. Wiem, co mówię, znamy się od podstawówki. Jak szłyśmy do pierwszej komunii, pomalowała mnie kosmetykami swojej mamy, za żywopłotem przy zakrystii. Kiedy weszłam do kościoła, czułam się jak Miss Polonia. Musiałam zrobić kolosalne wrażenie. Nasza katechetka zemdląła w ramionach proboszcza. Mama do dzisiaj mi wypomina, że narobiłam jej wstydu na całe Kielce. Zwykle wszystko wyolbrzymia, ale w tym wypadku ma trochę racji. Tego dnia w naszym kościele kręcili reportaż o komuniach. Byłam głównym niusem kieleckiej telewizji. W szkole rozdawałam autografy. A to wszystko dzięki talentowi mojej przyjaciółki!

Zawiesiłam wzrok na Kaśce, która korzystając z tego, że policjanci stali do nas tyłem, zaaplikowała sobie do oczu kolejną porcję sztucznych łez. Na jej policzkach momentalnie pojawiły się świeże kaskady. Pełna profeska — widać, że dziewczyna pracuje z aktorami. Tymczasem wyższy policjant tłumaczył coś temu od gumy, pokazując sugestywnie na Kaśkę. Po

chwili podeszli.

— Jako że macie czyste kartoteki — zaczął wyższy — w drodze wyjątku zamienimy wam mandaty na pouczenie.

— Następnym razem nie będzie już taryfy ulgowej — skończył niższy, niestrudzenie mieląc szczękami swoją gumę. I kiedy wydawało się, że wsiądą do radiowozu i będziemy mieć happy end, ten od gumy o czymś sobie przypomniał. Zawrócili.

— Przyszlście do parku, żeby opić egzamin, tak? — Nasza trójka zgodnie przytaknęła.

— To po co wam łopata? — Pokazał na saperkę wystającą z plecaka Bartka. Patrzyliśmy na siebie zdezorientowani. I wtedy Bartek ni z tego, ni z owego wyjął lufkę z tylnej kieszeni spodni. Zawsze się nią bawi, kiedy intensywnie myśli. W tej sytuacji to była najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić. Jedyny plus, że lufka była pusta. Niższy mundurowy wyciągnął po nią rękę.

— Co to jest?

— Nie wiem, znalazłem to w trawie — wypalił Bartuś. Policjanci popatrzyli po sobie.

— Kolego, gdzie twoja kreatywność?

Chciałam zapytać Bartka o to samo. Mundurowi kazali nam wyjąć wszystko z kieszeni, przeszukali nasze torby i plecak Bartka. Potem odeszli na bok, żeby się naradzić. Popatrzyliśmy na siebie. Każdy z nas pomyślał o tym samym: chciał rzucić na pozostałych winę za to, co nas spotkało. Ale w obecnej sytuacji nie było czasu na dyskusje. Skupiliśmy się na podsłuchiowaniu policjantów.

— Co z nimi zrobić? Nie mają przy sobie żadnych prochów ani marychy — zastanawiał się wyższy.

— Ale mają lufkę, czyli palą ziolo. A jak palą, to mogą dilować. A jak dilują, to muszą gdzieś trzymać towar. Na przykład pod ziemią.

— To po to potrzebna im była saperka. — Na nasze nieszczęście wyższy podłapał tok myślenia partnera.

— Widziałem coś podobnego w jednym amerykańskim serialu. — A jednak niższy je ogląda! Rzuciłam Bartkowi triumfalne spojrzenie. Policjanci ściszyli głosy, po czym odwrócili się w naszą stronę.

— Możemy zobaczyć wasze legitymacje studenckie? — odezwał się wyższy. Jeśli chciał nas przyłapać na składaniu fałszywych zeznań, to trafił w dychę.

— Zostały w domu — wykazałam się przytomnością umysłu. Jednak mundurowi skwitowali moje wytłumaczenie ironicznymi uśmiechami. Teraz pałeczkę przejął wielbiciel gumy.

— Słuchajcie, wesola ferajna, albo wytłumaczycie, co robicie nocą w parku, z saperką i butelką wina, albo zabieramy was na komisariat.

Popatrzyliśmy po sobie. Problem w tym, że nie mieliśmy nic sensownego do powiedzenia. To po prostu miał być wieczór zmian... Zmian na lepsze...

* * *

16 GODZIN WCZEŚNIEJ

— I jak wyglądam?

Kaśka patrzyła na mnie krytycznie, ostentacyjnie ziewając. Fakt, wyciągnęłam ją z łóżka skoro świt. Powód? Potrzebowałam wsparcia: kompletnie nie wiedziałam, w co się ubrać. Od pół godziny wbiegałam do swojego pokoju i z niego wybiegałam, paradując po mieszkaniu w kolejnych wersjach stroju. Nie był to efekt przedawkowania „Top Model”. Zwykle mam gdzieś lans. Jedyny przypadek kiedy robię się na bóstwo, to randka. Ale po ostatniej wtopie mam

ich chwilowo dość.

Jakiś czas temu dałam się namówić Kaśce na randkę w ciemno. Tytus był znajomym jej obecnego chłopaka Pawła. Przez cały wieczór usiłował mi coś o sobie powiedzieć, nie było to jednak łatwe, bo kiedy się denerwował, zaczynał się jąkać. Nie przeszkadzałoby mi to, gdyby siedział przede mną Brad Pitt. A Tytus... no cóż — w niczym go nie przypominał. Kiedy w końcu udało mu się opanować zdenerwowanie, usłyszałam, że jeśli chcę być jego dziewczyną, to muszę przejść test na dopasowanie. Miałam nadzieję, że żartuje. Niestety, wyjął z kieszeni kartkę, na której było dziesięć pytań. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Tymczasem Tytus z namaszczeniem rozłożył swoją listę i zaczął mnie egzaminować.

— Czy w czasie seksu wolisz być na górze, czy na dole?

Było to pierwsze i ostatnie pytanie, jakie zdążył mi zadać. U mnie oblał po całości. Nieistotne.

W każdym razie dzisiaj nie stroiłam się na randkę.

— W tej bluzce możesz iść do cioci na imieniny, ale nie na taką rozmowę. — Kaśka nie miała litości. W sprawach mody była wyrocznią. Całą kasę przepuszczała na ciuchy. Dzisiaj potrzebowałam jej pomocy jak nigdy. Czekają mnie spotkanie, od którego zależała moja kariera. Albo jej brak.

Jakiś czas temu wysłałam mejla do doktor Elizy Drawicz, guru psychoterapii. Jej poradnia to mekka dla ludzi z branży. Tak się składa, że aktualnie zbieram kasę na kurs psychoterapii. Kosztowna sprawa, więc to może potrwać. W międzyczasie wypadałoby zdobyć praktyczne doświadczenie. Problem w tym, że mnie się nie udało nigdzie zaczepić. Ten mejl był kolejną próbą — tym razem sięgnęłam do półki najwyższej z możliwych. Nie liczyłam, że Drawicz w ogóle go przeczyta, a tym bardziej że mi odpowie. Prędzej spodziewałabym się zdjęcia z autografem od Anthony'ego Hopkinsa. Jakież siedem lat temu wysłałam do niego list. Napisałam, że Hannibal Lecter zainspirował mnie do studiowania psychologii. Cóż, Hopkins nie odpisał. Może się przestraszył?

Wracając do doktor Elizy — wczoraj odbieram telefon. W słuchawce odzywa się męski głos. Mówi, że jest asystentem pani Drawicz i pyta, czy rozmawia z Zofią Morawiec. Niezła zgrywa, Bartek, pomyślałam.

— Tu asystentka Zofii Morawiec — odpowiedziałam równie służbowym tonem. — Pani Morawiec nie może podejść do telefonu, gdyż obecnie jest zajęta popijaniem drinka z parasolką na Hawajach.

— Przepraszam, co mam przekazać swojej szefowej? — zapytał niepewnie głos w słuchawce.

— Daruj sobie te suchary, Bartek. — Byłam znudzona numerami swojego kumpla.

— Mam na imię Julian, pracuję w poradni doktor Elizy Drawicz — usłyszałam irytację w jego głosie. Dotarło do mnie, że właśnie zaprzepaszczam swoją życiową szansę. Wspięłam się na wyżyny elokwencji, żeby wszystko odkręcić. Udało się. Dzisiaj o piętnastej zero zero miałam się stawić w gabinecie samej doktor guru.

— Może chociaż spódnica jest okej? — Staralam się poruszać z gracją w nadziei, że w końcu usłyszę od Kaśki coś pozytywnego.

— Kratka cię pogrubia. — Nie ma to jak wsparcie przyjaciółki. — Wiesz, w czym byś super wyglądała?

— Wychodzi na to, że w niczym — odpowiedziałam podłamana.

— W moich lawendowych spodniach. Może się w nie wbijesz?

Popatrzyłam na Kaśkę wymownie. Prawdopodobieństwo, że wcisnę się w jakikolwiek jej ciuch, było równe zero. Ona — rozmiar trzydzieści sześć, ja — trzydzieści osiem, w gorszych

momentach czterdzieści.

— Coś wymyślimy. — Kaśka traktowała mój image jak osobiste wyzwanie. — Chodzi o to, żebyś wyglądała oryginalnie, ale z klasą. Własny styl świadczy o osobowości i inteligencji — zawyrokowała tonem znawcy.

— Chcesz zrobić wrażenie? — wtrącił się Bartek, który akurat wyszedł z łazienki.
— Załóż koszulkę ode mnie.

Bartek w wolnych chwilach wymyślał nadruki na T-shirty. Mnie i Kaśce sprezentował po jednym ze swoich dzieł. Każdej z nas wymyślił inne hasło. Na mojej koszulce było napisane: „Pij mleko — nie daj się wydoić”, a na Kaśki: „Kocham życie — Anna Karenina”.

— Chyba nie mówisz poważnie?! — wybuchnęła Kaśka.

— Mnie mój T-shirt przyniósł szczęście. — Bartek pokazał na swoją koszulkę z napisem „O w mordę, jutro też jest dzień”. — Szef był pod wrażeniem. Przyjął mnie z miejsca.

— Sprzedajesz hot dogi! Może gdybyś ubierał się inaczej, dostałbyś jakąś poważną robotę! — odparowała Kaśka. Wiedziała, jak potoczy się ta wymiana zdań. Zawsze kłócili się o to samo. Bartek wierzył, że dzięki swoim koszulkom zostanie milionerem. Według Kaśki nie było na to szans.

— Człowieku, zejdź na ziemię. Nikt normalny nie wyda kasy na koszulkę z grafomańskim tekstem.

— Nie takie rzeczy przechodziły w necie. Jedna panna wrzuciła na społecznościówkę zdjęcie swojego kota. Nagle cała sieć oszalała na jego punkcie. Trafił na okładkę „Vogue’a”, Oprah zrobiła z nim wywiad, a Hollywood kręci o nim film. Panienka od sierściucha jest teraz milionerką. I co ty na to? — Bartek spojrzał na Kaśkę wyzywająco.

— To kup sobie kota! — wypaliła Kaśka.

Miałam dość — przyjaciele, zamiast mnie wspierać, skakali sobie do oczu. Zatrzasnęłam ze złością drzwi do mojego pokoju. Ze ściany spadła ramka ze zdjęciem naszej trójki sprzed roku — szybka, za którą była fotka, rozbiła się o podłogę. Lubiłam to zdjęcie. Zrobił je Bartek w dniu mojej obrony. Razem z Kaśką i winem czekali na mnie pod wydziałem. Kucnęłam, żeby podnieść ramkę — zza zdjęcia wypadła kartka. Po tym, jak zostałam dyplomowanym magistrem, spisałam na niej cele, które chcę osiągnąć:

Praca w renomowanej poradni.

Kurs psychoterapii.

Własny gabinet.

Niestety większość absolwentów psychologii miała identyczny pomysł na życie.

Z zamyślenia wyrwało mnie pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Kaśka. Wbiła wzrok w zdjęcie, które trzymałam w ręku.

— Bingo! Musisz wyglądać tak jak tutaj. — Pstryknęła w fotkę. — Błysk w oku i do przodu, dziewczyno!

— Będzie trudno, od tamtego czasu zaliczyłam pasmo porażek — mruknęłam.

— Błysk załatwi mój makijaż, resztę sukienka. — Kaśka zanurkowała do mojej szafy, z triumfem wydając kreację kupioną rok temu na obronę. Wtedy miałam ją na sobie pierwszy i ostatni raz. Sukienki to nie moja bajka.

— Nie wiem, czy w nią wejdę — próbowałam zniechęcić Kaśkę.

— Najwyżej wciągniesz brzuch — rzucił Bartek, wchodząc do pokoju. Stał obok mnie i Kaśki. Spojrzeliśmy na nasze zdjęcie.

— Jesteśmy przyjaciółmi, mamy się wspierać, a nie dołować — uderzyłam w wysoki ton. Chciałam wzbudzić w nich poczucie winy. Bartek i Kaśka popatrzyli na siebie porozumiewawczo, po czym dostałam od nich po kopniaku na szczęście.

* * *

Wychodząc z klatki, odruchowo rzuciłam okiem na swoje odbicie w szybie. Szok — zwykle widziałam tam niezbyt wyglądłą pannę w workowatych ciuchach, z włosami spiętymi niedbale w coś à la kok. Tym razem spoglądała na mnie laska z talią i niezłymi nogami. Poczułam na sobie wzrok naszego dozorca erotomana. Uśmiechał się do mnie obleśniej niż zwykle. Kaśka była prawdziwą czarodziejką.

— Sąsiadko, coś czuję, że w Krismas spotkamy się pod choinką. — Dziwny tekst, nawet jak na niego, w końcu był początek maja. — A wie sąsiadka dlaczego? — Udawałam, że nie słyszę, co do mnie mówi. Nie pomogło. — Bo w święta dorabiam jako Mikołaj i będę rozdawał różgi niegrzecznym dziewczynkom — zagotował się ze śmiechu. Jedno musiałam mu przyznać. Facet był tak samo zabawny jak Karol Strasburger, miałby szansę załapać się do telewizji.

Obdarzyłam dozorcę zde gustowanym spojrzeniem i ruszyłam na drugą stronę ulicy, gdzie czekał na mnie mój holender.

— Cześć, przystojniaku. — Pogłaskałam go czule na dzień dobry.

Od dwóch lat jestem w szczęśliwym związku z rodowitym holendrem z Amsterdamu. Pierwszy raz zobaczyłam go na zdjęciu w necie. Stał w słońcu, cały żółty. Wpadłam po uszy — żółty to mój ulubiony kolor. Przyjechał do mnie Eurocity dwa tygodnie później. Na początku naszej znajomości pojawiły się pewne komplikacje. Chodzi o jego niestandardowe wymiary. W skrócie — wszystko ma większe. Z tego powodu nie może jeździć naszą windą — nie mieści się do niej. Schody na trzecie piętro też odpadają. Dlatego noce spędza poza domem.

Długo szukałam dla niego odpowiedniego miejsca parkingowego. W końcu wybrałam ogrodzenie wokół trawnika przy banku. Tu mój holender jest bezpieczny. Kamery monitoringu skutecznie odstraszą potencjalnych złodziei. Jedyne minus — nie działają na psy. Skwer, przy którym postanowiłam parkować holendra, okazał się ulubionym miejscem okolicznych psiarzy. I tak każdego ranka na trawniku wielkości znaczka pocztowego czworonogi toczą wojnę o miejsce do załatwienia wiadomych spraw. Te, które nie załapią się na wolny krzaczek, wybierają inną opcję — mój rower. Dość często zdarza się, że przy kołach czeka na mnie niezbyt miła niespodzianka. Kiedy sugeruję właścicielom, żeby sprząkali po swoich pupilach, słyszę, że mogę stawiać swój rower gdzie indziej. Nie mogę. Cóż, doszło do tego, że zawsze mam przy sobie woreczek na psie kupy.

Ku mojej radości dzisiejszego ranka nie musiałam go używać. Nic nie stało na mojej drodze — mogłam odpalać swoje dwa kółka. Sięgnęłam do bocznej kieszeni torebki po kluczyk od blokady. Oczywiście kluczyka nie było. Z milion razy obiecywałam sobie, że nie będę go wrzucać luzem do torebki. I co? Zawsze kończyło się tak samo. Kucnęłam przy rowerze i wyrzuciłam zawartość torby na chodnik. Tym razem zguba wypadła pomiędzy ulotek z opisami filmów. Zbieram je, żeby wiedzieć, na co iść do kina, po czym o nich zapominam. Finał jest taki, że tacham tony makulatury, a filmy sprawdzam w necie. Nieistotne. Ważne, że kluczyk się znalazł.

Kiedy szczęśliwie uporałam się z blokadą i w końcu mogłam ruszyć, poczułam, że coś mokrego ścieka mi po sukience. Odwróciłam się — za mną z podniesioną nogą stał pies wielkości małego kota, ubrany w koszulkę „LEGIA PANY”. Kojarzyłam z widzenia obszcymurka — był głównym podejrzanym o zanieczyszczanie terenu wokół mojego holendra.

Tym razem przyłapałam go na gorącym uczynku. Mini york wyczuł kłopoty. Wyszczerył na mnie ostre ząbki i zaczął histerycznie ujadać. Wycofałam się niepewnie.

— Czyj to pies?!

Z towarzystwa wypasającego psiaki na trawniku wyłonił się napakowany typ w dresie. Nie było wątpliwości, że jest pańciem miniatury — on i pies mieli identyczne koszulki. Zgarnął yorka na ręce. Psina wtuliła się w biceps dresa, zmieniając repertuar z ujadania na żalodne skomlenie.

— Co się przydarzyło mojemu psiulowi? — W odpowiedzi yorkuś spojrział w moim kierunku, popiskując dramatycznie: pi, pi. Miniatura najbezczelniej w świecie zrobiła ze mnie oprawcę, a z siebie ofiarę. Dres kupił jego wersję.

— Podpadłaś Niuńkowi, koleżanko.

— Twój Niuniek, kolego, obsiusiał mi spódnicę!

— I w czym problem? Prawo natury.

— Prawo to jest takie, że pies ma być w kagańcu i na smyczy!

— Zakuję Niuńka w kolczatkę, pasuje ci? — Dres zaśmiał się szyderczo. Yorkuś mu zawtórował. Byłam obiektem kpiny mięśniaka w dresie i psa wielkości kota: tego jeszcze nie grali.

— Słuchaj, krótka piłka. Albo mi zwrócisz za pralnię, albo...

— Albo co? — dres przerwał mi z buta.

— Zdenerwowałaś mi Niuńka, to jest raz. — Złowieszczo strzelił palcami. — Psiulo ze stresu łapie choroby, to jest dwa. — Skomląca wredota wbiła we mnie złośliwe oczka.

— Zabulisz za weterynarza, to jest trzy. Nadążasz, koleżanko? — Kolega dres łypnął na mnie spod bejsbolówki.

Koleś, jesteś zenujący, że aż przykro cię słuchać! — Tak bym mu odpowiedziała, gdybym miała czas na idiotyczne dyskusje. Ale że się spieszyłam, wybrałam nokaut przez ignorancję. Ostentacyjnie się od nich odwróciłam. Skupiłam się na sukience. Spotkanie z doktor Drawicz mam za pięć godzin, do tego czasu plamę się zapierze i nie będzie śladu — musiałam postawić na pozytywne myślenie. Nawet gdybym chciała się przebrać, to nie miałam w co. Odjeżdżając, słyszałam za sobą głos dresa:

— Szykuj monety. Uderzę do ciebie z rachunkiem za weta! — Przyspieszyłam pedałowanie. Nie żebym się bała. Za dwadzieścia minut zaczynałam pracę.

* * *

Jeśli ktoś lubi jeździć rowerem, nie powinien tego robić w Warszawie w godzinach szczytu — istnieje poważne ryzyko, że stolica skutecznie zniechęci go do wsiadania na dwa kółka. Wiem, co mówię. Codziennie pedałuje do pracy — cyklistka kontra dziury w chodnikach, piesi i kierowcy. Moja podróż to droga przez mękę. Pełno na niej wybojów — dosłownie i w przenośni.

Przepisy nakazują rowerzyście jazdę po ścieżkach, których nie ma. Dostępu do chodników bronią piesi i straż miejska. W stolicy jazda po chodnikach jest zabroniona. Pozostają ulice. Tylko że śmiganie w korkach nie przypomina beztróskiego pedałowania ze znajomymi do Powsina. Na ulicach Warszawy toczy się wojna kierowców z rowerzystami. Nie ma takiej opcji, żeby samochód zjechał na bok, kiedy próbuję go wyminąć. Za to dziewięćdziesiąt dziewięć procent warszawskich kierowców z przyjemnością zablokuje rowerzyście drogę albo potraktuje go serią z klaksonu. Skoro on stoi w korku, to cwaniak na rowerku też nie przejedzie!

Dzisiaj nie miałam bojowego nastroju. Co prawda przechodnie też nie pałają miłością do

rowerzystów, ale przynajmniej nikt mnie nie rozjedzie. Postanowiłam zdezerterować z linii frontu — zjechałam na chodnik. Zatrzymałam się na czerwonym świetle przy przejściu dla pieszych.

— Wszystkie anioły mają dziś wolne czy tylko ty? — zagadał do mnie męski głos. Takimi tekstami czarował potencjalnych klientów pan Szczepan, uliczny handlarz towarem niewiadomego pochodzenia. Mijałam go codziennie w drodze do pracy. Nieodłączna butelka wina „Reginka” sugerowała, że pan Szczepan był zagorzałym entuzjastą napojów wysokokowych. Swoją asortyment rozkładał na kocu i próbował szczęścia. Bajer miał opanowany. Ostatnim razem usiłował mi wcisnąć plastikową torbę na zamek błyskawiczny.

— Ekstraktorba z zagranicy, markowa.

— Ciekawe, co to za marka.

— Ruska, oryginalna, jeszcze ze stadionu. — Nie dałam się skusić. Dzisiaj też pan Szczepan miał dla mnie coś ekstra.

— Po co mi blond peruka?

— Masz chłopaka?

— No nie.

— A wiesz dlaczego? — Nie wiedziałam.

— Bo szatynki mają trudniej. Założysz perukę i będziesz miała nie jednego, ale cały zastęp chłopaków. — Pan Szczepan łatwo się nie poddawał. Na szczęście światło zmieniło się na zielone. Miałam alibi, żeby dać nogę. Prowadząc rower, ruszyłam na drugą stronę ulicy. Nagle w tramwaju stojącym na pasach mignęła mi znajoma twarz.

— Piotrek...? — Chciałam podejść bliżej, ale wtedy światła się zmieniły. Musiałam uciekać z przejścia, a tramwaj odjechał. Na chwilę zawiesiłam na nim wzrok. Wydawało mi się, że wśród pasażerów widziałam mojego brata. Ale to było równie prawdopodobne jak to, że moja mama ma ognisty romans z Latynosem. Piotrek studiował informatykę na polibudzie we Wrocławiu. Gdyby był w Warszawie, na pewno dałby mi znać.

Co do mojej mamy — od czasu kiedy tata nas zostawił piętnaście lat temu i wyjechał do Australii, była sama. W momencie rozstania z ojcem wykreśliła ze swojego życia wszystkich innych mężczyzn. Jedynym facetem, jaki dla niej istniał, był mój brat Piotrek.

Nawet jeśli kręcili się przy niej jacyś mężczyźni, to nie pozwalała sobie na bliższe znajomości. Jak byłam młodsza, nawet się z tego cieszyłam. Nie wyobrażałam sobie, żeby moja mama przyprowadziła do domu jakiegoś obcego faceta i powiedziała do nas: „Ten pan będzie waszym nowym wujkiem”. Albo gorzej — że taki „wujek” mógłby z nami zamieszkać.

Teraz patrzyłam na to trochę inaczej. Oboje z bratem czmychnęliśmy z Kielc — mama została tam sama. Oprócz paru koleżanek nie miała przy sobie żadnej bliskiej osoby. W sumie mogłaby kogoś poznać. Na powrót ojca już dawno przestałam liczyć. Od swojego wyjazdu odwiedził nas raz, pięć lat temu. Kompletnie nie mieliśmy o czym rozmawiać. Teraz nasz jedyny kontakt to kartki na urodziny, oczywiście pod warunkiem że nie zapomni ich wysłać.

I niech tak zostanie, pomyślałam, wsiadając na rower. Skreśliłam z Puławskiej w Dąbrowskiego. Przede mną w głębi ulicy migotał podświetlany szyld z nieco tajemniczym przesłaniem: „JA RA”. Gdyby w neonie świeciły się wszystkie litery — a to zdarzało się raczej rzadko — można byłoby odczytać właściwą nazwę biura, w którym pracowałam: „TWOJA KARIERA”.

* * *

— Masz dychę w plecy. — Mój szef Erwin Anielak spoglądał na zegarek nie bez satysfakcji. Za każde dziesięć minut spóźnienia obcinał z pensji dziesięć zeta. Nazwał ten system „dycha za dychę”. Jak ja marzyłam, żeby powiedzieć jemu i jego firmie głośno: sayonara.

W najgorszych koszmarach nie śniłam, że z dyplomem psychologa trafię do takiego miejsca. Po obronie, zgodnie z postanowieniem, próbowałam znaleźć pracę w renomowanej poradni. Potem w jakiegokolwiek poradni. Na koniec chciałam dostać jakąkolwiek pracę w zawodzie. Ale okazało się, że to graniczy z cudem. Po tygodniach samodzielnych poszukiwań postanowiłam skorzystać z fachowego wsparcia pracownic pośredniaka.

— Obecnie mamy oferty dla budowlańców, kierowców i kucharzy — usłyszałam w Urzędzie Pracy.

— To co mam zrobić? — dopytywałam urzędniczkę, wierząc, że kobieta pomoże mi znaleźć wyjście z sytuacji.

— Przekwalifikować się — zawyrokowała urzędniczka.

— Pani nie rozumie, ja chcę być psychologiem, poszłam na studia z powołania, na obronie dostałam piątkę... — Moja historia nie zrobiła na kobiecie większego wrażenia. Przerwała mi w pół słowa.

— I po co to pani było?

— Jak to? Chcę pomagać ludziom w życiowych problemach.

Urzędniczka popatrzyła na mnie z politowaniem.

— Dziecko, a co ty możesz wiedzieć o życiu?

Mimo brutalnego zderzenia z rzeczywistością nie poddałam się. Musiałam znaleźć pracę, żeby: a) utrzymać się w Warszawie, b) odłożyć na kurs psychoterapii. Postanowiłam, że skoro nie ma ofert dla psychologów, zatrudnię się gdziekolwiek. I wtedy trafiłam na ofertę — nomen omen — z biura doradztwa zawodowego „TWOJA KARIERA”.

Erwin Anielak był „z zawodu prywatną inicjatywą” — tak się przedstawił przy naszym pierwszym spotkaniu. Firma „TWOJA KARIERA” była kolejnym biznesem w jego dorobku. Odpowiedzią na zapotrzebowanie rynku — jak mi wyjaśnił. Miałam wątpliwości, czy jako bezrobotna nie nadaję się bardziej na klientkę biura niż na doradcę zawodowego. Jednak Anielak zapewnił, że z moim wykształceniem na pewno odnajdę się w jego firmie.

— Zasadniczo stosujemy metodę opartą na psychologii — klarował mi podczas rozmowy o pracę.

— Kto opracował tę metodę? — dopytywałam zaintrygowana.

— Ja — pochwalił się Anielak. I już wiedziałam, że jego autorska metoda miała tyle wspólnego z psychologią, co ja z baletem klasycznym, czyli nic.

Według Anielaka klienci jego biura dzielą się na trzy grupy:

niezadowolonych pracujących — pracują, ale nienawidzą wykonywanego zawodu;

niezadowolonych poszukujących — nie pracują, bo nie wiedzą, czym się w życiu zająć;

niezadowolonych bezrobotnych — chcieliby pracować, ale przestali wierzyć, że cokolwiek potrafią.

— Nasze zadanie to sprawić, żeby wszyscy wychodzili od nas zadowoleni — tak brzmiała dewiza Erwina Anielaka.

Mój przyszły szef sprecyzował, na czym polega doradztwo zawodowe w jego biurze. Podczas rozmowy z klientem należało się zorientować, o jakiej pracy marzy, a potem utwierdzić go w przekonaniu, że wymarzony zawód jest w zasięgu jego możliwości. W skrócie — ściema w stylu: „chcieć to móc” i „uwierz w siebie, a wszystko stanie się możliwe”. Próbowałam

wykazać, że to nie doradztwo, tylko wciskanie kitu.

— Ludzie nie płacą nam za to, żeby podcinać im skrzydła. Jesteśmy misjonarzami pozytywnego myślenia — usłyszałam w odpowiedzi. Erwin Anielak prezentował specyficzne podejście do doradztwa zawodowego. Nie byłam pewna, czy jako magister psychologii powinnam firmować jego metodę.

— Płacę dwa siedemset na rękę!

Potrzebowałam tych pieniędzy. Tym sposobem utknęłam w biurze „TWOJA KARIERA”.

Moją pierwszą klientką była Pyza. Tak nazwałam w myśli około czterdziestoletnią kobietę z lekką nadwagą, którą Anielak wprowadził do gabinetu w dniu mojego debiutu. Zwrócił się do Pyzy, wskazując na mnie:

— Nasz doradca przeprowadzi z panią profesjonalny wywiad i pomoże w wyborze właściwej ścieżki zawodowej.

Kobieta popatrzyła na mnie, jakbym była co najmniej Buddą. Za plecami Pyzy Anielak zaczął się do mnie szczyrzyć, pokazując na swoje usta, co miało oznaczać, żebym uśmiechała się tak jak on. Uważał, że odpowiedni układ ust wzbudza w ludziach zaufanie. Zamknęłam za nim drzwi. Zostałam sam na sam ze swoją pierwszą klientką. Pyza nerwowo skubała rękaw bluzki.

— Proszę usiąść. — Kobieta przycupnęła na brzegu fotela i wbiła wzrok w podłogę. Kliknęłam w komputer, żeby utworzyć dla niej specjalny katalog. Zaczęłam zadawać standardowe pytania: jak się nazywa, ile ma lat, czy gdzieś pracuje. Odpowiadała cichym głosem, zasłaniając usta dłonią. Ledwo słyszałam co do mnie mówi.

Według kategorii Anielaka Pyza kwalifikowała się do grupy niezadowolonych zatrudnionych. Pracowała na infolinii w banku. Czuła, że się nie rozwija, dlatego postanowiła zmienić pracę. Zapytałam, czy ma jakieś zainteresowania. Pyza oblała się rumieńcem. Wyduszenie z niej odpowiedzi zajęło mi dobre piętnaście minut. Kiedy w końcu usłyszałam, jaki jest jej wymarzony zawód, odpadłam. Pyza chciała być instruktorką salsy. Oglądała „Taniec z Gwiazdami” i poczuła, że taniec, a salsa w szczególności, to jej żywioł. W podstawówce chodziła na kurs. W salsie była najlepsza w całej szkole.

Okazało się, że Pyza już ma gotowy plan działania. Na dniach zamierza się zwolnić z pracy. Ma trochę oszczędności. Przez rok nie będzie pracować, tylko poświęci się doskonaleniu warsztatu tanecznego. Do naszego biura przyszła po to, by przed ostateczną decyzją zasięgnąć opinii profesjonalistów.

— Czy uważa pani, że mi się uda? — Popatrzyła na mnie z takim natężeniem, jakbym miała zdecydować o jej życiu albo śmierci. Co miałam powiedzieć? Siedziała przede mną czterdziestolatka, przy kości, w dodatku chorobliwie nieśmiała. Ciężko mi było wyobrazić ją sobie w kusym wdzianku, pływającą w rytmie salsy. Prawdopodobieństwo, że coś takiego byłoby możliwe w realu, wynosiło mniej niż zero.

— Rozsądniej będzie, jak zostanie pani w firmie... — Widziałam, jak jej usta wykrzywają się w podkówkę. Zaczęła cichutko chlipać. Z całej jej postaci przebijało gigantyczne poczucie zawodu. Niemal widziałam skrzydła, które podcięłam tej kobiecie. I wtedy usłyszałam własny głos:

— Ale czy w życiu zawsze trzeba być rozsądnym? Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana! — Kobieta z wdzięczności pocałowała mnie w oba policzki. Dałam Pyzie drugie życie.

Po tym doświadczeniu musiałam przyznać Anielakowi rację. Niektórzy klienci nie przychodzili do biura po rzetelną analizę swojej sytuacji zawodowej. Jedyne, co chcieli od nas usłyszeć, to pozytywna opinia na temat własnych pomysłów na życie.

* * *

— Ciesz się, że ten pies obsiusiał cię właśnie dzisiaj — usłyszałam od koleżanki z pracy, która asystowała mi przy zapieraniu sukienki.

— Weź mnie nie irytuj. Mam ważne spotkanie.

— No właśnie. Dzięki plamie wszystko ci się uda. Gdyby jeszcze załatwił się na ciebie gołąb...

— Nie, dzięki. — Spojrzałam na Marzenkę z dezaprobatą. Chciałam mieć szczęście, ale bez przesady.

Marzenka była moją współtowarzyszką niedoli. Ja i ona stanowiłyśmy dwuosobowy zespół doradców zawodowych w biurze „TWOJA KARIERA”. Marzenka skończyła politologię — według pani z Urzędu Pracy drugi kierunek, zaraz po psychologii, który przoduje w wypuszczaniu na rynek masy bezrobotnych absolwentów. Moja koleżanka miała pięć lat więcej niż ja, męża, czteroletniego synka i specyficzne podejście do obowiązków zawodowych.

— Nie wczuwaj się za bardzo. Rób, co masz do zrobienia, a o siedemnastej długopis z ręki i do domu — tłumaczyła mi swoją życiową filozofię.

Marzenka nie mogła zrozumieć, po co wchodzi z szefem w nieustanne dyskusje na temat podejścia do klientów. Jedyne, co ją ruszało, to przymus zostania dłużej w biurze. Anielak nie płacił za nadgodziny. Najchętniej w ogóle nie wypłacałby nam pensji. Urlop i podwyżka — na te słowa miał alergię. Dzisiaj też robił problemy, żeby mnie wypuścić o czternastej trzydzieści. Zagroziłam, że wyjdę, nawet gdyby miał mnie zwolnić. Opuścił, zaznaczając, że odliczy mi to z pensji. Cały on.

Spojrzałam na zegarek, po raz setny w ciągu ostatniej godziny. Zbliżała się druga, za godzinę czekało mnie widzenie ze swoim przeznaczeniem. Naprawdę wiązałam duże nadzieje z wizytą w Poradni Zdrowia Psychicznego doktor Elizy Drawicz. Z nerwów nie mogłam usiedzieć na miejscu. Całe szczęście, że dzisiaj nie było ruchu. Na niczym nie mogłam się skupić.

— Anielak pojechał po nową drukarkę, zmykaj już. — Marzenka zauważyła, że mnie nosi. Życzliwa koleżanka w pracy to prawdziwy skarb!

— Trzymam kciuki, żeby ta cała doktorka zaproponowała ci robotę.

Też na to liczyłam. Nie będę płakać za Anielakiem ani jego biurem. Ale za Marzenką na pewno.

* * *

Poradnia doktor Drawicz mieściła się w ekskluzywnej kamienicy na ulicy Mokotowskiej. Pedalowałam wyjątkowo ostro i przyjechałam na miejsce przed czasem. Ostatnio w śniadaniowej TV natrafiłam na porady jakiejś ekspertki od wszystkiego. Instruowała widzów, że na spotkania dotyczące spraw zawodowych nie wypada przyjść ani za wcześnie, ani za późno. Optymalny tajming to pięć minut przed czasem. Bogatsza o tę mądrość, zastanawiałam się teraz, co zrobić z wolnymi czterdziestoma minutami, które dzieliły mnie od poznania doktor Drawicz. Przypięłam holendra do stojaka na chodniku i rozejrzałam się dookoła. Mój wzrok przyciągnęła wyczesana knajpka vis-à-vis. Postanowiłam zaszaleć.

Pięć minut później siedziałam w środku, obok grupki krawaciarzy. Każdy z nich miał na czole co najmniej ray-bany. Jedli lunch czy brunch. Identyfikatory przyczepione do marynarek zdradzały, że są z jednej firmy. Zgrywali luzaków. Ja nie byłam wyluzowana. I to nawet nie dlatego, że moje okulary słoneczne były marki nołnejm, rodem ze stacji benzynowej. Jedyne, na co było mnie stać w tej knajpie, to woda bez gazu. Krawaciarze z sąsiedniego stolika popatrzyli

na mnie i moje zamówienie z zażenowaniem. Wyglądali na korporacyjnych menadżerów czy innych dajrektorów prodżektów. Szpanowali wypasionymi zegarkami i najnowszymi modelami iPhonów.

Nagrody za udział w wyścigu szczurów — przeprowadziłam błyskawiczną analizę krawaciarzy. — Żałośni pracoholicy. Brak życia osobistego rekompensują sobie wypasionymi zabawkami — poprawiłam sobie samopoczucie. Na krótko. Prawda była taka, że ja, w odróżnieniu od nich, w ogóle nie miałam się czym pochwalić. Nie posiadałam ani szpanerskich gadżetów, ani życia osobistego. Nie brałam udziału w wyścigu szczurów, bo się na niego nie załapałam. A o klasycznych czarnych ray-banach śniłam od dawna. Tyle że tego typu luksusy pozostawały poza moim zasięgiem.

Żeby się nie dołować, porzuciłam psychoanalizę sąsiadów i zajęłam się obserwacją. Mokotowska to w stolicy adres prima sort. Łączy ze sobą dwa najgorętsze place stolicy: Zbawiciela i Trzech Krzyży. Poradnia doktor Drawicz sąsiadowała z pierwszym z nich.

Plac Zbawiciela to warszawski hipsterland. W knajpkach wokół rezydują młodzi metryką lub tzw. wieczni młodzieńcy, zwani hipsterami. W skrócie bycie hipsterem polega na udawaniu, że się nie robi tego, co się robi. Hipster w teorii ma gdzieś lans i modę. W praktyce paraduje w markowych ciuchach wystylizowanych na szmaty z lumpeksu. W teorii hipster olewa modne knajpy. Tylko tak jakoś się składa, że nie przesiaduje w lokalach na zadupiu w Tarchominie czy na Bródnie. Hipsternia instaluje się pod najbardziej topowymi adresami stolicy, patrz: plac Zbawiciela czy Powiśle.

W cieniu wiecznie spalanej tęczy górującej nad placem bujnie rozkwita intelektualno-towarzystwie życie warszawskich hipsterów obojga płci. Hipsterskie jest nie tyle siedzenie w knajpianym ogródku, co dokładnie obok. Najlepiej na schodach lub krawężniku, koniecznie z pominięciem stolika. Statystyczny hipster spędza czas zanurzony w lekturze. Ważne, żeby książka miała odpowiedni ciężar gatunkowy. Coś w rodzaju *W poszukiwaniu straconego czasu* z marszu podnosi status intelektualny hipstera w oczach kolegi. W ostateczności ujdzie prasa w stylu „Aktivist” — wstydu nie będzie. Między szarą hipsternią można czasem upolować celebrytę z samego Pudelka. W takich okolicznościach niektórzy zaliczają swoje pięć minut sławy według teorii Andy’ego Warhola, jak na przykład jedna dziewczyna ode mnie z roku. Obok niej usiadł sławny człowiek z TV. Polował na niego paparazzi. Koleżanka przypadkowo weszła w obiektyw aparatu. Następnego dnia dumna rodzina i znajomi wycinali jej zdjęcia z tabloidów.

Wysiorbując przez słomkę resztkę wody spomiędzy kostek lodu, popatrzyłam na kamienicę, gdzie urzędowała doktor Drawicz. Miałam nadzieję, że z tym adresem związę swoją przyszłość. I to tę najbliższą. Kto wie, może będę tu pracować, i to nawet już od jutra? — rozmarzyłam się. Dałam znać kelnerowi, że chcę zapłacić. I wtedy przed moimi oczami rozegrała się scena grozy.

Z apteki naprzeciwko wyszedł starszy gość. Wsiadł w swoją furę i z impetem ruszył z miejsca. Zamarłam. Nie było to spowodowane szczególnym wyglądem owego gościa. Nie chodziło też o jego samochód, chociaż polonez w kolorze pomarańcz metalik robił wrażenie.

Wcięło mnie, bo emeryt, cofając swój karawan, wjechał centralnie w mojego holendra! Mało tego! Nawet nie wysiadł, żeby sprawdzić co się stało. Wdepnął gaz i już go nie było. Nie zdążyłam zapisać numerów rejestracyjnych. Zanim znalazłam się na ulicy, pirat emeryt odjechał w siną dal. Pościg na rowerze odpadał. Mój holender, z przednim kołem wygiętym w esy-floresy, nie nadawał się do jazdy. Sama nie wiedziałam, czy biec za pomarańczowym polonezem, czy do doktor Drawicz. Przypomniałam sobie złowieszczy głos śniadaniowej ekspertki z TV: „Nawet

minuta spóźnienia na ważne spotkanie może zakończyć się katastrofą!”.

W tej sytuacji wybór był prosty: nie miałam wyboru.

* * *

— Nazywam się Zofia Morawiec, jestem umówiona z doktor Elizą Drawicz —
oznajmiłam facetowi, który przedstawił się jako asystent Julian.

— Nie ma pani w rozpisce — oznajmił w końcu.

— Muszę być!

Sprawdź jeszcze raz, rozdziawo! — wykrzyczałam w myślach. Ale przemówiłam już
opanowanym głosem:

— Sam pan do mnie dzwonił i umówił na spotkanie. — Emocje trzymałam w cuglach jak
przystało na magistra psychologii. Czekałam cierpliwie, aż asystent sprawdzi co trzeba. W końcu
doznał olśnienia.

— A, no tak! Nie wpisałem tego do kompa, bo nie jest pani pacjentką. Wizyty
o prywatnym charakterze zapisuję w notesie. — Julian wygrzebał z szuflady notatnik,
rozrzucając przy tym jakieś dokumenty. Otworzył na stronie z dzisiejszą datą i odczytał notatkę.

— Godzina piętnasta, fizjoterapia — cokolwiek miało to znaczyć, wolałam darować sobie
dyskusje z tym ciapciarakiem. Ruszyłam w kierunku gabinetu, który mi wskazał.

* * *

Doktor Eliza Drawicz siedziała za biurkiem na obrotowym fotelu. Z netu wiedziałam, że
ma pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądała na młodszą. Perfekcyjny makijaż i młodzieżowa fryzura
zdradzały, że pani doktor wkładała wiele pracy w to, by odjąć sobie kilka lat.

— Spodziewałam się, że będzie pani mocniej zbudowana — usłyszałam na dzień dobry.

— Dlaczego? — zapytałam, może niezbyt błyskotliwie, ale tylko to przyszło mi do
głowy. Przyznam, że niekonwencjonalne powitanie pani doktor zbiło mnie nieco z tropu. Dalszy
ciąg rozmowy potoczył się równie zaskakująco. Pani doktor stwierdziła, że w mojej profesji siła
fizyczna ma kolosalne znaczenie.

Co ma krzepa do pracy psychologa?, pomyślałam, ale nie zaprotestowałam.

Nieopierzonej adeptce, starającej się zrobić dobre wrażenie, wypadało zgodzić się z opinią
takiego autorytetu jak Eliza Drawicz.

Tymczasem pani doktor weszła do łazienki znajdującej się w gabinecie. Zza drzwi
poprosiła, żebym nie marnowała czasu, tylko ustawiła łóżko w wygodnym dla siebie miejscu. Po
błyskawicznej burzy mózgu doszłam do wniosku, że miała na myśli skórzaną kozetkę stojącą pod
ścianą. Innego mebla przypominającego łóżko w gabinecie nie było. Uznałam, że nie ma
potrzeby jej nigdzie przestawiać. Wyciągnęłam się na kozetce — była megawygodna. Po raz
milionowy tego dnia powtórzyłam sobie plan rozmowy. Najpierw poruszę sprawę superwajzora
i praktyk psychoterapeutycznych. W drugim rzucie zagaję o pracę w poradni. Zzerały mnie
nerwy. Chciałam już mieć tę rozmowę za sobą. W końcu drzwi łazienki się otworzyły i Eliza
Drawicz ponownie pojawiła się w gabinecie. Jakież było moje zdziwienie, gdy na nią spojrzałam
— pani doktor była... rozebrana! Miała na sobie tylko satynowy szlafrok. Patrzyła na mnie
równie okrągłymi oczami jak ja na nią.

— Jeszcze nie rozłożyłaś łóżka do masażu?

Zaczęłam podejrzewać, że coś tu nie gra. Pewność zyskałam pięć minut później, gdy do
gabinetu został wezwany Julian. Okazało się, że doktor Drawicz wzięła mnie za fizjoterapeutkę.

Przyjaciółka wysłała jej mejlem namiary do zaprzyjaźnionej specjalistki. Asystent miał ją umówić na dzisiaj z panią doktor. Tylko że zamiast do masażystki, zadzwonił do mnie.

Drawicz przeprosiła mnie za zamieszanie i na tym skończyło się jej zainteresowanie moją osobą. Desperacko próbowałam wrzucić temat mojej praktyki czy też pracy. Jednak doktorka szybko ucięła rozmowę: — W tej chwili kondycja poradni nie pozwala mi na przyjmowanie nowych osób. — I pozamiatane.

Całą swoją uwagę skupiła na zmieszaniu asystenta Juliana z błotem. „Pacan” to jeden z łagodniejszych epitetów, jakimi go uraczyła. Julian z nerwów zaczął skubać kciuk. Zauważyłam, że skórki na obu dłoniach miał pogryzione do krwi. Musiał codziennie na maksa stresować się swoją pracą. Fakt — gość był nieźle pokręcony. Z drugiej strony: czy to jego wina, że bozia takim go stworzyła? Zrobiło mi się go żal. Próbowałam wziąć na siebie winę za całe zamieszanie. Tyle że Eliza Drawicz miała gdzieś to, co do niej mówiłam. Dotarło do mnie, że straszna z niej jędrza.

— Julian, która to już wtopa w tym miesiącu? Nie obchodzi mnie, że masz problemy! Zwalniam cię. Koniec. Kropka.

Finalnie więc oboje, i ja, i asystent, opuszczaliśmy poradnię z kwitkiem. Julian podziękował mi za próbę obrony, po czym każde z nas poszło w swoją stronę.

Stanęłam przy zmasakrowanym holendrze. Przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Podobnie jak ja w rozmazanym makijażu. Nie chciałam się rozklejać. Oczy zaszkliły mi się same z siebie: na znak żałoby po marzeniach, które właśnie legły w gruzach.

* * *

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że nie tylko ja miałam koszmarnie beznadziejny dzień.

— Nie jestem już sprzedawcą hot dogów — Bartek zawiesił głos, czekając na naszą reakcję. Kaśka wzruszyła tylko ramionami i dalej siedziała wbita w kanapę. Jak na nią była dziwnie milcząca. Ja też się zbytnio nie przejęłam dramatem Bartka.

— Sensacja to by była, gdyby cię raz, dla odmiany, nie wylali z roboty.

— Tym razem wpadłem w kanał jak stąd do Ustrzyk Górnych i z powrotem. — Bartek ciężko westchnął, opadł na fotel i schował głowę w ramionach. Faktycznie coś było nie tak, nasz kumpel pierwszy raz tak się przejął wyrzuceniem z pracy. Chwilę trwało, zanim wyciągnęłam z niego, w czym tkwi haczyk. Okazało się, że rodzice Bartka postawili mu ultimatum: jeśli straci kolejną pracę, to przestaną go wspierać finansowo. Ojciec Bartka co tydzień dzwonił do bossa od hot dogów i sprawdzał, czy syn nadal pracuje w jego firmie. — Masakra — podsumował Bartek tragicznym głosem.

Miał rację — w jego sytuacji brak złociszów od rodziców oznaczał prawdziwy kanał. Szczególnie że ze sportów najchętniej uprawiał clubbing, a rozrywkowe życie w stolicy to droga impreza. Bartuś zaś miał lekką rękę do pieniędzy. A to postawił kolejkę przypadkowo spotkanej drużynie hokeistów, a to na ósmego marca kupował drinki wszystkim pannom w pubie. Miał szeroki gest, a wątle możliwości. Dlatego non stop tonął w długach i tylko dzięki kasie od starszych ciągle jakoś utrzymywał się na powierzchni.

Rodzice Bartka mieli w Łomży trzy cukiernie. Nie narzekali na brak gotówki. Bez mrugnienia zasilali konto synalka, do czasu pewnej wyprawy, kiedy to zajechali do Warszawy bez zapowiedzi. Chcieli zobaczyć bank, w którym Bartek był menadżerem. Na miejscu przeżyli szok, bo oczywiście nikt tam nie słyszał o ich jedynaku. Efekt? Po tej wizycie stopniowo zaczęli przykręcać kurek ze słodką łomżańską gotówką. Teraz dopływ pieniędzy mieli zakręcić na amen.

Bartek, podobnie jak ja, nie miał powodów uważać tego dnia za udany. Spojrzałam z nadzieją na Kaśkę — może chociaż jej przytrafiło się dzisiaj coś miłego?

— Zaliczyłam emocjonalną masakrę piłą mechaniczną — usłyszałam w odpowiedzi na niewinne pytanie, jak minął dzień.

Kaśka nerwowo zerwała się z kanapy i poszła prosto do szuflady, gdzie trzymaliśmy awaryjne papierosy dla gości. Przypaliła sobie fajkę i mocno zaciągnęła się dymem. Ja i Bartek popatrzeliliśmy na siebie zaskoczeni — Kaśka od pół roku nie paliła. Bartek wyjął jej z ręki papierosa i posadził ją z powrotem na kanapie.

— Opowiadaj. — Objęłam przyjaciółkę ramieniem. Kaśka wzięła głęboki oddech i zaczęła.

Ni stąd, ni zowąd zadzwoniła do niej Justyna. Znaliśmy ją z pubu — Justyna była tam barmanką, my wpadaliśmy na piwo. Znajomość na „cześć” i „co tam słyhać?”. Dlatego jej telefon zaskoczył Kaśkę. Justyna chciała z nią porozmawiać w pilnej sprawie: teraz, natychmiast. Koniecznie w cztery oczy. Była podejrzenie zdesperowana. Kaśka zaproponowała, żeby przyjechała do niej na plan serialu, przy którym pracowała. Justyna stawiała się na miejsce w ekspresowym tempie. Okazało się, że ma dla Kaśki niusa. Była w trzecim miesiącu ciąży. Ale to nie była jeszcze ta rewelacja. Ojcem dziecka był — tu uwaga — Paweł, chłopak Kaśki.

Kaśka, niewiele myśląc, zapakowała Justynę do taksówki i pojechała razem z nią do salonu samochodowego, gdzie pracował Paweł. Kiedy je zobaczył, próbował się ulotnić tylnym wyjściem. Popęłnił błąd. Kaśka to typowy wrażliwiec, zawsze działa pod wpływem impulsu. Wpakowała się do samochodu, którym jakiś klient miał odbyć próbną jazdę. Odpaliła stacyjkę i ruszyła za Pawełkiem, przy okazji taranując jego ukochany motor. Cienias wymiękł. Przyciśnięty do muru, przyznał się do romansu z Justyną.

Kaśka schowała głowę pod poduszkę.

— Najgorzej, że ja się naprawdę w nim zakochałam.

— To się odkochasz — przytuliłam koleżankę.

Moja przyjaciółka, w odróżnieniu ode mnie, intensywnie szukała swojej drugiej połówki. W tym celu przeczesywała portale randkowe. Tak właśnie poznała Pawła. Dlatego, według Bartka, teraz była sama sobie winna.

— Tak się kończy prowadzenie się z kolesiami z sieci.

— Jak ty wyrywasz panienki z netu, to jest okej, ale jak ja poznaję faceta, to jestem frajerką!

— Ty szukasz kandydata na męża! Ja poznaję dziewczyny, żeby się zabawić.

Wiedziałam, że mogą się tak przekrzykiwać w nieskończoność — wyszłam na balkon. Zastanowiłam się nad kondycją naszej trójki. Prawda była taka, że nikomu z nas nie udało się osiągnąć wymarzonych celów. Gorzej — do ich realizacji było dalej niż bliżej.

Kaśka próbowała poznać kogoś fajnego — trafiali jej się dupek za dupkiem.

Bartek bajdurzył o rozkręceniu interesu z koszulkami — ale nie potrafił odłożyć na to kasy.

No i ja — marzyłam, żeby być psychoterapeutką, a prawda była taka, że od czasu zakończenia studiów nie miałam kontaktu z zawodem.

Moje rozważania przerwały krzyki Kaśki i Bartka — postanowili kontynuować swoją dyskusję na balkonie.

— Wiesz, jaki jest twój problem, Bartek? Boisz się zakochać!

— Odkryłaś mój sekret! Wolę się bzykać!

Sekret, sekret — powtórzyłam jak echo. Po chwili sobie przypomniałam, z czym

kojarzyło mi się to słowo.

Ostatni raz z Kaśką bawiliśmy się w to jeszcze w liceum. Chodziło o to, żeby wykopać w ziemi mały dołek. Wkładało się do niego kartkę z napisanym przez siebie marzeniem. Niektóre dziewczyny ozdabiały swoje „sekrety” kwiatkami, kamyczkami albo muszelkami. Potem to wszystko przykrywało się szkiełkiem. Gotowy „sekret” należało zasypać ziemią i czekać, aż marzenie z kartki się spełni. Jeśli wcześniej zajrzało się pod szkiełko, traciło się szansę na jego spełnienie. Za nic na świecie nie można też było nikomu zdradzić, co napisało się na kartce — wtedy czar pryskał.

— Kaśka, pamiętasz jak robiłyśmy „sekrety” pod szkiełkiem? — przyjaciółka popatrzyła na mnie nieufnie.

I to wtedy przedstawiłam jej i Bartkowi swoją koncepcję na spędzenie dzisiejszego wieczoru. Ponieważ całą naszą trójkę prześladowuje pech, musimy przełamać złą passę. Dlatego każdy z nas zakopie w parku „sekret” ze swoim marzeniem. Miałam nawet pomysł, skąd weźmiemy szkiełka. Wykorzystamy rozbitą szybkę ze zdjęcia, które rano spadło mi ze ściany.

— Może to był jakiś znak? — zakończyłam swój wywód retorycznym pytaniem.

— Odbiło ci? — Raczej nie przekonałam Bartka do tematu.

Spokojnie, pomyślałam. Skoro on nie podzielał mojego entuzjazmu, mogłam być pewna, że Kaśka będzie miała przeciwne zdanie. Trafiłam — moja przyjaciółka uznała robienie „sekretów” za genialny pomysł.

— Przypomniałam sobie, jak napisałam w „sekrete”, że chcę zostać miss szkoły. I zostałam! To dowód na to, że „sekrety” działają. W każdym razie nawet jak nam nie pomogą, to na pewno w niczym nie zaszkodzą.

* * *

Teraz, stojąc nocą w parku naprzeciwko dwóch policjantów, przypomniałam sobie słowa Kaśki. Okazało się, że mocno się pomyliła.

Od jakiegoś czasu usiłowaliśmy wytłumaczyć stróżom prawa, że saperka była nam potrzebna do wykopania dołków na marzenia. Ponieważ ta wersja nie wypadła zbyt wiarygodnie, uznaliśmy, że najlepiej będzie jak pokażemy im nasze „sekrety”. No więc odkopaliśmy dołki ze szkiełkami — dopiero wtedy policjanci popatrzyli na nas jak na prawdziwych wariatów. Do tej pory byli pewni, że wciskamy im ściemę. Jak zobaczyli, że nasze „sekrety” naprawdę istnieją, wymiękli.

Niższy z wrażenia zrobił balona ze swojej gumy. Wyższy próbował znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie faktu, że trójka dorosłych ludzi grasowała w nocy po parku z saperką w celu wykopania dołka dla jakiejś pierdoły z szybką.

— Jeszcze raz, co jest na tych kartkach pod szklami? — zapytał, podświetlając latarką trzy szybki połyskujące w ziemi.

— Marzenia — odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Policjanci spojrzeli po sobie. Ten z gumą nachylił się, by podnieść jedno z trzech szkiełek. Powstrzymał go gwałtowny protest Bartka. Gliniarz spojrział na niego podejrzliwie.

— Skoro na kartce jest jakieś bzdurne marzenie, to dlaczego nie mogę go przeczytać?

— Bo mi się nie spełni — odpowiedź Bartka była tak szczerą i spontaniczną, że kompletnie rozbroiła policjantów.

Nie dość, że pozwolili nam z powrotem zakopać nasze „sekrety”, to jeszcze odwieźli nas do domu!

Rozdział

DRUGI

— Zośka, wiesz, jaki dzisiaj mamy dzień? — z takim pytaniem o poranku wystartował do mnie Bartek, kiedy przyczłapałam do kuchni w poszukiwaniu kofeiny. — Pracujący. — To jedyne, czego byłam pewna. Inaczej nie wstałabym o tej samej godzinie co kury nioski.

Nalałam sobie życiodajną dawkę kawy. Co prawda czarny płyn z naszego ekspresu smakował jak fusiasta lura po turecku, ale miał jeden plus — moc. Nieważne — kac czy niskie ciśnienie — nasza czarna momentalnie stawiała człowieka na nogi. Upiłam łyk kawy „szatanki”.

— Chcesz koło ratunkowe? — Kaśka włączyła się w egzaminowanie mnie z wiedzy ogólnej. Ona i Bartek byli podejrzenie nakręceni jak na tak wczesną godzinę. Albo wypili za dużo kawy, albo... przegapiłam coś ważnego, pomyślałam, po czym zrobiłam błyskawiczny rachunek sumienia. Kaśka i Bartek nie mieli urodzin ani imienin.

— Zapomniałaś o taaakiej ważnej dacie... — Moi przyjaciele pokręcili głowami na znak doznanego zawodu. Spojrzałam na nich jak na zjawisko. Zanim zdążyłam okazać swoją irytację, chóralnie wypalili: — Ale my pamiętaliśmy! Wszystkiego najlepszego z okazji miesięcznicy! — Bartek wyjął spod stołu ozdobną torbę i rzucił w moim kierunku. — Kaśka zasponsorowała T-shirt, hasło jest moje!

— Prezent? Dla mnie? — zaszcebiotałam nieco zdezorientowana, tymczasem oni obserwowali, jak rozpakowuję koszulkę, z takim napięciem jakbym co najmniej rozbrajała bombę atomową.

— Co to za okazja? — Nie musieli odpowiadać. Przeczytałam napis na koszulce: „SEKRET ALBO ŻYCIE” i załapałam. Dzisiaj mijał miesiąc od czasu zakopania przez nas „sekretów” w parku.

— Mina Zośki: bezcenna. — Przybili piątkę, a ja zawtórowałam im w duchu mrocznym: ha, ha, ha.

Nie było mi do śmiechu, wcale a wcale. Kaśka i Bartek nabijali się ze mnie od momentu naszej przygody w parku. Powód? Według nich „sekrety” zamiast szczęścia przynosiły nam pech za pechem. W wyśmiewaniu się ze mnie przodował Bartek. W ramach rozrywki na ściennym kalendarzu w pokoju odhaczał kolejne wtopy, jakie zaliczaliśmy. Najbardziej go śmieszyło, że ja — „sekretna matka chrzestna”, jak uroczo mnie nazwał — przodowałam w tym rankingu niepowodzeń. Dzisiaj miarka się przebrała. Miałam dość bycia dyżurnym obiektem kpin i dałam temu wyraz.

— Zmieńcie płytę. Non stop wałkujecie jeden temat. — Rzuciłam koszulkę na krzesło.

— No co ty, nie znasz się na żartach? — Kaśka próbowała załagodzić sytuację.

W odróżnieniu od Bartka, bo w jego słowniku nie istniało słowo „umiar”, za to był mistrzem w przeginaniu do bólu.

— Pani psycholog brakuje luzu w temacie „sekretów”? Chcesz o tym porozmawiać?

— Pojechał tak, jak lubi najbardziej, bez trzymania. Chce rollercoaster? No to będzie go miał.

— Dla mnie akcja z „sekretami” była żartem. Ty masz na tym punkcie jakąś obsesję.

— I co? Położysz mnie na kozetce?

— Nie muszę. Twój problem sam rzuca się w oczy.

Nagle w naszej kuchni dało się wyczuć zapach prochu. Linoleum zmieniło się w ubitą ziemię, a ja i Bartek stanęliśmy naprzeciwko siebie jak dwaj rewolwerowcy w samo południe. Kaśka zrozumiała, że przestaje być zabawnie. Weszła między nas ze stanowczością szeryfa, pobłyskując niczym gwiazdą — ekspresem.

— Komu dolewkę „szatanki”?

Ale ani ja, ani Bartek nie byliśmy zainteresowani ofertą. Było za późno, żeby zapobiec katastrofie — bilety kupione, kolejka odjechała.

— Czekam na analizę, pani psycholog. — Bartek zrobił krok w moim kierunku. Zmrużył prowokująco oczy. Po czymś takim nie mogłam się wycofać. Musiałam oddać pierwszy strzał.

— Nasz pacjent jest przykładem klasycznego mechanizmu przenoszenia odpowiedzialności — aby wzmocnić swoją siłę rażenia, rzuciłam fachowym terminem.

— Zastanówmy się nad tym przypadkiem — kontynuowałam diagnozę, obchodząc Bartka dookoła. — Dwudziestosześcioletni facet bez dziewczyny, stałej pracy i perspektyw obwinia mnie i jakieś głupie „sekrety” o własne niepowodzenia. Dlaczego?

W odpowiedzi Kaśka dostała ataku kaszlu. Niestety nie załapałam aluzji i zamiast wywiesić białą flagę, znowu wypaliłam z rewolweru.

— Bo łatwiej zgrywać infantylnego pajaca, niż przyznać się przed samym sobą, że jest się nieudacznikiem. — Spojrzałam na Bartka i wiedziałam, że trafiłam go w samo serce.

Nie odezwał się ani słowem. Czekałam na jakąś ostrą ripostę, a on milczał. I to było najgorsze. Pierwszy raz w życiu chciałam, żeby mnie zmiażdżył jednym ze swoich złośliwych wkrętów. Ale Bartek, zamiast pojechać po mnie po całości, wyszedł z kuchni.

— Idź do niego. — Mimo że Kaśka połowę życia spędzała na kłótniach z Bartkiem, to kiedy ktoś inny skakał mu do gardła, nawet jeśli byłam to ja, stawiała w jego obronie. — Wiesz, jaki on jest.

Wiedziałam. Bartek był miękki jak ciągutka. Z naszej trójki to jemu najszybciej szkliły się oczy na komediach romantycznych. Ale, co ważniejsze, był moim przyjacielem. Znałam jego słabe punkty i wykorzystałam je. W tym pojedynku to ja byłam czarnym charakterem. Cholernie żałowałam tego, co powiedziałam.

Ruszyłam za Bartkiem, żeby go przeprosić, ale kiedy wpadłam do przedpokoju, zobaczyłam już tylko, jak zatrzaskują się za nim drzwi. Rzuciłam się do klamki, ale w tym momencie drogę zastąpił mi mój adorator. Tak, od jakiegoś czasu mieszkał z nami czwarty lokator. Ku mojej rozpaczy.

Po pierwsze, zainstalował się w moim pokoju, ale nie to było jeszcze najgorsze. Mój dramat polegał na tym, że nowy mieszkaniec zapałał do mnie takim uczuciem, że nie odstępował mnie na krok. Był irytująco absorbujący. Jak tylko otworzył oczy, domagał się mojego towarzystwa. I robił to na tyle głośno, że przy okazji budził pół kamienicy.

Teraz też swoim zwyczajem zgotował mi na powitanie imponujący harmider. Gdyby chodziło o normalnego osobnika płci przeciwnej, nie miałabym z tym problemu. Tyle że znalezienie wspólnego języka z tym oryginałem okazało się bardziej skomplikowane. Był tylko jeden sposób, żeby go ujarzmić. Spacer. Chcąc nie chcąc, wyprowadziłam swojego adoratora z mieszkania.

Wychodząc, westchnęłam ciężko — tak naprawdę Bartek miał trochę racji z tym rankingiem niepowodzeń. To zdecydowanie nie był mój najlepszy miesiąc. Chociaż ciężko było mi się do tego przyznać. Jakkolwiek głupio by to brzmiało, po cichutku wierzyłam, że „sekrety” przyniosą nam szczęście. Tymczasem cóż... dalej trafiałam na kanał za kanałem. A wszystko

zaczęło się właśnie od yorkusia Niuńka, którego teraz usiłowałam zapiąć na smyczy. Choć... zaraz... Nie, najpierw była wtopa z rowerem.

* * *

JAKIEŚ TRYLION WTOP WCZEŚNIEJ

— Chłopaki, litości! — Zrobiłam minkę „na szczeniaka” i zamrugałam uwodzicielsko (tak mi się przynajmniej wydawało) do właścicieli sklepu rowerowego, w którym serwisowałam holendra. Niestety, nie miałam ani aktorskich, ani uwodzicielskich zdolności Kaśki. Seba i Olo pozostali nieugięci w kwestii terminu naprawy mojego roweru.

— Za kogo ty nas uważasz?

— Za superfachury od rowerów. — Taką opinię miałam jeszcze chwilę wcześniej. Lecz kiedy usłyszałam, że mój holender znowu nie jest gotowy i że będę musiała czekać do „nie wiemy kiedy”, moje zdanie na temat chłopaków diametralnie się zmieniło.

— Ściemniacie mi w żywe oczy. — Ten ich rażący brak profesjonalizmu ujęłam najdelikatniej, jak tylko się dało. Ostatecznie wołałam nie zaogniać sytuacji, bo mimo wszystko ciągle liczyłam, że w końcu naprawią mój rower.

— Połowa dzielnicy przytaczała bajki na przegląd. Sezon, siostró.

Chłopaki uświadomili mi również, że naprawa mojego holendra to nie bułka z masłem. Stan pacjenta — tak nazywali rowery, które naprawiali — skonsultowali z innymi doktorami od rowerów. Wyszło im, że mój holender po bliskim spotkaniu z polonezem wymaga intensywnej terapii. Diagnoza: muszą przy nim podłubać dwa, jeśli nie trzy razy dłużej, niż zakładali.

Bez roweru byłam jak Bolek bez Lolka. Skazana na pieszo-autobusową tułaczkę z domu do pracy i z powrotem, odczuwałam na sobie nieznośny ciężar rutyny. Na rowerze jakoś omijałam podobne dołki. Holender dawał mi to, co harleyowcom ich motory — wiatr we włosach. Pedalowałam przez miasto w swoim rytmie, miałam chwilę, żeby poprzyglądać się światu, wicherek rozwiewał smutki, jakie obsiadały mnie w ciągu dnia.

Ponowiłam próbę wzięcia chłopaków na bajer. Tym razem skupiłam się na Sebie. Kiedyś, gdy byłam tu z Kaśką, przywazyła, że koleś czerwieni się na mój widok. Według niej powód był ewidentny jak krągłość Ziemi: — Chłopak regularnie leci na ciebie. — Nadeszła pora, żeby sprawdzić, czy miała rację.

— Nie da się nic przyspieszyć dla stałej klientki? — Uśmiechnęłam się do Seby przymilnie, w stylu mojego szefa Anielaka. I... udało się. Prawie.

Co prawda na rower musiałam jeszcze poczekać, bo chłopcy byli w trakcie namierzania w necie oryginalnych części do jego naprawy. Ale za to...

— Policzę ci po kosztach — obiecał, robiąc się przy okazji czerwony jak cegła. Od razu przypomniała mi się piosenka Dżemu.

Oby tylko w ramach rewanżu nie zanucił mi: „muszę ją mieć” — strapiłam się, wchodząc do domu. I w tym samym momencie przestałam się martwić Sebą. Nie był to efekt kojącej atmosfery naszego mieszkania. Zostałam powalona przez NNG — czytaj: NOKAUT NA GOŁOTĘ [copyright by Bartek, jakby były wątpliwości co do autora tego wymownego hasła].

* * *

— Co on tu robi?! — syknęłam do Kaśki, zerkając z przerażeniem do pokoju. Na naszej kanapie panoszył się w najlepsze Dres wraz ze swoim yorkusiem Niuńkiem.

— Czeka na ciebie.

Tego akurat domyśliłam się bez jej światłej odpowiedzi. Pytanie numer dwa brzmiało: jak to możliwe, że moja przyjaciółka wpuściła do naszej twierdzy mojego podwórkowego prześladowcę, razem z właścicielem?

— Powiedział, że się znacie.

To niestety była prawda. Od najgorszej strony. Kaśka dalej nie rozumiała mojego negatywnego nastawienia do nieproszonego gościa.

— O co ci chodzi? Fajny koleś, i jaki wysportowany — Jezzzz, trzymajcie mnie, ta dziewczyna nawet w mięśniaku bez karku widziała swojego potencjalnego chłopaka. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest zdesperowana.

Całe szczęście Dres i yorkuś byli skupieni na ekranie telewizora — akurat leciał serwis sportowy. Dzięki temu miałam chwilę, żeby streścić mojej naiwnej koleżance charakter stosunków, jakie łączyły mnie z yorkusem i jego panem. Rozmawiałam z nim raz w życiu. Ów dialog zakończył się groźbami Dresy pod moim adresem. A teraz się zjawiał, żeby zrealizować swoje złowrogie obietnice. Chce wydebić ode mnie kasę za weterynarza.

— Nie zamierzam mu płacić ani grosza, cokolwiek by się działo — dramatycznie wyszeptalam do Kaśki.

Moja opowieść zrobiła na niej wrażenie — w końcu pojęła groźbę sytuacji.

— W razie czego wystukam sto dwanaście — rzuciła bohatercko, czekając w korytarzu z komórką w jednej dłoni.

Ruszyłam do ataku, bo jak mi się przypomniało, to najlepsza forma obrony. Stałam przed Dresem i jego psem, ale zanim zdążyłam powalić go tekstem ostrym jak brzytwa, wypalił:

— Koleżanko, zasłaniasz ekran, luknę tylko na tabelę Ekstraklasy i się tobą zajmę.

— Dres machnął ręką, żebym się przesunęła, a yorkuś obszczeakał mnie krótkim: hau.

Ja chyba śnię! Żaden obcy koleś nie będzie mną dyrygował w moim własnym, wynajmowanym mieszkaniu! Spojrzałam na Kaśkę, która wskazała mi pilot od telewizora. Zgodnie z jej sugestią zarządziłam koniec seansu.

— Słuchaj, kolego. Nie zapraszałam cię tu, to jest raz. Możesz zapomnieć, że dostaniesz ode mnie jakąkolwiek kasę — to jest dwa. Albo sam się stąd ulotnisz, albo zadzwonimy z koleżanką na policję. To miało paść jako „trzy”, ale Dres przerwał moją wyliczankę.

— Peace and luz, wpadłem tu z pokojową wizytą jak sąsiad do sąsiadki.

Oniemiałam. Że niby co? Tylko czekałam aż wypali, że przyszedł pożyczyć cukier oraz wymienić osiedlowe plotecki. Jednak to, co usłyszałam, przebiło moje typowania tysiąc razy. Mój sąsiad Dres oznajmił, że wraz z dwoma kumplami, jak on kibicami Legii, musi na jakiś czas zmyć się z Wawy. Powód? W jego życiu nastąpiły „pewne komplikacje”.

— Miałem ostrą dyskusję z kolegami z Polonii — tak ujął powód swojej nagłej potrzeby wyjazdu z miasta.

Popatrzyłyśmy z Kaśką na siebie. Taaaa, jasne, dyskusja. Z argumentami w postaci bejsboli. Ale najlepsze było dopiero przed nami. Zapytałam Dresy, dlaczego uznał, że akurat mnie musi powiadomić o swoich planach. I tu zdębiałam po raz kolejny. Otóż zaszczycił mnie swoją wizytą, gdyż w podróż nijak nie może zabrać psa, więc, uwaga... ja muszę się nim zająć! Moje oczy zrobiły się okrągłe niczym pączki od Bliklego.

— Żartujesz?

— W sprawach zasadniczych: nigdy — Dres zabrzmiał serio aż strach. — Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która nadaje się do opieki nad Niunikiem.

— Halo, tu ziemia — usiłowałam zracjonalizować przebieg naszej rozmowy.

— Człowieku, jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież praktycznie mnie nie znasz!

— Z widzenia. To też się liczy — odparował niezrażony Dres. — Do tego Niuniek lubi

twój rower, a on i ja mamy nosa do ludzi. — Puścił do mnie oko, dodając: — Nic się nie bój. Dogadacie się. Wrócę po niego w odpowiednim czasie.

Rany, co za bezczel! — wykrzyczałam w myślach. Nawet nie raczył sprecyzować, kiedy konkretnie miałyby to nastąpić!

Gdy ja próbowałam ogarnąć sytuację, on głosem pewniaka tłumaczył yorkusowi jego najbliższą przyszłość:

— Nasza koleżanka się tobą zaopiekuje. Cieszysz się, Niuniek?

Teraz wzięły mnie nerwy — odsunęłam się od Niuńka, który w międzyczasie zajął się obgryzaniem moich stylowych czeszek.

— Nie zajmę się twoim psem! Zapomnij!

— Nie możesz nam odmówić. — Dres i yorkuś spojrzeli na mnie wzrokiem Kota ze *Shreka*. — Chcesz, żeby Niuniek trafił do schroniska?

W tym momencie do rozmowy włączyła się Kaśka.

— Jasne, że nie chce! — Nie do końca takiego wsparcia oczekiwałam od swojej przyjaciółki. — Musisz się zająć tym słodziakiem!

Niestety Kaśka została omotana przez yorka, który celowo czarował ją sztuczką pod tytułem „podaj łapę”. Teraz i ona patrzyła na mnie wymownie.

Pod ciężarem trzech spojrzeń czułam się jak hycel, który zamierza unicestwić szczęśliwy żywot yorka Niuńka. Tymczasem Dres, wykorzystując stan totalnego szoku, w jakim byłam, pożegnał się czule z pieskiem i wyparował niczym kamfora. Wychodząc po angielsku, zapomniał nadmienić o istotnym szczególe związanym z yorkusiem.

Okazało się, że Niuniek nie lubi zostawać w domu sam. O tym jak bardzo, przekonał nas, obgryzając do ostatniego splotu wełniane chodniczki w przedpokoju. Na szczęście mój szef pozwolił mi zabierać psinę do pracy. Nie żeby wzruszył się cierpieniem samotnego yorka w czeluściach mojego domostwa. Zwietrzył w tym interes. Według niego kobiety mają słabość do minipsin. A Niuniek był miniaturą. Anielak zrobił mu zdjęcie, wrzucił na stronę naszego biura i czekał na tabuny klientek.

* * *

Tym sposobem codziennie rano jeździłam do pracy w duecie z psem Niuńkiem rasy york. Dzisiaj pędziliśmy w stronę przystanku szybko jak nigdy. Miałam nadzieję, że zdążę złapać Bartka. Ale kiedy dotarłam na miejsce, już go tam nie było. Za to mój autobus właśnie odjeżdżał z przystanku. Dopadłam do drzwi pojazdu. Nie wiem, co bardziej podziało na kierowcę — mój histeryczny wrzask czy wściekłe ujadanie Niuńka. Najważniejsze, że wpuścił nas do środka.

Zrezygnowana usiadłam na wolnym miejscu. Niuniek ułożył się na moich kolanach. Kolejny raz próbowałam dodzwonić się do Bartka, a on kolejny raz odrzucił połączenie. Nigdy wcześniej, nawet przy naszych najostrzejszych kłótniach, tego nie robił. Przypomniał mi się tekst Lindy z *Psów*: „Nie chce mi się z tobą gadać”. Pierwszy raz w życiu to ja byłam złą kobietą. I nie odpowiadała mi ta rola. Z zamyślenia wyrwał mnie oburzony głos siedzącego obok faceta z zaczeską.

— Czy ten pies musi tak sapać? Ziej mu z pyska jak siarą z fabryki zapalek!

Jako właścicielka yorka, choćby nawet tymczasowa, poczułam się osobiście dotknięta zarzutami co do braku higieny mojego psa. Niuniek pachniał świeżością niczym miętówka. Kaśka dostała od jednej aktorki ze swojego serialu — też właścicielki yorka — specjalne kosmetyki do pielęgnacji psów. Każdego wieczoru poddawała Niuńka serii upiększających zabiegów. Ku naszemu zdziwieniu piesek uwielbiał zabawę w SPA. Bartek ukuł teorię, że yorkuś

w poprzednim wcieleniu musiał być celebrytą albo przynajmniej psem celebryty. Zaczęłam w to wierzyć, kiedy pozwolił Kaśce ubrać się w kombinezon w stylu późnego Presleya. Też prezent od aktorki. Według Kaśki Niuniek w cekinach wyglądał odjazdowo. Według mnie i Bartka — obciachowo. W każdym razie kiedy pies wychodził ze mną, garderoba glamour zostawała w domu.

Tymczasem mój towarzysz podróży rozwijał konferansjerkę:

— Pysk niech mu pani szepi gumką recepturką!

Zlustrowałam sąsiada wytrawnym okiem psychologa. Pomijając nieszczęsne kosmyki, którymi usiłował zakryć postępującą łysinę, na serdecznym palcu miał ślad po obrączce. Klująca w oczy biel zdradzała, że zdjął ją niedawno. Źle dobrany krawat, niedoprasowana koszula — wyglądał jak siedem nieszczęść. Byłam gotowa rzucić się facetowi do gardła, ale nagle zrobiło mi się go żal i... uśmiechnęłam się do niego. Facet popatrzył na mnie zdziwiony. Zatkaną go, jakbym dopiekła mu tekstem ostrym jak tabasco. W końcu wykrztusił:

— Też miałem psa, spanielka. — Poglaskał Niuńka. — Żona go zabrała, kiedy się wyprowadziła. — Wziął głęboki oddech, po czym zaczął mi opowiadać, jak bardzo brakuje mu jego psiny.

Wiedziałam, że tak naprawdę tęskni za żoną. Zwykle czułam satysfakcję, kiedy trafnie oceniłam czyjąś sytuację życiową. Tym razem wolałabym nie mieć racji. Rana tego faceta nie tylko była świeża, ale też bardzo głęboka.

* * *

Wysiadł na tym samym przystanku co ja — on poszedł w swoją stronę, a z Niuńkiem ruszyliśmy w kierunku biura. Jak co rano zaczęli nas pan Szczepan. Uliczny handlarz miał dla yorkusia suchą krakowską, a dla mnie propozycję nie do odrzucenia. Od paru dni męczył mnie, żebym na kilka godzin dziennie wypożyczała mu Niuńka. Wymyślił, że ustawi przy nim kartkę: „ZBIERAM NA JEDZENIE DLA PSA”. Zarobkiem mieliśmy się dzielić po połowie.

Dzisiaj w ogóle nie słuchałam, co do mnie mówi — obserwowałam faceta z zaczeską, który oddalał się chodnikiem. Szedł ciężkim krokiem, jakby grawitacja zbyt mocno ciągnęła go ku ziemi. Ale ja domyślałam się, że ciąży mu coś znacznie gorszego — samotność. Gdyby miał przyjaciół, nie opowiadałby obcej dziewczynie z autobusu o tym, co go dręczy. W tym momencie dotarło do mnie, że nie udźwignęłam ciężaru sytuacji. Miałam przed sobą człowieka, który potrzebował wsparcia. A ja nie umiałam mu powiedzieć niczego sensownego.

Pomyślałam o Bartku — skoro nie odbiera ode mnie telefonów, muszę z nim pogadać twarzą w twarz. Zamiast iść do pracy, ruszyłam w przeciwnym kierunku.

* * *

Przechodząc na drugą stronę ulicy, zwróciłam uwagę na tramwaj, który zatrzymał się na światłach. Próbowałam wyłuskać wzrokiem kołesia, który przypominał mi mojego brata. W ciągu miesiąca przywazyłam go na tej trasie trzy razy. Nigdy nie udało mi się dokładnie mu przyjrzeć. Zawsze stał ściśnięty między pasażerami. Raz miałam nawet ochotę podbiec do tramwaju. W końcu sobie darowałam. Nie miałam powodu, żeby uskutecznić takie manewry. Mój brat był we Wrocławiu — gadałam z nim przez telefon. Szykował się do egzaminów. Miał dużo kucia na pierwszym roku.

— Tęsknisz za braciakiem. Dlatego masz te omamy — zawyrokowała Kaśka, kiedy opowiedziałam jej o chłopaku z tramwaju.

Fakt, ja i Piotrek dawno się nie widzieliśmy. Wrocław był masakrycznie daleko od Warszawy. W weekendy zawsze coś wypadło, a na urlop w tygodniu miałam takie same szanse jak Jola Rutowicz na Nobla.

Jeszcze raz spojrzałam w okna wagoników, ale nie zauważyłam chłopaka z tramwaju.

Razem z Niuńkiem skręciliśmy w uliczkę prowadzącą do metra Raławicka. Wyjęłam telefon i wybrałam numer swojego szefa. Tak jak się spodziewałam, nasza rozmowa miała dynamiczny charakter. Zaczęłam z grubej rury — zakomunikowałam szefowi, że jestem umierająca i nijak nie dam rady przyjść do pracy. Myk polegał na tym, że swoją kwestię wygłosiłam głosem stylizowanym na ostrą anginę. Przećwiczyłam to na studiach. Tyle że reakcja uniwersyteckiej kadry naukowej była dużo łagodniejsza od dzikich wrzasków Anielaka.

Jego wykrzykiwanie towarzyszyło mi przez całą drogę do metra. Oznajmił mi, że ten dzień wolny będzie mnie wyjątkowo dużo kosztować. Straty poniesione przez biuro na skutek mojej nieobecności odliczy mi z pensji. Szczerze? W tym momencie miałam to gdzieś.

Wagonik mijał kolejne stacje, a ja próbowałam ułożyć sobie w głowie przebieg rozmowy z Bartkiem. Nigdy wcześniej nie miałam z nim tak ostrego spięcia — nie bardzo wiedziałam, jakie „przepraszam” lepiej na niego podziała: podane na serio czy obrócone w żart.

Kiedy on mi podpadał, sprawa była prosta. Wystarczyło, że zrobił Tytusa z komiksu Papias. Mnie to zawsze rozśmieszało — Kaśkę niezmiennie irytowało. Ona nie trawi tego komiksu, może dlatego, że w podstawówce miała ksywę A'Tomek. Do szóstej klasy przypominała go nieco z tuszy, no i nosiła podobne okulary.

— Jesteś jego przyjaciółką? To pomóż mu dorosnąć! — tak zareagowała, kiedy na pchlim targu chciałam kupić Bartkowi pod choinkę archiwalne wydanie *Tytusów*.

Ustałam — zamiast komiksów dostał od nas krawat. Miał mniej więcej taką minę jak kibice futbolu po meczu naszych Orłów. Rozsądny prezent to ostatnia rzecz, o jakiej marzył Bartek. Według Kaśki, to dlatego, że jest niedojrzały i ma syndrom Piotrusia Pana. Nie wiem. W relacjach z facetami nie mam tak dużego doświadczenia jak ona. Kaśka już w przedszkolu miała stałego chłopaka, a w liceum jeden koleś się jej oświadczył.

Ja nigdy nie miałam specjalnego brania. Ogólniak to był dla mnie czas kucia — chciałam się dostać na psychologię do Warszawy. Efekt? W klasie robiłam za wzorową jajogłową. Olewałam to aż do studniówki, kiedy wyszło, że nie mam partnera do poloneza. Jako jedyna z całej szkoły miałam tańczyć sama. Przed kompromitacją uratowała mnie Kaśka. Uprosiła swojego kuzyna, żeby ze mną poszedł.

Tak naprawdę pierwszego chłopaka „na poważnie” miałam na studiach. Z Robertem zaczęliśmy się spotykać gdzieś na trzecim roku. W okolicach czwartego splagiatował temat mojej pracy magisterskiej. Zanim się zorientowałam, Robuś miał już zaakceptowaną magisterkę. Kiedy oskarżyłam go o kradzież, zrobił ze mnie psychopatkę na miarę Glenn Close. Wmówił wszystkim, że się mszczę, bo mnie rzucił. Mocne, co? Gdy było już po wszystkim, jedno musiałam przyznać: znajomość z Robercikiem była dla mnie jak fatalne zauroczenie.

Wagonik wyjechał z tunelu na peron, przerywając łańcuszek moich wspomnień. Ksawery Jasieński aksamitnym głosem poinformował, że dojechaliśmy do stacji „Centrum”. Włożyłam Niuńka do torby — byliśmy na miejscu.

* * *

Skwer przy stacji metra Centrum, to obszar działań różnych grup zawodowych. Artyści amatorzy w stylu od Sasa do Lasa prezentują tu swoje nieodkryte talenty. Drobną inicjatywą

w postaci handlarek kwiatami, sznurówkami i chińską bawełną kręci swoje lody niczym na osiedlowym bazarku. Sprzedawcy pierdół z plastiku grasują między przechodniami, prezentując możliwości różnych wiatraczków. Odkąd jedno takie śmigielko wplątało mi się we włosy, miałam alergię na asortyment w stylu chiński szajs.

Jednak grupą, która budzi największą irytację wśród przechodniów, są roznosiciele ulotek. Ich zagęszczenie na skwerze w godzinach szczytu wynosi dziesięciu na metr kwadratowy. Byłam tu od minuty, a w obu dłoniach ściszałam masę reklamówek najróżniejszej maści. Dlaczego w ogóle je brałam? Ze współczucia dla ich roznosicieli.

Jaki sens ma wydawanie kasy na ulotkową reklamę? Choć od dawna zgłębiałam tę kwestię, mój intelekt nie był w stanie doszukać się rozsądnego wytłumaczenia. Jeśli ktoś zna rozwiązanie tej godnej sfinksa zagadki — niech się do mnie zgłosi. Jeden gnębiący problem mniej = moja wdzięczność, bezcenne.

Teraz jednak skupiłam się na misji, z powodu której przybyłam na skwerek. — Omiotłam wzrokiem plac przed metrem. Cel — namierzyć pluszowy młotek. Spokojnie, nie przegrzałam się na słończku. Od dwóch tygodni Bartek w takim właśnie przebraniu reklamował sklep dla majsterklepków. To jedyna robota, jaką udało mu się znaleźć od czasu wyrzucenia z hot dogów. Nietrudno było go wyłowić z tłumu — był jedynym młotkiem w okolicy.

Chwilę obserwowałam przyjaciela — przy tej temperaturze musiał się gotować w tym pluszu. Do tego jacyś gówniarze mieli z niego niezły ubaw. Poczulałam się jak świnia — nie dość, że mój kumpel miał upokarzającą pracę, to jeszcze ja podstawiłam mu nogę. Z Niuńkiem w torbie ruszyłam mu na ratunek.

* * *

— Spadajcie! — rzuciłam do wyrostków, stając między nimi a Bartkiem w pluszu.

Kolesie spojrzeli. Byłam zbyt zestresowana rozmową, jaką zaraz miałam odbyć z Bartkiem, żeby zaimprovizować jakąś błyskotliwą nawijkę. Na szczęście z budynku metra wyłonił się ochroniarz. Wyszedł na fajkę. Gnojki spłoszyły się, a ja zostałam uratowana przed kompromitacją.

Tymczasem Bartek poszedł sobie na drugi koniec skweru. Teraz stał odwrócony do mnie plecami. Zrozumiałam aluzję. Ale ja nie zamierzałam odpuścić. Za bardzo mi zależało na tej przyjaźni. Podeszłam do kumpla.

— Powiem to, co mam do powiedzenia, i zdecydujesz, co z nami dalej. — Nie poruszył się. Odczytałam to jako dobry znak.

Gożej, że przez to cholerne przebranie nie widziałam jego twarzy. Ciężko rozmawiać z kimś, nie widząc jego reakcji na twoje słowa. Dodatkowo Niuniek włączył ujadanie. Nie podobało mu się przebranie Bartka i dał temu głośny wyraz. Pogłaskałam go po łebku wystającym z torby, ale się nie uspokoił. Trudno — musiałam działać w niesprzyjających warunkach. Stałam bliżej Bartka.

— Długo się zastanawiałam, co ci powiedzieć... — Wzięłam głęboki oddech. — Pamiętasz, jak to było, kiedy Robert splagiatował moją pracę?

W odpowiedzi Bartek wykonał bliżej nieokreślony ruch ciałem — przez pluszowe wdzianko ciężko było stwierdzić, czy potwierdził, że pamięta tamtą sytuację, czy wprost przeciwnie. Na wszelki wypadek postanowiłam mu przypomnieć.

— Przyszedeś na uczelnię i dałeś mu w twarz — zawiesiłam głos. Do tej pory miałam ciary na tamto wspomnienie. — Tak robią przyjaciele. Pajace zachowują się tak, jak ja dzisiaj rano. Bartek... przepraszam.

Nagle zza moich pleców rozległy się brawa. Odwróciłam się — aplauz zgotowała mi grupka roznosicieli ulotek. Zignorowałam ich — obserwowałam Bartka, który stał nieporuszony. Im dłużej czekałam na jego reakcję, tym coraz wyraźniej słyszałam, jak mocno bije mi serce.

Między mną a Bartkiem nigdy nie było miłosnego motywu — nie ta chemia. Ale od pierwszego momentu zaiskrzyło między nami w temacie „przyjaźń”. Teraz zdałam sobie sprawę, jak mocno przez te lata wrósł w moje życie. Musiałam zamrużyć powiekami — nie chciałam, żeby moje szkliste oczy zdradziły, jak bardzo się boję, że mogę stracić przyjaciela.

Nagle Bartek gwałtownym ruchem ściągnął z głowy trzon pluszowego młotka. I wtedy zrozumiałam, dlaczego Niuńki od początku tak zaciekle go obszcze kiwał. Yorkuś robił, co mógł, żeby mnie powstrzymać przed zrobieniem z siebie idiotki. Niestety nie załapałam, co do mnie szczeka, i otworzyłam swoją duszę przed... zupełnie obcym facetem.

Potrzebowałam chwili, żeby odetchnąć po słoniowej dawce ekstremalnych emocji.

Już na spokojnie wyjaśniłam sobie wszystko z panem „pluszowym młotkiem”. Dopiero kiedy nazwałam go Bartkiem, zajarzył, że go z kimś pomyliłam. Na początku wziął mnie za wariatkę. Uznał, że osobie nie zrównoważonej lepiej nie przerywać.

Facet wyjaśnił mi również, dlaczego to on jest pluszakami, a nie Bartek. Okazało się, że mój kumpel dwa dni temu wyleciał z roboty. Kierownik usłyszał, jak Bartuś mówił o nim, że on akurat nie musi się przebierać, żeby wyglądać jak młot. Tak — to był tekst w jego stylu.

Siedząc z Niuńkiem na ławce w pasażu za Domami Centrum, próbowałam opanować sytuację. Najpierw zadzwoniłam do Bartka. Automat poinformował mnie, że abonent jest poza zasięgiem. Może wrócił do domu, pomyślałam i wykręciłam numer stacjonarnego telefonu w naszym mieszkaniu. Po kilku długich sygnałach w końcu się rozłączyłam. Martwiłam się coraz bardziej. Dlaczego ani mnie, ani Kaśce nie powiedział, że stracił pracę? Przecież byliśmy przyjaciółmi...

Potrzebowałam wsparcia kumpeli — ale Kaśka też nie odbierała komórki. Tylko że w jej przypadku byłam na to przygotowana. Zwykle na planie miała sajgon, co oznaczało zero czasu na pitu pitu przez telefon. Jeśli miałam do niej jakąś ważną sprawę, jechałam na plan.

Piętnaście minut później znowu tłukłam się z Niuńkiem autobusem — tym razem do wytwórni filmowej na Chełmskiej.

* * *

— Pięć minutek i jestem — rzuciła do mnie (po raz setny) Kaśka i gdzieś pobiegła. Patrząc na nią, miałam wrażenie, że bieganie jest nieodłącznym elementem pracy w filmie.

Lubiłam obserwować plan. Praca ekipy, nie wyłączając aktorów, polegała na nieustającym czekaniu na ujęcie. W tym czasie każdy był zajęty ganiem swojego króliczka. Ale wystarczyło, że w łoki-toki zabrzmiał głos reżysera: „Kamera! Akcja!” — i wszyscy, od aktorów po chłopaków od kabli, byli na swoich miejscach.

Kaśka wyjrzała z charakteryzatorni, rzuciła nieśmiertelny tekst o pięciu minutach, po czym wróciła do malowania hord statystów. Nagle podszedł do mnie jakiś facet z ekipy i wcisnął mi do ręki papierową torbę z logo SUSHI TOWN.

— Słonko, podrzuć Szymkowi do kabiny. — Zanim zdążyłam zareagować, facet zniknął w czeluściach hali zdjęciowej.

Zostawiłam Niuńka na straży mojej torby i surowej ryby i weszłam do Kaśki, żeby ustalić, co to jest kabina i kim jest Szymek.

— Star... — wyjaśniłam po chwili Niuńkowi, komu niesiemy sushi.

Ja i pies stanęliśmy przed kamperem hollywoodzkich rozmiarów. Zapukałam, ale nikt nie odpowiedział. Wieszając na klamce torbę z sushi, niechcący otworzyłam drzwi. Zaliczyłam wymianę zdziwionych spojrzeń z Szymonem Korczem i z powrotem zatrzasnęłam drzwi kampera. Po raz drugi tego dnia kompletnie zdębiałam.

Nie dlatego że miałam bliskie spotkanie z polskim Ashtonem Kutcherem — jak młodego amanta ochrzcił Pudelek. Bardziej chodziło o okoliczności, w jakich go zobaczyłam. Siedział na dywanie i mówił do siebie w dziwnym języku. Był KOMPLETNIE NAGI. Złapałam Niuńka na rękę i uciekłam.

W charakterzatorni kotłowało się mnóstwo osób — nie miałam szansy opowiedzieć Kaśce o swojej przygodzie. Postanowiłam, że poczekam z tym, aż wróci do domu. Zresztą teraz miałyśmy ważniejszy temat do obgadania. Kaśka znalazła w końcu wolniejszą chwilę i mogłyśmy zastanowić się nad Bartkiem.

Usiadłam na fotelu przed oświetlonym żarówkami lustrem. Niuniek leżał na kanapie wtulony w moją torbę. Kaśka szykowała pędzle i podkłady do charakteryzacji kolejnej osoby.

— Dlaczego nam nie powiedział, że wylali go z pracy? — zapytała.

— Może nie chciał usłyszeć, że jest nieudacznikiem?

— Przecież żadna z nas by mu czegoś takiego nie powiedziała... — Kaśka urwała, dopiero teraz załapała sens mojej wstawki o „nieudaczniku”.

— On wie, że wcale tak nie myślisz. — Kaśka przygarnęła mnie do siebie.

— Tak? To dlaczego zaszył się pod ziemię? — Spojrzałam wyczekująco na przyjaciółkę, ale niespodziewanie usłyszałam męski głos.

— Może ze wstydu? — Szymon Korcz usiadł na fotelu tuż obok mnie.

Uśmiechnął się do Kaśki na powitanie. — Moja przyjaciółka przystąpiła do charakteryzacji aktora, który wypalił, patrząc wprost na mnie:

— Dobrze było?

— Słucham?

— Moje sashimi.

Kaśka miała minę pod tytułem: o co chodzi?

— Skąd mam wiedzieć? — Też nie miałam pojęcia, o co idzie gwiazdorkowi.

Badawczo łypnęłam na Korcza: pytania od czapy plus upodobanie do modelarstwa na golasa równa się przecpana mózgownica. Przypadłość nierzadka w szolbiznesie — podsumowałam gwiazdorską konstrukcję psychiczną własnego autorstwa, która już w następnej sekundzie legła w gruzach.

— Niuniek wygrzebał coś dziwnego z twojej torby — zauważyła Kaśka.

Spojrzałam w tym samym kierunku co ona — i замуrowało mnie po raz kolejny.

Yorkuś wyciągnął z mojej sakwy kradzionego łososia, po czym bez cienia żenady go skonsumował. Nagle pytania aktora Korcza nabrały sensu — zrozumiałam, co się stało.

Niuniek musiał chapnąć gwiazdorskie sashimi, kiedy zostawiłam go sam na sam z rybą i moją torbę. Cenny łup swoim zwyczajem zachomikował. W domu zdobyczne rarytasy upychał pod swój kocyk — w terenie pożyczyl sobie moją torbę. Korcz słuchał moich tłumaczeń z drwiącym uśmiechem.

— Nieładnie zrzucać winę na pieska...

Cała charakterzatornia zagotowała się ze śmiechu. Spojrzałam na Kaśkę — ona jedna się nie śmiała.

* * *

Tak robią przyjaciele, pomyślałam o swojej przyjaciółce, ewakuując się razem z Niuńkiem z autobusu, który przywiózł nas niemal pod sam dom.

Był ciepły, letni wieczór. Ruszyłam w stronę bloku, wlekąc się noga za nogą. Przyszło mi do głowy, że muszę wyglądać jak facet z zaczeską. I faktycznie, coś ciążyło mi wyjątkowo mocno — dzisiejszy dzień pokazał, że nie nadaję się na psychologa. Mieszkałam z Bartkiem pod jednym dachem — powinnam zauważyć, że coś jest nie tak. Mój przyjaciel stracił pracę i dusił to w sobie. A ja, pani psycholog, siedziałam tuż obok i niczego nie dostrzegłam. Jedyne, co umiałam zrobić, to z precyzją bezdusznej maszyny wypunktować słabości przyjaciela. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego aż tak mocno moje słowa trafiły Bartka. Był bez pracy, dziewczyny, perspektyw — czuł się jak nieudacznik. Przeze mnie uwierzył, że naprawdę nim jest.

W mieszkaniu powitało nas ciemne wnętrze. To znaczyło, że Bartek nie wrócił. Z ciężkim sercem zamknęłam drzwi. Przyjaciel to ktoś, kto pomoże ci wstać, jeśli się potkniesz o życie. A co ja zrobiłam? Odebrałam swojemu kumplowi tlen, myślałam. Podreptaliśmy do kuchni, żeby nalać Niuńkowi wody. Nagle zauważyłam na stole niedopity kubek z kawą. Był postawiony na kartce. Przeczytałam ją. Upiłam łyk kawy — była jeszcze ciepła. To znaczyło, że Bartek wyszedł całkiem niedawno. Porwałam Niuńka i wybiegłam z domu.

* * *

Pędząc taksówką, zerkałam na zegarek — Kaśka sprawdziła, że bus do Łomży odchodzi o dwudziestą pierwszą dziesiątą. Zostało pięć minut. Ona jechała z planu. Miała jeszcze dalej niż ja. Spojrzałam na prędkościomierz — jechaliśmy o wiele za wolno.

— Dycha ekstra za to, że pan wdepnie mocniej gaz. — Nagle się okazało, że taksówkarz to drugi Kubica. Hop i już podjeżdżaliśmy na plac Bankowy. W tym samym momencie co taksówka Kaśki. Tyle że obie dotarłyśmy o minutę za późno — Bartek już odjechał.

Stałyśmy na parkingu wściekle z bezsilności.

— Jest! — krzyknęła nagle Kaśka, pokazując na bus z „ŁOMŻĄ” wymalowaną na bocznej karoserii. Busik z włączonym migaczem czekał, żeby wbić się na pas ruchu. Rzuciłyśmy się do niego biegiem, po czym wdarłyśmy się do środka. Kaśka kazała Bartkowi się zbierać.

— Wracamy do domu!

* * *

Bus do Łomży odjechał, ale nasza trójka została.

— Fajnie, że przyjechałyście — powiedział Bartek. Obie z Kaśką przytuliłyśmy się do niego.

Usiedliśmy przy Słowackim i długo gadaliśmy. Przeprosiłam Bartka za swój poranny występ, po czym obie z Kaśką wygłosiłyśmy mu kazanie. W skrócie — zjechałyśmy go za to, że chciał zdezerterować do domu, zostawiając nas same na polu bitwy o przetrwanie w stolicy. Następnie wykrzyczałyśmy, że cokolwiek by się u niego działo, zawsze może na nas liczyć.

— Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. — Przybiliśmy piątkę i znowu byliśmy niczym trzej muszkietierowie, a raczej Tytus, Romek i A'Tomek, jak naszą trójcę nazywał Bartek.

Powiedziałam im, że po tym wszystkim mam wątpliwości, czy nadaję się na psychologa. I nagle każde z nich zasypało mnie milionem sytuacji, z których dzięki mnie wyszli na prostą. Wiedziałam, że wymyślają je naprędce, żeby mnie przekonać, że jestem urodzonym

psychologiem. Potknęłam się, a oni podali mi rękę — tak zachowują się przyjaciele.

Wracaliśmy do domu tramwajem — na jednym z przystanków wsiadł chłopak. Ten sam, którego wcześniej widywałam na tej linii. Wtedy wydawało mi się, że przypomina mojego brata. Teraz byłam pewna, że to on.

— Piotrek...

Brat odwrócił się do mnie — był równie zszokowany moim widokiem, jak ja jego.

— Myślałem, że nie lubisz komunikacji miejskiej — wydukał.

— A ja, że studiujesz informatykę we Wrocławiu.

Spojrzeliliśmy na siebie — oboje wiedzieliśmy, że zapowiada się długa noc.

Rozdział

TRZECI

Od jakichś dwóch godzin siedziałam nad Wisłą i dumałam o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy. Zwykle rwący nurt H2O pobudzał mnie do świątłych przemyśleń. Dlatego zostawiłam śpiącego Niuńka w domu pod opieką równie głęboko kimających Kaśki oraz Bartka i skoro świt przybyłam nad brzeg rzeki. Chciałam w samotności przemyśleć wczorajsze spotkanie z bratem. Nie chodziło o to, że kompletnie zaskoczyła mnie jego obecność w warszawskim tramwaju — chociaż wolałabym, żeby mnie poinformował o swojej wizycie w stolicy. Prawdziwy kłopot polegał na tym, że Piotrek nie zawitał do Warszawy przejazdem. On tu mieszkał od paru miesięcy! Gorzej — przez cały ten czas okłamywał mnie prosto w komórkę, wciskając ściemę, że pilnie zakuwa na polibudzie we Wrocławiu. — Płynie Wisła, płynie po polskiej krainie — zanuciłam do siebie na melodię *Marsza pogrzebowego* Chopina.

To wszystko, na co wpadłam do tej pory — najwyraźniej dzisiaj nie byłam w intelektualnej formie. Tym bardziej liczyłam, że prąd rzeki wstrząśnie twórczo moimi szarymi komórkami i doznam olśnienia w temacie: problemy wychowawcze z bratem.

— Heraklit też swoje odsiedział nad starożytną rzeką, zanim wykrzyczał „Panta rhei!” — pocieszałam się, wyczekując na własną eureka. Wtem usłyszałam czyjś głos:

— Nie ma jak rozmyślanie przy wschodzie słońca. — Zerknęłam czujnie w stronę rzeki. Niestety nie zagadnęła mnie ani złota rybka, ani warszawska Syrenka. Osobnik, który wyłonił się z sitowia, zaliczał się do gatunku licznie występującego na warszawskim brzegu — był przedstawicielem filozofujących wędkarzy.

Odkąd przyjechałam na studia do stolicy, męczyło mnie pytanie, co panowie z wędkami tak naprawdę robią nad Wisłą. Zaobserwowałam, że większość z nich nigdy nie ma w swoich wiaderkach choćby karasia. A jeśli już jakaś płocina nawinie się takiemu łowcy na haczyk, to zostaje wypuszczona z powrotem do rzeki. W końcu odkryłam tajemnicę farbowanych wędkarzy. Łapanie ryb jest dla nich przykrywką. Filozofowanie — oto czym zajmują się nad Wisłą.

Zakres rozważań nadwiślańskich myślicieli jest szeroki niczym królowa polskich rzek. Dyskusja toczy się według zasady: nie znam się, ale się wypowiem. Mój szef Erwin Anielak również ją praktykuje. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że jest jednym z mędrków znad Wisły. Już widzę, jak odziany w kaloszki siedzi na turystycznym krzeselku i przy wędce na stojaku snuje rozważania: od obecności starożytnych kosmitów na Jukatanie po umiejętności kulinarne Magdy Gessler.

— Oj, coś mi się wydaje, że tu się rozważa dylematy ciężkiego kalibru — filozof z sitowia próbował nawiązać ze mną kontakt. — Poznają po zafrasowanym licu.

Postawiłam na milczenie w nadziei, że to zniechęci sąsiada do prób wciągnięcia mnie w dyskusję. Pomyliłam się.

— Oczywiście można dusić w sobie problem, ale po co się tak męczyć w samotności? Tak jak ja konsekwentnie się nie odzywałam, tak on wręcz przeciwnie.

— Przecież rozmowa nic nie kosztuje, a zawsze może z niej wynikać coś pozytywnego

— zarzucił złotą myśl niczym przynętę. Teraz z napięciem obserwował, czy dałam się złapać na haczyk.

Musiałam przyznać, że w tym, co powiedział, było ziarnko prawdy. Nie miałam nic do stracenia, a facet był w wieku wskazującym na posiadanie potomstwa. Jako potencjalny rodzic ze stażem mógł okazać się ekspertem w postępowaniu z trudną młodzieżą płci męskiej.

Zdecydowałam się opowiedzieć mu o swoim kłopotcie. Wysłuchał z uwagą, zasępił się, a ja z napięciem oczekiwałam na radę godną wyroczeni w Delfach. W końcu przemówił:

— Szlaban na kompa i będzie chodził jak w zegarku!

Byłam zawiedziona — wędkarz, owszem, był tata, ale dwunastolatka. Może na etapie podstawówki taka filozofia się sprawdzała. Niestety, ja swojemu bratu — ani nikomu innemu — niczego nie mogłam zabronić.

— W takim razie powiedz o wszystkim rodzicom, skoro sama nie umiesz trafić do brata — zawyrokował mędrzec, po czym próbował wciągnąć mnie w dyskurs pod tytułem „Telewizja kłamie”.

Nie dałam się. Porzuciłam zarówno jego, jak i dalsze gapienie się w wodę. Jednak zanim odeszłam, podziękowałam wędkarzowi za rozmowę. Trafił w sedno — moje obecne problemy z bratem były skutkiem tego, że nie umiałam z nim rozmawiać. Po wczorajszej kłótni szanse na nasze porozumienie spadły grubo poniżej zera.

* * *

KILKA CHWIL PRZED MOMENTEM NADANIA MI TYTUŁU: SIOSTRA GORZEJ NIŻ NAJGORZEJ

— Jak to rzuciłeś studia?! — W tym momencie jeszcze liczyłam, że usłyszę od brata jakieś zdroworozsądkowe wyjaśnienia.

Z sekundy na sekundę traciłam resztki nadziei. Mimo nerwowych okoliczności starałam się zachować spokój. Nie chciałam, aby cały tramwaj usłyszał, że mój brat jest nieodpowiedzialnym szczeniakiem.

— Informatyka to była pomyłka. — Jednak z każdym kolejnym zdaniem wypowiedzianym przez Piotra coraz trudniej było mi stłumić irytację.

Dowiedziałam się, że mój braciszek desant do stolicy obmyślił razem z Jaro, innym mózgiem ze swojego roku. W Warszawie przytulił ich ziom owego Jara. Braciszek raczył zaznaczyć, że owszem, planował powiedzieć mnie i mamie o swoich autorskich planach na życie. Kiedy? W odpowiedniej chwili. Poinstruował mnie też, że bym nie pękała, bo on ma wszystko obczajone.

— Wawa to miasto możliwości, siostra — wypalił z wrodzoną lekkością.

Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Docierało do mnie, że Piotrek od dwóch miesięcy prowadził podwójne życie: w jednym był wzorowym żakiem we Wrocławiu (tą optymistyczną wizją raczył mnie i mamę). W realu zaś wiódł żywot luzaka warszawiaka.

Kiedy ja z wrażenia trzepotałam rzęsami, on z niezmaconym spokojem kontynuował zalewanie mojej mózgowicy kolejnymi falami niusów, nadpływającymi niczym tsunami.

— Obecnie załapałem się u chińczyka — powiedział Piotruś, po czym wyjął z kieszeni ulotkę z baru i jak gdyby nigdy nic zaczął zachwalać orientalne menu. — Siostra, mówisz, że jesteś ode mnie i masz dziesięć procent rabatu na całą chińszczyznę. Wy też, ziom — oznajmił wielkodusznie, machając do Kaśki i Bartka.

Rzeczony ziom, widząc moją minę, rozpoczęły wraz z Niunkiem ewakuację na tył tramwaju. W odróżnieniu od Piotrunia, załapali, że tracę resztki powagi Stańczyka od Matejki na

rzecz *Szalu* Podkowińskiego. Mieli wycucie chwili. Właśnie w tej sekundzie nastąpiła erupcja moich emocji. Wybuch był głośny i gwałtowny.

W skrócie — ja się darłam na brata, że ma wrócić na studia albo o wszystkim powiem mamie. A Piotrek? Skorzystał z okazji, że tramwaj zatrzymał się na przystanku i po prostu wysiadł. W drzwiach rzucił do mnie:

— Jesteś gorzej niż najgorzej, siostra. — Po czym sobie poszedł.

Co mi pozostało? Ze złości i bezsilności podarłam jego ulotkę z orientalnymi przysmakami.

— Zabiję gnojka — powiedziałam jeszcze.

Nie muszę dodawać, kogo miałam na myśli.

* * *

Teraz zdecydowanie cieplej myślałam o bracie. Serio — wczoraj byłam pewna, że już w życiu się do niego nie odezwę. Wkurzył mnie jak mało kto. Ostatnio tak negatywne emocje wywołała we mnie jedna fryzjerka. Jakies pół roku temu dałam jej się namówić na ziołową trwałą i lekkie farbowanie. Moje włosy miały wyglądać na naturalne loki muśnięte słońcem. Tymczasem w lustrze zobaczyłam klon Sally Spectry z *Mody na sukces*. W skrócie — miałam tapir w kolorze ultrawściekła marchew. Masakra! Ale kolor się zmył, włosy odrosły, a numer fryzjerki wykreśliłam ze swojej komórki i było po sprawie.

Brata nie dało się tak po prostu wymazać gumką myszką. Był nieusuwalnym elementem mojego życia. Cokolwiek zrobił, nie mogłam odwrócić się od niego na pięcie. Za bardzo kochałam pacana, żeby pozwolić mu na życiową samowolkę w stylu wolna amerykanka. Dzięki wędkarzowi spojrzałam na całą sprawę z Piotrkim inaczej. Powinnam wiedzieć, co się u niego dzieje. Zawsze trzymaliśmy sztamę.

Kiedy ojciec nas zostawił, Piotrek miał pięć lat, ja dziesięć. Może dlatego czułam się za niego odpowiedzialna. Zawsze stawałam murem za bratem — jak na osiedlu szurali do niego jacyś podwórkowi mistrzowie świata, ja w odwecie lałam ich skakanką. Kiedy mama wracała z wywiadówki bogatsza o wiedzę, że jej synuś jest prymusem, ale w załapywaniu pał — tłumaczyłam, że na pewno zła nauczycielka się na niego uwzięła. Brat też krył mnie z nie mniejszym zapałem, gdy, zamiast na angielski, szłam z Kaśką pośmigać na łyżwach albo do kina. Mieliśmy jedną zasadę — nigdy nie ściemnialiśmy sobie nawzajem.

Tymczasem teraz Piotrek zrobił życiowego twista i ukrył to przede mną. Odpowiedź na pytanie: „dlaczego?” nie była dla mnie miła. Straciłam kontakt z bratem — taki był smutny fakt. Jeszcze smutniejsze było uświadomienie sobie, że ja — starsza siostra — przegapiłam moment, kiedy to się stało. Bijąc się z tymi myślami, weszłam do sklepu rowerowego — dzisiaj w końcu miałam odebrać swojego holendra.

* * *

— Co mogę dla ciebie zrobić? — powitał mnie chłopak, który się przedstawił jako Nowy. Ja nazwałam go CeKaEm — wypowiadał słowa z prędkością serii z karabinu maszynowego. Dostałam odpowiedź na pytania, zanim zdążyłam je zadać. I tak dowiedziałam się, że:

— CeKaEm pracuje w sklepie Ola i Seby od trzech dni.

— Przez weekend jest sam, bo chłopaki wybyli do Szczyrku, żeby góralami pojeźdzać na dzio z Małego Skrzycznego, co on osobiście uważa za słabe, bo jest za krosem, ale na

wyznaczonych trasach.

Kiedy wziął oddech przed załadowaniem kolejnego magazynka, zdołałam się przebić z pytaniem o mój rower.

— Aaaa, żółtas — zaskoczył, po czym wyprowadził z zaplecza żółtego holendra.

Kiedy odwróciłam się, aby zobaczyć rower — totalnie osłupiałam. Tak musiała wyglądać żona Lota, kiedy zamieniła się w słup soli.

— Bajk zrobiony na cacy, to nie dziwny ten megazachwyty w oku. — Jednak chłopak zdecydowanie mylnie odczytał moje emocje.

Swoją pomyłkę zrozumiał, kiedy wbiłam w niego piorunujące spojrzenie. Wściekle iskry, jakie posypały się w jego stronę, przekonały go, że wcale a wcale nie byłam zachwycona rowerem. Było dokładnie odwrotnie. A że wydarzenia ostatniej nocy zdecydowanie stępiły łagodną stronę mojego „ja”, ryknęłam na chłopaczynę:

— Z czym ty mi tu wyjechałeś?!

— No... to twój holender jest — odpowiedział spłoszony CeKaEm.

Problem polegał na tym, że chłopak miał rację — ale w połowie. Rower, który stał przed mną, owszem, był holendrem — tylko że nie moim. Ten miał plastikową lampkę od dynama, moja była chromowana; mój miał odrapaną naklejkę „Amsterdam” z przodu na ramie, a ten nie.

Coraz bardziej wzburzona, wyrzucałam z siebie znaki szczególne, które różniły moje dwa kółka od tych, przed którymi właśnie stałam. CeKaEm słuchał mnie z coraz większym spokojem. Dziwne, bo nie znalazł mojego roweru, ani w sklepie, ani na zapleczu. W tej sytuacji zgrywa „na stoicki spokój” wkurzyła mnie maksymalnie.

Uśmiechem na Buddę możesz czarować swoją dziewczynę, ale nie mnie! — już miałam wykrzyknąć w spokojne oblicze CeKaEma, ale mnie uprzedził.

— Wiem, gdzie jest twój rower!

Dalszy ciąg jego wypowiedzi ukoił moje nerwy, ale tylko częściowo. Chłopak przypomniał sobie, że wczoraj wydał jednemu facetowi żółtego holendra bliźniaczko podobnego do mojego.

— Musiałem pomylić rowery! — zawyrokował rozpromieniony. — Zaraz się wszystko odkręci. — Nie bardzo przekonywało mnie wyjaśnienie sprzedawcy nowicjusza.

— Jakim cudem facet nie zorientował się, że odbiera nie swój rower? — wraz z moim pytaniem ulotniła się pewność CeKaEma co do odkręcenia sytuacji.

CeKaEm chwycił zeszycik, żeby zlokalizować numer do klienta, z którym wiązał nadzieję na odzyskanie mojego roweru. W końcu udało mu się dozwonić do faceta. Teraz byłam świadkiem, jak usiłuje wyjaśnić swojemu rozmówcy zaistniały mętlik. Prędkość, z jaką CeKaEm wyrzucał słowa do słuchawki, wprowadzała taki chaos, że nawet ja się pogubiłam. Osoba po drugiej stronie telefonu miała zerowe szanse na załapanie czegokolwiek. Nie mogłam na to beczynnie patrzeć — przejęłam słuchawkę.

Facet okazał się inteligentnym rozmówcą. Co najważniejsze — przyznał, że faktycznie mógł się pomylić, bo rower nie był jego, tylko siostry. Akurat wyjechała z Warszawy i poprosiła go, żeby odebrał z serwisu jej holendra. O rowerze siostry wiedział tylko, że jest żółty.

Jaki uczynny brat, pomyślałam z sympatią o koleśku, którego po głosie określiłam na zbliżonego wiekiem do mnie.

Wymyśliliśmy, że najprościej będzie, jak ja wezmę rower jego siostry i wymienimy się holendrami gdzieś w mieście. Facet miał czas dopiero po osiemnastej. Umówiliśmy się na placu Zbawiciela.

— Nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Mam nadzieję, że ta pomyłka to nie przypadek, tylko przeznaczenie — zakończył rozmowę żartem, a ja dopisałam mu drugiego plusa

za poczucie humoru.

Uff — odetchnęłam z ulgą — mój rower był cały i zdrowy.

Ciekawe, czy jego tymczasowy właściciel wygląda równie sympatycznie, jak brzmi. Nie zdążyłam jednak pogłębić tego tematu, ponieważ dramatyczny głos CeKaEma sprowadził mnie z obłoków z powrotem do sklepu z rowerami. Nowy, z tragizmem godnym Sceny Narodowej, obwieścił, że jego kariera sprzedawcy rowerów jest w moich rękach.

— Seba i Olo zostawili mnie tu na próbę. Ogarniam, zostaję. Nie, to baj, baj. Krótka piłka — wyłożył zasady swojego być albo nie być.

Uspokoiliam go przysięgą na słowo harcerza, że nie zamierzam naskarżyć na niego chłopakom i byłam gotowa na dalsze przygody.

Ze skrawka chińskiej ulotki odczytałam adres knajpy, w której pracował mój brat, i ruszyłam na nie swoim holendrą naprawiać pęknięcia w naszej siostrzano-braterskiej sztampie.

* * *

Droga do chińczyka, w którym rozwijał skrzydła mój brat, wiodła przez park. Był to ten sam zielony zakątek, w którym ja, Kaśka i Bartek zakopaliśmy swoje „sekrety”. Skręciłam w alejkę prowadzącą do miejsca, gdzie je ukryliśmy — chciałam zobaczyć, czy spoczywają w pokoju.

Jak na razie nie zanosilo się, że to, co zapisałam na swojej kartce, miało się ziścić. Nie wiedziałam, jakie marzenia ukryli pod swoimi szkiełkami Kaśka i Bartek, jednak zdawałam sobie sprawę, że w ich życiu, podobnie jak w moim, panowały się porażki. Scenarzysta z Góry przy rozpisywaniu losów naszej trójki zapomniał o pozytywnych zwrotach akcji. Co gorsza, nic nie wskazywało na to, że zamierza je dopisać — ciągle pikowaliśmy w dół.

Bartek — notoryczne problemy z kasą, pracą i rodzicami.

Kaśka — ciągle rozczarowania w temacie: miłość po grób.

No i ja. Życie zawodowe: zero punktów. Życie prywatne: zero punktów. Życie rodzinne: zero punktów.

Jedno wielkie zero — podsumowałam swój dorobek, stając nad klombem, pod którym leżakowały nasze trzy „sekrety”.

Pamiętałam, że mój ulokowany był pośrodku — wbiłam wzrok w to miejsce. Dojrzewała we mnie chęć odwetu za niezrealizowane marzenia.

— Wykopię cię, skoro i tak nie działasz! — Już miałam wziąć się do rozgrzebywania ziemi, ale w tym momencie rozproszył mnie komplement na temat nie mojego roweru wypowiedziany przez truchtającą wokół klombu sportsmenkę.

Kwestia roweru, wywołana przez niezmordowaną krzewicielkę hasła „biegam, bo lubię”, przekierowała moje myśli na znacznie przyjemniejsze obszary niż kopanie w parkowym poszyciu. Zajął się bowiem snuciem fantazji na temat faceta, którego poznałam wskutek rowerowej afery. Właściwiej byłoby powiedzieć — usłyszałam. Bo poza tym, że gość umie wypowiedzieć parę sensownych, a nawet zabawnych zdań, nic o nim nie wiedziałam. Mieliśmy się spotkać... A co jak nie przyjedzie? Nie wzięłam od niego telefonu. Ale w razie czego CeKaEm miał jego numer w swoim zeszytiku. Mogłam przynajmniej zapytać go o imię. A może lepiej, że tego nie zrobiłam? Jeszcze wyszłoby, że się narzucam. W końcu mieliśmy się tylko wymienić rowerami — żadna wielka sprawa. Ale skoro tak — to dlaczego rozkminiam w tę i w tę faceta, którego nie widziałam na oczy? Odpowiedź na to pytanie była prosta.

Po cyklu niespodzianek w stylu makabra, jakie ostatnio zaliczałam z regularnością, z jaką Radwańska dostawała manto rakiety Sereny W., komórkowa rozmowa z tym zachęcająco dobrze

brzmącym osobnikiem płci męskiej była miłą odmianą.

Wyczułam, że trochę mnie zaczepiał. A może mi się tylko wydawało? Tak czy inaczej mieliśmy się spotkać. Istniał cień szansy, że nasze rendez-vous w realu nie okaże się kolejną wtopą do mojej kolekcji.

Wbiłam ponownie wzrok w miejsce, gdzie ukryłam swój „sekret” i... zmieniałam zdanie co do jego przyszłości. Może nie chciałam brudzić paznokci ziemią, a może uwierzyłam w czary-mary zakopanej karteczki? Tak czy siak zdecydowałam, że dam jeszcze szansę swojemu marzeniu. A nuż się spełni...

Położyłam rękę na trawie, pod którą tkwiło szkiełko z życzeniem i wypowiedziałam coś à la zaklęcie:

— Dojrzewaj. Niech wykiełkuje z ciebie coś dobrego.

Gdyby akurat ktoś zapytał, po co dorosła kobieta wyczynia takie hece, mogłabym odśpiewać Krystyną Jandą:

— Bo ja jestem, proszę pana, na zakręcie.

Tak jak tonący chwytą się brzytwy, ja uczepiłam się infantylnej wróżby z czasów podstawówki. Byłam głodna sukcesu w jakiegokolwiek dziedzinie życia. Spotkanie z uczynnym gościem od roweru mogło stać się okazją do zdobycia punktu w rubryce „życie prywatne”.

Szczerze? Satysfakcjonowałyby mnie nawet jednorazowy seks.

Byłe w finale znalazł się *orgasmus*, *orgasmi* — było to jedno z niewielu słówek, które potrafiłam odmienić po dwóch latach łaciny.

Zawstydzona swoją bezwstydną pomknęłam holendrem siostry mojego potencjalnego znajomego na spotkanie z własnym bratem.

* * *

— Cień zombie — usłyszałam na powitanie i odpadłam.

Nie chodziło o wstrząs wywołany kulturowym miksem w postaci staropolskiego powitania w kantońskim dialekcie. Oszło mi, że osoba, która tak serdecznie przyjęła mnie w chińskim barze. Nie był to mój brat — chociaż widok Piotrka we wdianku rodem z Chinatown mógł być równie piorunujący.

Za ladą stał ni mniej, ni więcej, tylko sam Jackie Chan. Jako fanka *Godzin szczytu* byłam o krok od poproszenia go o autograf.

Jednak kiedy minęła pierwsza faza szoku, wykonałam ekspresowy rachunek prawdopodobieństwa. Wyszło mi, że możliwość, by gwiazdor z Hollywood dorabiał sobie w polskim chińczyku, jest totalnie niemożliwa. Dużo bardziej realne było, że uśmiechnięty Azjata był po prostu ładnym podobnym do sławnego aktora.

Pogodziwszy się z tym faktem, przystąpiłam do realizacji planu, który sprowadził mnie w gościnne progi orientu.

— Szukam Piotrka — wyjawiałam cel swej wizyty skośnookiemu mężczyźnie. — Czy jest w pracy?

Sobowtór Chana posadził mnie przy stoliku, wcisnął w dłoń znajomą ulotkę z menu, sam zaś zniknął za drzwiami kuchni. Z napięciem czekałam, aż pojawi się w nich ponownie — tym razem w towarzystwie mojego brata. I faktycznie — po chwili Chińczyk wyszedł z kuchni, ale zamiast Piotra miał ze sobą zestaw przypraw. Ustawił je na moim stoliku, po czym wskazał na menu:

— Jeż wieś dynie?

Jako osoba niezbyt obyta z chińsko-polskim slangiem mogłam się tylko domyślać, co

powiedział do mnie przedstawiciel Państwa Środka. Obstawiłam, że pytanie dotyczyło kwestii wyboru dania. Próbowałam wyjaśnić, że nie jestem głodna — przyszłam, żeby porozmawiać z bratem.

— Czy tutaj pracuje P I O T R E K? — starałam się wysławiać najwyraźniej, jak potrafiłam, niczym Krystyna Czubówna.

Jednak gdy zobaczyłam olbrzymie znaki zapytania w oczach swojego rozmówcy, zaczęłam podejrzewać, że mówi on po polsku tylko nieco lepiej niż ja po chińsku, czyli prawie wcale. To oznaczało, że nie dogadamy się za Chiny ludowe.

— *Do you speak English?* — zagałam desperacko.

Na szczęście okazało się, że *yes, he does*.

Ku mojej uldze chiński poliglota nie prezentował oksfordzkiego poziomu — mówił na tyle słabo, że byłam w stanie go zrozumieć.

Dowiedziałam się, że rozmawiam z samym właścicielem baru. Szef nie kojarzył Piotrka z imienia, *because* w środowisku chińskiej gastronomii mój brat brylował pod ksywą „Pi”. Pechowo dla mnie dzisiaj akurat była sobota i Pi pracował na popołudnie — zaczynał o piętnastej. Spojrzałam na zegarek — dochodziła dziesiąta. Pomyślałam, że zamiast czekać pięć godzin, pójdę za ciosem i nawiedzę brata w jego warszawskim lokum. Przy okazji zlustрую, jak, gdzie i z kim pomieszkuje. Niestety — boss nie znał adresu swojej siły roboczej.

W takiej sytuacji pozostało mi do zadania już tylko jedno pytanie.

— *Do you know actor Jackie Chan?*

Musiałam się upewnić, czy nie są rodziną.

No i miałam nosa — coś łączyło Chińczyka z Warszawy z rodakiem z Hollywood. Obaj nazywali się Chan. Niestety poza nazwiskiem nie mieli ze sobą nic wspólnego.

* * *

Stojąc przed barem pana Chana, zastanawiałam się, co dalej. Teoretycznie mogłam zadzwonić do Piotrka. Jednak wolałam tego uniknąć — chciałam szczerze porozmawiać z bratem. Taka rozmowa mogła się odbyć tylko twarzą w twarz. Nasze kontakty via komórka od jakiegoś czasu były zdawkowe do bólu. Im krócej, tym wygodniej.

— Jak leci, braciak?

— Spoks, a u ciebie siostra?

— Gra.

— To fajowo, w kontakcie.

To nie jest rozmowa osób, które naprawdę chcą się dowiedzieć, co u kogo słychać. Dialog jak z filmu o rozpadzie siostrzano-braterskiej więzi. Scena powinna się kończyć kwestią siostry:

— Telefon do brata odbębniiony.

Gdybym była Krzysztofem Zanussim, pewnie ucieszyłabym się z takiej inspiracji. Jednak w swoim obecnym wcieleniu wolałam, aby moje życie nie przypominało kina moralnego niepokoju.

Konflikt z Piotrkiem pokazał coś jeszcze. Identycznie jak w wypadku ostatniej sytuacji z Bartkiem — znowu zawałam egzamin z relacji międzyludzkich. Miałam aspiracje do bycia lekarzem dusz, a tymczasem w konfrontacji z najbliższymi zawodziłam. Jak echo powróciło do mnie pytanie: Czy ja aby na pewno nadaję się na psychoterapeutę?

W ramach zagłuszania nieprzyjemnych myśli poddałam swoim zwojom mózgowym do rozważenia kwestię lżejszego gatunku: co dalej z tak niezbyt pięknie rozpoczętym dniem? Gdzieś z tyłu głowy zaświtało mi mgliste przeświadczenie, że zapomniałam o czymś ważnym. Tylko

o czym? Na rozważenie tego dylematu nie pozwoliła mi smuga zwątpienia, która coraz większym cieniem kładła się na moim, do niedawna stuprocentowym, przekonaniu na temat tego, co chcę w życiu robić. Niepokojące pytania lądowały pod kopułką mojej czaszki tak gęsto, jak boeingi na Okęciu po zamknięciu Modlina.

Dlaczego nie udało mi się zaistnieć w psychologicznej branży? — zsumowałam wątpliwości w pytaniu do samej siebie.

Do tej pory wmawiałam sobie, że dzieje się tak zasadniczo z dwóch powodów:

1) Nie miałam szczęścia.

2) Moje szanse na zawodowy sukces zmniejszyła konkurencja w postaci rzeszy innych magistrów psychologii.

A może wyjaśnienie było dużo prostsze? Co, jeśli najzwyczajniej w świecie nie miałam predyspozycji do bycia psychoterapeutką?

Radykalność własnej konkluzji zmroziła mnie po cebulki włosów. Taka wersja była dla mnie tym, czym dla dinozaurów uderzenie meteorytu — końcem świata. Z bitwy z myślami wyrwała mnie melodyjka komórki. Całe szczęście dzwoniła Kaśka. Telefon od przyjaciela był jedynym, jaki w tej chwili chciałam odebrać.

— Jak szybko możesz być u mnie na planie? — wyczułam niepokojącą ekscytację w głosie koleżanki.

— Coś się stało? — spodziewałam się najgorszych rewelacji w stylu: Kaśka wyleciała z pracy.

— Jest sprawa — enigmatyczna odpowiedź przyjaciółki jeszcze bardziej wzmogła moją czujność.

— Jaka? — Dobra wiadomość była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam. Byłam pewna, że to, co zaraz usłyszę, podniesie poziom pesymizmu w moim krwiobiegu do maksimum.

* * *

W temacie wpływu niusów od Kaśki na stan moich nerwów trafiłam — ale kulą w płot! Ku mojej radości przyjaciółka miała dla mnie propozycję z rodzaju tych nie do odrzucenia. Szczęśliwy traf sprawił, że akurat dzisiaj pracownicy paryskiego lotniska Charles'a de Gaulle'a postanowili wyrazić swoje niezadowolenie z pobieranego wynagrodzenia i zastrajkowali. Tym sposobem pasażerowie, zamiast wzbić się w niebo na pokładach samolotów, zostali uziemieni w porcie lotniczym. Tak się złożyło, że wśród nich była osoba, która miała dzisiaj rano pojawić się na planie serialu Kaśki.

Pechowa podróżniczka była psychologiem zatrudnionym przez produkcję *Szeptów miłości* w roli konsultantki. Do scenariusza wprowadzono bowiem nową postać — psychoterapeutkę. Dzisiaj kręcono pierwsze sceny rozgrywające się w gabinecie serialowej pani doktor. Z racji tego, że konsultantka tkwiła w podparyskiej hali lotów, trzeba było na gwałt zorganizować kogoś na jej miejsce. Kaśka zareklamowała produkcji moją skromną osobę jako wybitną absolwentkę psychologii, która bankowo sprawdzi się jako konsultant.

Jak mama się dowie, to oszaleje, myślałam, cisnąc na pedały z mocą Lance'a Armstronga na doping. Byłam córką przedstawicielki wiernej serialowej widowni. Kiedy Kaśka dostała pracę w *Szeptach miłości*, w oczach mojej rodzicielki urosła do NBA-owskich rozmiarów Marcina Gortata.

Wyczyny syna też do tej pory jej nie powalały. Przepraszam — wiadomość, że Piotrek aktualnie zdobywa kucharskie szlify pod okiem pana Chana, z miejsca zwałiłaby matulę z nóg. Za to nius, że córka została zatrudniona w *Szeptach miłości*, mógł w końcu napuszyc ją

rodzicielską dumą niczym pawia z królewskich Łazienek.

— Wiecie, gdzie pracuje moja Zosia? — W końcu mama mogłaby zabłysnąć córką przed psiapsiółkami z Głównego Urzędu Poczтового w Kielcach.

To co nie udało się magistrowi psychologii, mogła nadrobić serialowa konsultantka. Z tą optymistyczną myślą dobiłam do mety na Chełmskiej.

* * *

Teraz czekałam w charakteryzatorni na rozwój wydarzeń. Czas umilałam sobie odmalowywaniem w coraz czarniejszych barwach swojego debiutu w roli konsultanta. Kaśka wspierała mnie jak zawsze.

— Wyłącz komórkę i włącz na luz. — Z wykonaniem pierwszego polecenia przyjaciółki nie miałam kłopotu. Z drugim było gorzej.

Zaczęłam się zastanawiać, czy moja zgoda na udział w serialu nie była decyzją z gatunku kompletnie nieprzemyślanych. Omamiona perspektywą zaistnienia w branży filmowej oraz kolosalną mamoną w postaci czterystu sześćdziesięciu polskich złotych, które miałam dostać za konsultację na planie, na propozycję Kaśki pochopnie odpowiedziałam: super. I mimo że realizację scen miałam obserwować od kulis, to pierwszy raz w życiu czułam na gardle ostre ząbki tremy.

A co, jak nie dam rady? W tym momencie Kaśka nie miała jak mnie wesprzeć, gdyż pomknęła pudrować noski tabunowi statystek, które właśnie zaludniły charakteryzatornię.

— Słodziak, to bułka z masłem. — Rolę mojego pocieszyciela przejął Robik, jej kolega, też mejkapista.

Uśmiechnął się, pacając mnie filuternie pędzlem od pudru, którym akurat pokrywał oblicze jakiegoś aktora w sutannie.

Nie kojarzyłam gościa, więc uznałam, że jest wschodzącą gwiazdą — na schodzącą był za młody.

— Tło czy epizod? — zagadnął mnie artysta, którego nie znałam nawet z reklamy. Gdy usłyszał, że nie jestem aktorką, prychnął z lekceważeniem.

— Skoro nie występujesz przed kamerą, to czym się zajmujesz? — Jego zdaniem ktoś taki jak ja nie miał kwalifikacji do przeżywania autentycznej tremy.

— Ja to mam dopiero stresa rozmiarów dwóch Ameryk! — wyjął Przemek, bo tak miał na imię odtwórca roli księdza. — Pierwszy raz dostałem rolę, w której mam kwestię do wypowiedzenia — ogłosił z namaszczeniem godnym nominacji do Oscara.

Okazało się, że odkąd dwa lata temu skończył Akademię Teatralną, obsadzano go albo w niemych epizodach, albo w roli tła — co, jak zaznaczył, było kompletnym poniżeniem dla dyplomowanego aktora. Teraz miał szansę zaprezentować swój warsztat w całej pełni.

— *Szepto miłości* ogląda pół Polski, drugie pół ślęczy przy serialu z klechą na rowerku. — Swoją drogą zawsze ciekawiło mnie, jak to jest, że choć wyniki oglądalności pokazują, że tasiemce mają milionową publikę, to jak zapytać kogoś ze znajomych, wychodzi na to, że wszyscy odpalają swoje plazmy na TVP Kultura. Natomiast kolega Przemek z popularnością *Szeptów miłości* wiązał dalekosiężne plany.

— Jako ksiądz połączę obie połówki. Cały kraj oszaleje na punkcie przystojniaka w sutannie. — Adept Akademii Teatralnej widział swoją karierę jako pasmo niekończących się sukcesów. — Będę przebierać w dobrych rolach jak Marek Kondrat w markowym winie — postawił kropkę nad i.

Pozzdrościłam mu optymizmu — ja swoją przyszłość w zawodzie psychologa w tej

chwili opisałabym dwoma krótkimi słowami: brak perspektyw. W innym wypadku pewnie nie zdobyłabym się na próbę sił na planie filmowym, praca konsultanta jawiła mi się jako coś na kształt planu B na życie. zaproponowałam aktorowi, który właśnie schodził spod pędzla Robika, żeby w ramach próby generalnej zaprezentował się nam w kreacji księdza. Zgodził się, uznając, że takie „rozegranie” dobrze mu zrobi. Odchrząknął, odkaszlnął i z pełnym skupieniem wcielił się w swoją rolę.

— Okłamujesz żonę, tak nie można... — W tym miejscu przerwał, gdyż w charakteryzatorni rozległ się szmer tłumionego śmiechu.

Owa radość nie była aplauzem wywołanym komediowymi umiejętnościami artysty. Wesołość spowodował barani głos, jakim zaskrzypiał Przemek. Trema tak przeżarła mu struny głosowe, że zamiast księdza dobrodzieja usłyszeliśmy ministranta w trakcie mutacji. Ośmieszony, wyszedł, nie kończąc swojej kwestii. Czułam się okropnie — w pewnym sensie to ja wystawiłam Przemka na pastwę przypadkowej publiczności. Wybiegłam za nim z charakteryzatorni.

— Jestem beznadziejny — powiedział, kiedy usiadłam obok niego na korytarzu.

Chłopak w niczym nie przypominał przebojowego optymisty, jakim był jeszcze chwilę temu. Wiara w siebie uleciała z niego z prędkością światła. Zaraz miał stanąć przed kamerą, a ja widziałam, jak nerwy zjadają jego aktorskie ambicje. Było bardziej niż prawdopodobne, że w takim stanie zawali rolę. Nie mogłam beczynnie patrzeć, jak pokonuje go stres.

— Wiesz, co powiedział Anthony Hopkins, jak krytyka zjechała jego pierwszy film? — Na ratunek wezwałam swojego ulubionego aktora.

— Co? — rzucił cicho Przemek. Stan jego emocji zdradzały pracujące na pełnych obrotach kości żuchwy.

— Jak cię wyśmieją, próbuj dalej, bo co masz do stracenia — wyrecytowałam i spojrzałam na Przemka. Dalej siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę i bawił się palcami. Niestety wyglądało na to, że doktor Lecter nie był bohaterem z jego bajki. Na domiar złego z charakteryzatorni wyszła Kaśka z informacją, że drugi reżyser czeka na mnie w biurze produkcji. Nie miałam wyjścia — musiałam się pożegnać z odtwórcą roli księdza.

— Powodzenia!

Nie zareagował. Z ciężkim sercem ruszyłam za Kaśką do wyjścia.

— Gdyby Hopkins wtedy wymiękł, nie zagrałby Hannibala? — usłyszałam za sobą głos Przemka.

Odwrociłam się do niego.

— Dokładnie! — Pokazałam mu wyciągnięty kciuk. Odpowiedział mi lekkim uśmiechem.

Miałam nadzieję, że dzięki motto Anthony’ego Przemek poczuje wiatr w żaglach. Tym bardziej że sama je wymyśliłam.

* * *

— Drugi — przedstawił się koleś, z którym zostawiła mnie Kaśka. — Tutaj jestem pierwszy, zaraz po samym Panu Bogu, wiesz jak jest — dorzucił z miną, jakby chciał powiedzieć: „grupa trzymająca władzę to ja”.

Z opowieści Kaśki pamiętałam, że na planie rolę Wszechmocnego odgrywa niepodzielnie jedna osoba — reżyser. Mój towarzysz nieco inaczej widział jego miejsce w serialowej hierarchii ważności.

— Iwański. Przeszedł do nas z teatru, dla kasy. Facet nie ma cienia filmowego

doświadczenia, wiesz jak jest. — Miałam podejrzenie, że Drugi rysuje przede mną sylwetkę Pierwszego cokolwiek nieobiektywnie. — Wielki mi artysta, szuka pierdół typu głębia, drugie dno i tym podobne ble, ble, ble. A kto w praktyce kręci ten serial? — Po wywodzie, jaki mi zaserwował, odpowiedź mogła być tylko jedna.

— Ty?

— Trafiłaś! — Mój rozmówca potwierdził skromnie swój wkład w proces twórczy.

Mimo posiadania ego rozmiarów Pałacu Kultury i Nauki Drugi okazał się całkiem spoko. Niczym człowiek, który na Discovery Channel uczy, jak przetrwać każdy kataklizm, udzielił mi szybkiej lekcji ze sztuki przetrwania na planie.

— O ile nikt cię o nic nie zapyta, w ogóle się nie odzywaj. Wiesz jak jest.

Nie wiedziałam.

— Ale przecież jestem konsultantem. Muszę zareagować, jak wyłapię jakąś skuchę — chciałam się upewnić, czy dobrze go zrozumiałam.

— Chcesz wyjść stąd bez siwych włosów? Bądź niewidzialna i nie przeszkadzaj. Wiesz jak jest — dodał, po czym obrazowo przedstawił mi funkcję, jaką spełniał na planie konsultant. Krótko mówiąc, miałam być strażakiem do gaszenia nagłych pożarów.

— Czasem na kolaudacji jakaś pańcia z TV robi dym, że scena jest do przekręcenia, bo nie oddaje życiowego realizmu — z cierpliwością profesora Miodka objaśniał mi tajniki serialowej kuchni. — Kiedy redaktorzyna usłyszy, że na planie był konsultant, to odpuszcza. Dlatego tu jesteś.

Wszystko było dla mnie jasne jak słońce, z wyjątkiem jednego.

— Co to jest ta kolaudacja? — Wbiłam pytające spojrzenie w swego przewodnika po świecie serialu, niczym poszukująca turystka z Europy w mistrza duchowego na wycieczce w Tybecie.

— Rodzaj tortury. Pluton mądrali z TV ogląda odcinek przed emisją, a potem zaspokajają swoje sadystyczne skłonności, pastwiąc się nad jego twórcami. — Wziął głęboki oddech, jakby chciał odegnąć od siebie najkoszmarniejsze wspomnienie. — Wiesz jak jest.

Po nieskrywanej niechęci Drugiego do pracowników stacji telewizyjnej zgadywałam, że sam nie raz musiał paść ofiarą ich okrutnych praktyk.

— Tekst dla ciebie. — Wyjął z kieszeni bojówek scenariusz, zaznaczył mazakiem scenę, którą miałam konsultować i podał mi wydruk. — Zaczniemy kręcić najwcześniej za jakieś piętnaście minut, tak że masz morze czasu na szczytanie scenki.

Ściskając kartki w spoczonej dłoni, wyszłam za Drugim z jego biura w kierunku hali zdjęciowej.

* * *

Hala zdjęciowa mieści w swoim wnętrzu tekturowy świat bohaterów serialu. Dopiero za sprawą kamery, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, dekoracje ozywają. Chyba że ekipie nie uda się wykrzesać filmowej magii — wtedy widz ma wrażenie, że akcja serialu rozgrywa się w składzie z rupieciami. Ja, spośród różnych wnętrz dostępnych w hali, do lektury scenariusza wybrałam zacisze pubu, w którym bohaterowie *Szeptów miłości* opijali sokiem jabłkowym w kolorze whisky swoje sukcesy i klęski. Teraz akurat nie kręcono tu żadnej sceny — byłam jedyną klientką.

Z tekstem w ręku usiadłam na wysokim stołku przy barze. Otworzyłam stronę, na której scenarzysta courierem dwunastką wystukał scenę sesji psychoterapeutki z pacjentem seksoholikiem. Tyle zdążyłam przeczytać, bo nagle gdzieś zza kontuaru dobiegł głos:

— Nie zamawiałem dzisiaj sushi.

Po drugiej stronie baru, na podłodze, siedział gwiazdor *Szeptów miłości* Szymon Korcz. Również czytał scenariusz. Z wrażenia wypuściłam swój egzemplarz z rąk, tuż pod nogi aktora. Teraz patrzyłam oniemiała na jego reakcję, bo zamiast zgodnie z zasadami dobrego wychowania podać mi tekst, gwiazdorek stanął na scenariuszu, podeptał go, po czym wręczył mi zmalretowane kartki.

— Należy mi się: dziękuję. — Nie wiedziałam, czy jest tak bezgranicznie beczelny, czy tak beznadziejnie arogancki.

— Chyba raczej mnie: P R Z E P R A S Z A M!? — wypaliłam najostrzej, jak tylko potrafiłam. — Jak ja teraz przygotuję się do roli? — Pokazałam na rozdartą kartkę ze swoją sceną.

— W tej scenie jest tylko jedna kobieca rola... — Korcz badawczo spojrzął na zniszczony fragment scenariusza, a potem na mnie.

— I co z tego?

— Wygryzłaś Olgę Adamską?

— Słucham?

— Nieźle jak na debiut. — Już przy pierwszym spotkaniu gwiazdorek zrobił na mnie wrażenie niezłego bufona. Ta rozmowa z każdą chwilą utwierdzała mnie w tej opinii.

— Będę konsultować tę scenę — oznajmiłam z dumą. — Jestem psychologiem, nie aktorką.

— Aaaa, to szkoda, masz filmowy pazur.

Nie chcesz wiedzieć jak ostry, pomyślałam, bo zanim zdążyłam wygłosić porażającą ripostę, bożyszcze nastolatek zabiło mnie kolejnym pytaniem:

— Wiesz, co łączy ekipy filmowe z całego świata?

— Pracują tam sami wariaci?

— To też, a poza tym jesteśmy przesądni jak wiejskie baby. Jak scenariusz upadnie na ziemię, to trzeba go przedeptać, bo będzie kłapa. — Teraz jego zachowanie stało się dla mnie bardziej zrozumiałe.

— W takim razie dzięki za ocalenie.

— Nie dziękuj, bo zapeszysz. — Puścił do mnie oko. — Masz szczęście, że jest sobota. Ja debiutowałam w poniedziałek i zobacz, jak skończyłem — uśmiechnął się.

Byłam zaskoczona — facet umiał z siebie żartować.

— Dlaczego poniedziałek przynosi pecha?

— Tego nie wie nikt. Ale żaden kierownik produkcji za nic nie rozpocznie zdjęć tego dnia. — Szymon położył przede mną swój scenariusz, a sam wziął mój z podartą kartką. Zajrzał pod blat.

— Niemalowane. Odpukam za twój pierwszy dzień na planie. — Zastukał w deskę.

— Na widok kominiarza łapiesz się za guzik?

— Dokładnie... I trzymam, aż zobaczę faceta w okularach.

Szymon przeskoczył bar i stanął obok.

— A psychologowie są przesądni? — zapytał, spoglądając na mnie spod przymrużonych powiek.

— Czasami — wydusiłam.

Nie wiem, czy Szymon swoje spojrzenie ćwiczył przed lustrem, czy miał wrodzony magnetyzm — efekt był taki, że moje policzki pod wpływem jego wzroku zabarwiły się na czerwono. Musiałam przerwać krępującą ciszę.

— Moja mama wierzy w czarnego kota — wypaliłam, po czym opowiedziałam, jak we

dwie poszłyśmy na *To właśnie miłość*. Po drodze trafiłyśmy na kota wiadomego koloru. Mama za nic nie chciała przejść pechową drogą, więc musiałyśmy zawrócić i drałować do kina opłotkami. — Spóźniłyśmy się godzinę, a ja do tej pory nie widziałam pierwszej połowy tego filmu — skończyłam i zdałam sobie sprawę, że się wygłupiłam, wyskakując do obcego faceta z rodzinną historyjką.

— Dogadała bym się z twoją mamą. — Szymon mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Poczułam, że mój rumieniec jest coraz wyraźniejszy. Włożyłam rękę we włosy i zacisnęłam paznokcie na płatku ucha — w jakiejś babskiej gazetce wyczytałam, że to sposób na „cegłę”. Tyle że zawodny — o czym się właśnie przekonałam.

— Chcesz antystresa? — Byłam pewna, że to ironiczna uwaga à propos buraka na mojej twarzy. Tymczasem Szymon wyjął z kieszeni paczkę żelków.

— To nie prozac. — Poczęstował mnie. — Miśki można przedawkować. Najlepiej działają, jak się głośno ciamka.

Przez chwilę razem ciamkaliśmy. Nie było szans, żeby wytrzymać to na serio.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

— Fajnie się gadało, ale muszę zaliczyć garderobę i mejkap. — Szymon położył na barze paczkę z żelkami. — Będziesz miała na zapas.

— Dzięki i powodzenia.

— Sama zobaczysz, jak mi pójdzie. Gram w twojej scenie. Seksoholika — rzucił, wychodząc z hali.

Po chwili jednak znowu pojawił się w drzwiach.

— A *To właśnie miłość* musisz obejrzeć w całości.

Uśmiechnęłam się do siebie — Szymon Korcz okazał się całkiem fajnym facetem.

Musiałam przyznać w skrytości ducha, że zaczynałam rozumieć nastolatki, które obklejały swoje pokoje jego plakatami.

* * *

Kiedy asystent reżysera przez megafon wezwał mnie na plan, znałam niemal na pamięć scenę w gabinecie psychoterapeutycznym. Nie czytałam jej w kółko dlatego, że tak mi się spodobała. Było dokładnie odwrotnie — scena nie miała nic wspólnego z prawdziwą sesją. Przebrnęłam przez nią kilkakrotnie, żeby mieć pewność, czy aby się nie czepiam. Za każdym razem byłam coraz bardziej zdołowana tekstem. Psychoterapeutka ze scenariusza była idiotką, która zajmowała się wyśmiewaniem i poniżaniem swojego pacjenta. Jeden dialog szczególnie mnie rozwalił: gość przyznaje, że jest seksoholikiem, a ona mu na to, że każdy facet wciska sobie i innym taką ściemę, jak sobie chce pobzykać na boku. Masakra!

Dlatego przed rozpoczęciem ujęcia chciałam porozmawiać z Drugim. Jednak za każdym razem kiedy do niego podchodziłam, słyszałam: „Nie teraz”. Albo: „Nie zawracaj kontrafaldów”. Drugi biegał między ekipą i każdemu miał coś do powiedzenia. Teraz razem z operatorem uzgadniał rozstawienie foteli w dekoracjach gabinetu. Zaintrygowała mnie komenda, jaką gość od kamery właśnie rzucił do łoki-toki:

— Potrzebuję murzyna. — Ku mojej uldze nie chodziło o zaprzęzenie jakiegoś czarnoskórego obywatela do pracy. Okazało się, że murzyn na planie to kawał białego styropianu do ustawienia oświetlenia.

Bogatsza o tę wiedzę, stanęłam jak najbliżej wnętrza gabinetu, żeby przy pierwszej okazji przechwycić Drugiego. Nagle na plan weszli aktorzy: psychoterapeutkę grała atrakcyjna brunetka, a jej pacjenta... wiadomo kto. Uśmiechnęłam się do niego. Jednak Szymon Korcz

udawał, że mnie nie widzi — mimo że przeszedł tuż obok.

Zrobiło mi się dziwnie. Potraktował mnie jak powietrze, jakby się wstydził pokazać przy ekipie, że zna kogoś tak mało istotnego jak ja.

Dla zabicia czasu odegrał przede mną rolę fajnego kolesia, a teraz znowu był sobą, czyli bucem. Postanowiłam potraktować go podobnie — facet do przemienienia w mózgową niszczarce, koniec tematu. Gorzej, że przez Szymona Korcza przegapiłam moment, kiedy Drugi przemieścił się do Pierwszego — reżysera. Ten siedział na składanym krześle, a chociaż w hali nie było choćby jednego promyczka słońca, skrywał twarz za ciemnymi okularami. Zanim zdążyłam do nich dobiec, reżyser krzyknął:

— Kamera iiii akcja!

— Stop, chwileczkę — wyrwało mi się pod wpływem emocji.

Ekipa zamarła. Nawet Szymon Korcz przypomniał sobie o moim istnieniu, smagając mnie zaintrygowanym spojrzeniem. To, co nastąpiło, można określić jednym słowem: hekatomba.

Pierwszy reżyser dopadł do mnie gwałtownie niczym gepard do gazeli, wrzeszcząc, że na planie tylko on ma prawo głosu!

— Kim ty w ogóle jesteś?!

Próbowałam mu spokojnie wyjaśnić, że jako konsultantka nie mogę pozwolić, żeby do widzów trafiły brednie na temat psychoterapii. Dodałam również, że seksoholizm jest poważnym nałogiem i serial w ramach misji powinien uświadamiać społeczeństwo, a nie wciskać ciemnotę. Zagroziłam, że jeśli nie wprowadzą zmian, będę zmuszona — z psychologicznej rzetelności — odmówić udziału w kręceniu sceny. Tylko mój ostatni postulat spotkał się z aplauzem reżysera.

— A nie prosiłem, żebyś się nie odzywała? — rzucił Drugi, kiedy chwilę później wyprowadzał mnie z planu. W taki oto sposób zostałam wyjątkiem potwierdzającym pechowość poniedziałku — zaliczyłam klapę, debiutując w sobotę.

Przybita kolejną życiową porażką, tkwiłam przed charakteryzatorką w oczekiwaniu na Kaśkę, która, jak mnie zapewniała, lada chwila miała skończyć pracę. Próbowałam poprawić sobie nastrój ciamkaniem miśków od Szymona. Ale tym razem żelki nie pomogły — poczułam się jeszcze gorzej na wspomnienie tego, jak mnie potraktował. Wyrzuciłam je do kosza. Włączyłam komórkę. Miałam milion nieodebranych połączeń od Anielaka. Oddzwoniłam.

Szef po swojemu, czyli drąc się w słuchawkę, przypomniał mi, o czym zapomniałam.

— Miałaś dzisiaj być w pracy!

Wykrzyczał jeszcze, że rozmówi się ze mną po weekendzie, bo nie chce sobie psuć wypadu za miasto, i się wyłączył, a ja mogłam wpisać następną wtopę do kolekcji.

Zobaczyłam „księdza” — Przemka — wychodzącego z hali zdjęciowej. Bardzo chciałam wiedzieć, jak on wypadł w swojej roli, ale bałam się zapytać. Ostatnio wszystko, z czym miałam styczność, kończyło się tak samo — klapą. Jednak chłopak mnie zauważył i rzucił się pędem w moim kierunku, krzycząc:

— Udało się! Reżyser mnie pochwalił! — Po czym złapał mnie na ręce i okręcił w powietrzu. — Dzięki za wsparcie, pani psycholog! — Pierwszy raz ktoś tak się do mnie zwrócił. To były najpiękniejsze słowa, jakie usłyszałam od skończenia studiów.

* * *

— Przepraszam!!! — wykrzyczałam do Kaśki, którą wiozłam na bagażniku nie swojego holendra. Miałam wyrzuty sumienia, że afera, jaką wywołałam, odbije się na niej. W końcu to

Kaśka mnie poleciła.

— W ogóle się nie przejmuj. — Zamiast mnie ochrzanić za kłopoty, jakie mogłam na nią ściągnąć, jeszcze mnie pocieszała. — Chciałaś dobrze.

— Ale wyszło jak zawsze — rzuciłam, pedałując w kierunku placu Zbawiciela, gdzie o osiemnastej byłam umówiona z bratem właścicielki roweru. Kaśka, po tym jak pochlebnie go zrecenzowałam na podstawie rozmowy telefonicznej, chciała się przekonać na własne oczy, czy miałam rację.

Po spotkaniu z hipotetycznym Mr. Boombastic miałam jechać prosto w opary orientu chińskiego baru, na godzinę szczerości z bratem.

— O, tu miałam pracować! — zawołałam do Kaśki, mijając siedzibę poradni psychologicznej, z którą jeszcze niedawno wiązałam swoją zawodową przyszłość.

Nagle gwałtownie zahamowałam. Na chodniku stał pomarańczowy polonez, który przed miesiącem rozjechał mi holendra. Samochód stał zaparkowany przy budynku sąsiadującym z apteką, z której wówczas wyszedł drogowy pirat emeryt.

— Muszę sprawdzić, czy on tu mieszka — zostawiłam przyjaciółkę, a wraz z nią nie swój rower. Sama zaś weszłam do budynku.

Mój plan był równie prosty, co genialny — chciałam zlokalizować brutala, dzwoniąc od drzwi do drzwi. Sukces osiągnęłam już na parterze — zapytałam podrostrka, który mi otworzył, kto jeździ wściekłą pomarańczą. Tym sposobem wdrapywałam się teraz na trzecie piętro, gdzie pod siódmką zamieszkiwał poszukiwany przeze mnie złoczyńca. Nacisnęłam dzwonek — nikt nie otworzył.

Trudno, wróćę po spotkaniu, pomyślałam i już miałam odejść, kiedy usłyszałam Marię Koterbską, zachwalającą karuzelę na Bielanych. Moja babcia zadbała, żebym dobrze znała repertuar tej wokalistki. Najwidoczniej emeryt wspominał młodość przy tych samych szlagierach i nie zamierzał sobie przerywać z powodu gościa dobijającego się do drzwi. Pod wpływem emocji nacisnęłam klamkę. O dziwo, drzwi nie były zamknięte. Przekroczyłam próg mieszkania. Nikt do mnie nie wyszedł.

— Dzień dobry! — dałam głośny wyraz swojej obecności, ale odzew był zerowy. Przeszłam do pokoju, gdzie mój wzrok przykuł oldskulowy adapter, na którym kręciła się analogowa płyta. Brakowało tylko słuchacza. Wycofałam się do kuchni. Emeryt leżał nieprzytomny na podłodze. Na szczęście oddychał. Błyskawicznie sięgnęłam po komórkę. Drżącymi rękami wystukałam numer pogotowia:

— Starszy człowiek. Zasłabł. Proszę przysłać karetkę.

— Jaki adres?

— Mieszkanie numer siedem...

— A ulica?

— Mokotowska. — Wyjrzałam przez okno, krzycząc do Kaśki, żeby podała mi numer budynku.

Czekając na karetkę, modliłam się, żeby ten dzień mimo wszystko skończył się happy endem.

Rozdział

CZWARTY

— Do jakiego szpitala go zabieracie?! — zawołałam do zamykających się drzwi karetki. — Powiśle! — odkrzyknął ratownik, po czym erka na sygnale ruszyła spod kamienicy na Mokotowskiej.

Błyskawicznie porozumiałam się z Kaśką: ona miała się zająć wymianą rowerów, ja wybiegłam na ulicę, machając na właśnie nadjeżdżającą taksówkę.

— Szpital na Powiślu! — krzyknęłam, wskakując do samochodu.

— Szajbusek nie woźę! — Taryfiarz niezbyt przychylnie odniósł się do mojego desperackiego skoku wprost na maskę jego wozu. Dopiero jak usłyszał, co pchnęło mnie do takiego czynu, depnął na gaz i nie dość, że dowiózł mnie do szpitala najkrótszą drogą, to jeszcze nie chciał nic za kurs.

— Trzymaj za lekarzy, żeby wyleczyli ci dziadka! — Podziękowałam taksówkarzowi, nie tłumacząc, co mnie łączy, a raczej nie łączy, z emerytem. Sprintem rzuciłam się do szpitalnego wejścia.

* * *

— Przepraszam... — Stałam przy niewielkim wycięciu w szybie, za którym znajdowała się Izba Przyjęć. — Halo, czy ktoś tam jest?!

Zastukałam w szybę. W końcu odpowiedział mi zaspany głos:

— Jak z bólem, to do kolejki i czekać aż zawołam.

Z uporem usiłowałam wbić głowę w miniaturowe okienko, by nawiązać kontakt wzrokowy ze swoim rozmówcą. Ale że jakiś fachura wyciął otwór na wysokości pępka dorosłego człowieka, to choć wiałam się jak boa, byłam bez szans.

— Mnie nic nie boli... — Nie zdążyłam dodać ani słowa więcej, gdyż już to, co powiedziałam, wystarczająco zirytowało głos za szybą.

— Jak nic, to do domu! Zajmujemy się tylko ostrymi przypadkami.

Rozejrzałam się po osobach koczujących na korytarzu. Mimo że wszyscy mieli twarze wykrzywione, to ani młodziak trzymający się za brzuch i skręcający się na krześle z bólu, ani facet o ciężkim oddechu łapiący się co chwilę za serce nie byli obiektem zainteresowania kogokolwiek z personelu medycznego. Spróbowałam raz jeszcze przebić się przez szklaną ścianę.

— Proszę pana, nie chodzi o mnie. Chciałam uzyskać informacje na temat starszego mężczyzny — tłumaczyłam uprzejmym i opanowanym głosem. — Jakieś dziesięć minut temu przywiozła go do was karetka...

Głos ponownie nie dał mi skończyć zdania.

— Nazwisko pacjenta?

— Nie znam, ale...

— To nie pani rodzina?

— Nie, ale...

— Informacji udzielamy tylko rodzinie pacjenta.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Przepisy dotyczą wszystkich bez żadnych wyjątków. Koniec pieśni — padło zza szyby.

W tym momencie spojrzałam na broszurę przyklejoną na wysokości moich oczu: „POWIŚLE — SZPITAL Z LUDZKĄ TWARZĄ”. W przypiływie furii zerwałam ją z okna. Tym sposobem stanęłam twarzą w twarz z właścicielem głosu. Okazał się nim pielęgniarz w wymiętym fartuchu, którego biel dawno przeszła do historii.

— Proszę nie dewastować okienka! — ofuknął mnie, nie przerywając dłubania ołówkiem w uchu.

Dotarło do mnie, że nie jestem w szpitalu w Leśnej Górze. Ignorując niechluja, ruszyłam w głąb holu. Moment później na korytarzu rozległ się tętent drewniaków pielęgniarza. Zagroził mi drzwi do windy, wykrzykując, że zajmie się mną ochrona, po którą on osobiście zadzwonił. Jego opryskliwość i arogancja trafiły mnie z taką siłą, że nie wytrzymałam — kucnęłam pod ścianą i rozplakałam się z bezsilności.

— Co tu się dzieje? — dobiegł mnie nagle kobiecy głos.

Podniosłam głowę i zobaczyłam trzydziestokilkuletnią babkę, która zbiegała schodami z góry. Miała na sobie niebieską bluzę i spodnie — musiała być lekarką. Jednak zanim zdążyłam wziąć się w garść i odpowiedzieć na jej pytanie, pielęgniarz zrobił ze mnie wariatkę zagrażającą spokojowi szpitala.

— Zaraz się nią zajmie ochrona, pani doktor — zakończył, pokazując na gościa w uniformie, który akurat nachodził od strony wejścia.

— Chwileczkę. — Lekarka stanęła między mną a facetami. — Dlaczego pani płacze? — Kucnęła obok mnie.

Kiedy skończyłam swoją opowieść, lekarka przeprosiła mnie za zachowanie pielęgniarza, który skwitował całe zajście olewczym wzruszeniem ramion i niegrzecznym komentarzem rzuconym pod moim adresem. Obeszło mnie to tyle, co nic — i tak to ja wyszłam zwycięsko z tego starcia. W towarzystwie mojej wybawicielki jechałam windą na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, dokąd, jak ustaliła lekarka, trafił mój emeryt.

Teraz, siedząc na parapecie okna vis-à-vis OIOM-u, czekałam na powrót pani doktor pograżona w rozmowie. Czując na sobie badawcze spojrzenie salowej, przerwałam na chwilę konwersację. Rozumiałam jej zdumienie — wywołała je osoba, do której mówiłam, a właściwie jej brak. Mój rozmówca, jak każdy anioł, był niewidzialny.

Spokojnie — wizja skrzydlatego wysłańca niebios nie była skutkiem aktualnego stanu moich emocji. Ja i Florian byliśmy w stałym kontakcie od długiego czasu. Poczekalam, aż salowa opuści korytarz i wróciłam do rozmowy.

Poznaliśmy się jakieś dwadzieścia lat temu, gdy jako maluch miałam stracha przed spaniem sama w pokoju. Wtedy moja ukochana babcia Renia powiedziała mi, że każdy człowiek ma anioła stróża, który go chroni i który mu pomaga. Trzeba tylko nadać aniołowi imię i z nim rozmawiać. Babcia wytłumaczyła mi, że nie można mu zawracać głowy błahostkami, bo się obrazi. Prosi się go o pomoc w sytuacjach ponad ludzkie siły. Ja nazwałam swojego anioła stróża Florian — na cześć kolegi z przedszkola, mojej miłości w średniakach. I już nigdy nie bałam się sama zasypiać.

Kiedy tata nas zostawił, przestałam wierzyć w istnienie Floriana. Dla mnie to był koniec świata, a on mi nie pomógł. Do tego wkrótce potem wydarzył się najgorszy dzień w moim życiu.

Miałam opiekować się Piotrkim, ale zostawiłam go samego na podwórku i poszłam do jakiejś koleżanki. Pamiętam, jak usłyszałam sygnał karetki — wiedziałam, że stało się coś strasznego. Pobiegłam pod blok i zobaczyłam, że sanitariusze zabierają mojego brata. Był nieprzytomny — spadł z huśtawki i uderzył głową o betonowy chodnik.

Pamiętam, jak z drżącym sercem czekałam razem z mamą w szpitalu na wyniki prześwietlenia. Pamiętam ciszę na korytarzu. Mama na mnie nie krzyczała, w ogóle się nie odzywała. Bałam się do niej podejść, przytulić... Zrobiłabym wtedy wszystko, żeby cofnąć czas, ale nie mogłam. Siedziałam na krześle i rozmawiałam z Florianem — prosiłam go, żeby Piotrek wyzdrowiał, żeby wszystko było dobrze. Przrzekłam sobie, że nigdy nie poproszę anioła o nic dla siebie. Tylko niech pomoże mojemu bratu. Kiedy w końcu lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku, obie z mamą rozplakałyśmy się z radości. Tylko że mama dziękowała za pomoc doktorowi, a ja — Florianowi. Od wypadku brata nie zwracałam głowy swojemu aniołowi. Teraz znowu prosiłam go o to, co wtedy.

Zadzwoiła moja komórka — Kaśka pytała co i jak. Streściłam, co zaszło od naszego rozstania, i skończyłam rozmowę, bo otworzyły się drzwi OIOM-u. Ruszyłam w kierunku lekarki z nadzieją, że ma dla mnie dobre wiadomości.

— Na skutek niedoboru glukozy w mózgu doszło do hipoglikemii — usłyszałam diagnozę, ale moje napięcie nie minęło.

— Przeżyje? — zapytałam niepewnie.

— Tak, miał dużo szczęścia, że szybko trafił do szpitala. — Pani doktor uśmiechnęła się do mnie ciepło. — Uratowałaś mu życie.

— Ja tylko wezwałam pogotowie. — Wcale nie czułam się jak bohaterka.

— Wiesz, ile osób trafia do nas za późno, bo nikt się nie zainteresował, gdy leżeli na ulicy? Fajnie wiedzieć, że w tym mieście są ludzie, których nie dopadła znieczulica. — Lekarka wyciągnęła do mnie rękę:

— Marta Kotowska.

— Zofia Morawiec. — Uścisnęłam jej dłoń nieco speszona.

Pani doktor Kotowska, a właściwie Marta — lekarka przeszła ze mną na „ty” na kawie w szpitalnym barku — była lekarzem ogólnym na wydziale chorób wewnętrznych. Gdy na korytarzu wpadła na mnie i pielęgniarkę, właśnie schodziła z dyżuru. Miałam szczęście, że na nią trafiłam. Marta pomogła mi ogarnąć sytuację z emerytem.

Po pierwsze, uświadomiła mi, że trzeba powiadomić jego rodzinę. Problem polegał na tym, że on sam nie mógł nam podać żadnego namiaru — do rana miał pozostać w śpiączce farmakologicznej. Pomyślałam, że wrócę do jego mieszkania i poszukam jego komórki albo jakiegoś notesu z telefonami. Zapytałam Martę, co o tym sądzi.

— Nie ma mowy! — Jej ostra reakcja mnie zaskoczyła.

Marta stwierdziła, że nie zostawi mnie samej z tym całym bałaganem. Poprosiła, żebym dała jej chwilę na przebranie się z kitla w cywilne ciuchy i dwadzieścia minut później mknęłyśmy golfem mojej nowej znajomej na ulicę Mokotowską. Obie rozmawiałyśmy przez komórki — Marta z mężem, że będzie w domu później, a ja zdałam Kaśce relację z tego, co zaszło. Kiedy skończyłam, zerknęłam w gwiazdziste niebo i podziękowałam Florianowi za to, że wszystko skończyło się dobrze. Może to infantylne, podobnie jak wiara w „sekrety”, ale różniej mi było z myślą, że w sytuacjach ponad ludzkie siły — jak mówiła moja babcia — mogłam liczyć na wsparcie anioła stróża.

* * *

— Tobiasz Sawik... — odczytałam imię i nazwisko z dowodu emeryta, który wraz z portfelem i kluczami do mieszkania znalazłam w kieszeni jego kurtki wiszącej w przedpokoju.

Data urodzenia wskazywała, że pan Tobiasz miał siedemdziesiąt dwa lata.

Marta w międzyczasie szukała przenośnej słuchawki od telefonu stacjonarnego. W końcu namierzyła ją pod stosem gazet na stole. Nie bardzo wiedziałyśmy, gdzie zadzwonić — nie natrafiłyśmy na notes z telefonami. Marta wpadła na pomysł, żeby połączyć się z ostatnim wybieranym numerem, gdy nagle usłyszałyśmy dziwny szmer.

Zamarłyśmy w bezruchu, nasłuchując. W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Uff, wyszło na to, że hałas pochodził z któregoś z sąsiednich lokali. Powróciłyśmy do próby połączenia się z ostatnim rozmówcą gospodarza.

— Szlag by to — dobiegł nas głos z głębi przedpokoju.

— Złodziej... — wyszeptala Marta.

Fakt — wybiegając za sanitariuszami z mieszkania, nie zamknęłam drzwi na klucz. Było bardzo prawdopodobne, że w międzyczasie do środka wszedł nieproszony gość (w najlepszym razie) lub bandyta (w najgorszym). Przedpokój skręcał za rogiem w prawo. Ruszyłyśmy w tamtym kierunku — ja uzbrojona w parasol z wieszaka, Marta w mobilną słuchawkę od telefonu pana Tobiasza. Stanęłyśmy w końcu korytarza przed przeszklonymi drzwiami. W pomieszczeniu za szybą panowała ciemność, zakłócona nieco światłem ulicznych latarni, które wpadało przez okno. Podeszłyśmy bliżej, żeby się zorientować, czy ktoś jest w pokoju. Nic nie zobaczyłyśmy. Natomiast usłyszałyśmy wyraźnie wypowiedziane słowo:

— Tandeta.

Spojrzałyśmy na siebie niepewnie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że nie jesteśmy same. Na znak Marty wparowałyśmy do pokoju i stanęłyśmy oko w oko z osobnikiem, który znajdował się w środku. Brunet z żółtym szlaczkiem wokół głowy okazał się... ptakiem. A konkretnie gwarkiem.

— Kuba — powitał nas, bujając się na huśtawce w obszernej klatce, stojącej na „nóżce” w pokoju, który okazał się gabinetem połączonym z sypialnią. Świadczyło o tym zaścielone łóżko pod ścianą i biurko pod oknem, ledwo widoczne spod stosu papierów.

Ptaszek świdrował nas swoimi bystrymi oczkami, zadziornie przechylając łepkę zakończony pomarańczowym dziobem. Czytałam, że gwarki mówią, a w necie widziałam nawet filmik, na którym jeden taki ptaszek zamawiał pizzę hawajską, ale pierwszy raz spotkałam tę skrzydlatą gadułę na żywo.

— Kuba — powtórzył gwarek, a ja spróbowałam podjąć dialog z ptasim rozmówcą.

— Ty jesteś Kuba? — zapytałam, a ptaszek w odpowiedzi jeszcze raz powtórzył:

— Kuba — po czym zastukał dzióbkiem w pustą miseczkę.

— Jesteś głodny. — Marta była pod wrażeniem mojej rozmowy z gwarkiem. Wyszło na to, że porozumienie z ptakiem bywa łatwiejsze niż z niektórymi przedstawicielami homo sapiens.

Pudełko z mieszanką ziaren znalazłyśmy na parapecie. Wsypałam Kubie sporą porcję i dolałam wody do poidelka. Gwarek jakby w podziękowaniu zagwizdał melodię, którą słyszałam w domu pana Tobiasza kilka godzin wcześniej. Podobnie jak jego właściciel był fanem Marii Koterbskiej. Tymczasem Marta w końcu wybrała numer ze słuchawki pana Tobiasza.

— Halo — usłyszałyśmy po kilku sygnałach powitanie, wypowiedziane głosem dojrzałego mężczyzny. Bingo, dodzwoniłyśmy się do Jerzego Sawika, syna naszego emeryta.

Na tym skończyły się pozytywne wiadomości — okazało się, że syn mieszka na stałe w Sztokholmie. Gorzej, że teraz spędzał urlop z żoną i córką na Teneryfie. Poza nimi pan

Tobiasz nie miał innej rodziny. Syn podziękował nam za opiekę nad ojcem i poprosił, żeby zamknąć jego mieszkanie. Umówił się z Martą na telefon następnego dnia rano, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia ojca. Było po rozmowie.

Odniosłam niemiłe wrażenie, że syn niespecjalnie się przejął wypadkiem swojego taty. Spojrzałam na kolekcję zdjęć na regale Tobiasza Sawika — przedstawiały czterdziestolatka w towarzystwie żony i kilkuletniej dziewczynki. Łatwo było się domyślić, że to syn z żoną i córką. Liczba zdjęć świadczyła o tym, że w życiu emeryta zajmowali ważne miejsce. Niestety on w ich życiu chyba nie odgrywał podobnej roli.

Podzieliłam się swoimi przemyśleniami z Martą. Przyznała mi rację — rozmowa z synem rozczarowała ją podobnie jak mnie.

— Co z Kubą? — rzuciłam do Marty, żegnając się z ptaszkiem. Ustaliśmy, że spotkamy się jutro w szpitalu u pana Tobiasza. Od rana miała dyżur. Umówiliśmy się o jedenastej, po porannym obchodzie. Wtedy miałyśmy podjąć decyzję, co dalej.

Kiedy wróciłam do domu, było grubo po północy. Kaśka i Bartek spali — mój holender przypięty do płotka przed blokiem świadczył o tym, że wymiana rowerów przebiegła pomyślnie. Ale nie potrafiłam się tym cieszyć. Leżąc w łóżku z Niuńkiem wtulonym w niegdyś moją poduszkę, myślałam o emerycie, o samotności, o swojej mamie.

Pamiętam, jak w podstawówce chciałam mieć zegarek Swatch — kosztował dwieście pięćdziesiąt złotych, masę kasy. I mama kupiła mi go na urodziny. Tak samo było jak Piotrek męczył ją o rower BMX. „Wszystkie chłopaki z podwórka takie mają” — marudził i dostał, co chciał. Wiem, że w jednym i drugim przypadku mama pożyczyła pieniądze od jakiejś koleżanki z pracy. Mogła kupić coś sobie, a jednak pomyślała o nas — jak zawsze. Ale czy ja albo Piotrek bylibyśmy w stanie poświęcić coś ważnego dla mamy, gdyby tego potrzebowała? Nie zdążyłam odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo nagle usłyszałam dzwonek do drzwi.

Gość o tej porze? Wstałam zaskoczona, żeby otworzyć i oniemiałam. W drzwiach stał Szymon Korcz — trzymał w ręku płytę DVD z filmem *To właśnie miłość*.

— Chcesz ze mną obejrzeć? — Zanim zdołałam cokolwiek z siebie wydusić, za jego plecami pojawiła się moja mama.

— Zosia, nie cieszysz się, że przyjechałam?

Zamiast mnie odezwał się Szymon:

— Żaden kot nie zaszedł pani drogi?

Tego, co odpowiedziała moja mama, już nie usłyszałam — obudziłam się.

To był tylko sen — stwierdziłam z ulgą, głaszcząc po pyszczku pochrapującego Niuńka. Jemu najwidoczniej też coś się śniło. Może Dres? Zauważyłam, że yorkuś ostatnio siada na parapecie i patrzy w dal.

Skąd mi się wziął taki dziwny sen?, zadałam w myśli pytanie Morfeuszowi. Nie odpowiedział. Sama musiałam dojść, dlaczego wyśniłam taką sytuację.

Pojawienie się mamy przywołały moje rozmyślenia wokół pana Tobiasza i jego syna — to było jasne jak księżyc za moim oknem. Ale aktor Szymon Korcz? Dlaczego o nim śniłam?

Spodobał ci się — usłyszałam swój wewnętrzny głos.

Nie ma takiej opcji — próbowałam go zagłuszyć. — Taki buc jak Szymon Korcz nie ma u mnie żadnych szans — przekonując samą siebie, zapadłam w sen, kołysana miarowym oddechem Niuńka.

* * *

— Nie jesteś na mnie zła? — tym pytaniem Kaśka zakończyła zdawanie relacji z wczorajszego spotkania z gościem, który przez pomyłkę przejął mój rower. O wszystkim opowiedziała mi po śniadaniu.

Jako że była niedziela, a do tego słoneczna, ja, Kaśka i Bartek urządziliśmy sobie balkonowy, niespieszny brekfeścik — jak mawiał ten ostatni. Nadarzyła się idealna okazja — żadne z nas nigdzie nie musiało pędzić skoro świt. Bartek spędzał ostatnio dużo czasu w domu — szkoda tylko, że z musu, a nie z wyboru. Ciągle nie mógł znaleźć roboty. Przed dołem ratował się pichceniem. Ale szykowanie jedzenia dla siebie samego nie sprawiało mu przyjemności. Dzisiaj w końcu mógł sobie i nam poprawić humor swymi kulinarnymi wyczynami. Pomysły na kolejne rarytasy brał od dziewczyn, z którymi się spotykał. Choć jego randki przechodziły do historii, to „byłe” naszego kumpla pozostawały z nami na zawsze w postaci dań w domowym menu. Bartek w gotowaniu kierował się jedną zasadą — nigdy nie trzymać się przepisów. Traktował je jako punkt wyjścia do przyrządzenia potraw i szedł na żywioł. Swoją metodę kulinarną nazwał „smakoszowaniem”. Efekt był taki, że to samo danie w jego wykonaniu nigdy nie smakowało tak samo. Raz lepiej, raz gorzej — ale zawsze inaczej.

Przeciwnie podejście do sztuki kulinarnej prezentowała Kaśka. Była wierna przepisom z książek mistrzów kuchni. Ona była królową klasycznego gotowania — on mistrzem improwizacji. Bartek specjalizował się w śniadaniach i przekąskach, Kaśka w daniach głównych. Jedno było surowym recenzentem drugiego, ale umieli się też wzajemnie chwalić. Mnie smakowało wszystko, co ugotowali.

Sama zaś, no cóż, jakby to ująć... nie zakwalifikowałabym się do „MasterChefa”. Stąd do moich obowiązków należało nakrywanie do stołu i zmywanie, w którym finalnie i tak oboje mi pomagali.

Na dzisiejsze śniadanie Bartek zaserwował tosty à la Paris, czyli chleb obtoczony w jajku, podsmażany na patelni z serem oraz niespodziankami w postaci dodatków, jakie podpowiedziała mu fantazja, oraz humus. Miksował cieciorkę z puszki i smakoszował smak za pomocą przypraw dobieranych według niewiadomego klucza.

— I jak? — Bartuś z napięciem czekał, jak ocenimy jego dzisiejszą kompozycję. Szczególnie zależało mu na opinii Kaśki, mnie traktował jak odkurzacz, który wszystko wciągnie.

Kaśka z namaszczeniem przeżuwała swój kęs.

— Odważny pomysł z figami w tostach. W czym je dusiłeś?

— W bobofrucie marchewkowo-jabłkowym. Podlałem nieco fantą mandarynkową...

— Stop, wolę nie wiedzieć, co jeszcze tam dałeś, żeby nie popsuć sobie smaku — urwała zdecydowanie.

Ja nie bardzo mogłam się wypowiedzieć, gdyż byłam w trakcie pałaszowania humusu — za to na znak uznania wyciągnęłam w górę ręce z palcami składającymi się w dziesięć punktów. Humus zawsze wychodził Bartkowi genialnie.

Dzisiaj ja i Bartek cieszyliśmy się na wspólne balkonowe ucztowanie także dlatego, że potrzebowaliśmy się nastroić na pozytywne myślenie w stylu: „Jesteś mistrzem świata”, „Kto jak nie ty?”. Kaśka była w znacznie lepszej formie. Jej nastrój określało jedno słowo: „euforia” i właśnie za to mnie przeproszała po śniadaniu.

Chodziło o faceta od mojego roweru. A konkretnie o to, że wpadli sobie w oko. To nie wszystko — ich wczorajsze spotkanie tak zauroczyło obydwójce, że od razu umówili się na drugą randkę. Dzisiaj mieli zjeść razem obiad. Kaśka promieniała, a ja... hm... Czy byłam zła?

Szczerze? Na początku byłam. Tym bardziej że Bartek namierzył na fejsie Daniela Majewskiego, bo tak się nazywał obiekt westchnień Kaśki. Daniel wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewałam po naszej rozmowie telefonicznej. Hasłowo: ciacho. Miał trzydzieści dwa lata, a do tego wszystkiego był architektem. Tyle wyczytaliśmy z jego profilu — resztę dopowiedziała Kaśka. Hm... Jak mogłam nie być na nią wściekła?

Z drugiej strony, co by to zmieniło, gdybym też była na tym spotkaniu? Skoro Kaśka i spec od deski kreślarskiej poczuli do siebie miętę, to moja obecność w tej sytuacji niczego by nie zmieniła. Może gdybym nie namówiła Kaśki, żeby towarzyszyła mi w wymianie rowerów i nie doszłoby do ich spotkania, miałabym szansę na oczarowanie Daniela. Ale prędzej czy później i tak poznałby moją przyjaciółkę, a wtedy zapewne odstawiłby mnie na boczny tor. Nie ma rady — z przeznaczeniem nie wygrasz. Z tego co usłyszałam od Kaśki, ona i Daniel to było zauroczenie od pierwszego wejrzenia.

— Jak masz być zła, to nie pójde z nim na żaden obiad — Kaśka rzeczywiście czuła się winna, choć nie było powodu.

Nie miałam zamiaru stawać na jej drodze do szczęścia — byliśmy przyjaciółkami i tylko to się liczyło.

W dodatku ty śnisz o kimś zupełnie innym — usłyszałam swój wewnętrzny głos i czym prędzej utopiłam go w sporym łyku kawy.

— Nie podoba mi się ten facio. — Bartek stuknął w ekran laptopa, z którego szeroko uśmiechał się architekt Daniel.

O ile mnie i Kaśkę fizjonomia architekta nastrajała ku niemu pozytywnie, o tyle Bartek wyczytał z jego twarzy wszystko, co najgorsze. Profil psychologiczny, jaki mu stworzył, spokojnie mógłby posłużyć do opisu Kalibabki.

— Tani podrywacz. Widać po lansiarskim zaroście — podsumował Daniela.

Według Bartka — a stwierdził, że jako facet zna się na tym lepiej od nas — goście skazują się na torturę hodowania dwudniowego zarostu w jednym celu.

— Żeby wrywać panienki. To przyciąga laski jak pszczoły do miodu — oznajmił autorytatywnie, zerkając znacząco na Kaśkę.

Wiedziałam, że na jej reakcję nie trzeba będzie długo czekać, i miałam rację.

— Taki jesteś znawca, ale jakoś od ciebie wszystkie odlatują! — zaatakowała Kaśka.

Do ich kłótni podłączył się Niuniek, dodatkowo poirytowany faktem, że pochłonięci rozmową, zignorowali jego psie spojrzenie, którym próbował wyprosić coś z menu. No i spokojne śniadaniowanie mieliśmy za sobą. Pożegnałam krzycząco-szczekającą ekipę i wyszłam z mieszkania. Czekala mnie pracowita niedziela.

* * *

Delektując się jazdą na swoim holendrze (po tak długiej rozłące miałam prawo się za nim stęsknić), ustawiałam w głowie plan dnia. Przed wizytą w szpitalu u pana Tobiasza zamierzałam zahaczyć o bar pana Chana. Ciągle miałam niezalatwioną sprawę z bratem. Lecz zanim skręciłam w ulicę prowadzącą do orientalnego przybytku, Piotrek, jakby czytając w moich myślach, sam do mnie zadzwonił.

— Siemka, siostra — zagałł nieśmiało.

— Fajnie cię słyszeć, brat. — Naprawdę się ucieszyłam z jego telefonu.

Pan Chan powiedział Piotrkowi o mojej wizycie i brat, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, postanowił, jak to ujął, wyciągnąć do mnie rękę na zgodę. W imię odbudowy siostrzano-braterskiej przyjaźni darowałam sobie złośliwy komentarz na temat jego

wielkoduszności. W końcu zależało mi na spokojnej rozmowie. zaproponowałam, żebyśmy umówili się na obiad.

— Tylko żadnego chińczyka — usłyszałam błagalną nutę w jego głosie.

— No to może przytulimy się gdzieś na placu Zbawiciela? — zaproponowałam.

— Gra! Polansujemy się w oparach warszawki. — Braciszek popisał się znajomością modnych miejsc w stolicy.

Zamiast błyszczyć wiedzą z lansu, poszpanowałbyś lepiej zaliczeniami w indeksie — chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

W końcu braciak sam do mnie zadzwonił, zrobił krok na drodze do naszego pojednania. Za nic nie mogłam go teraz spłoszyć. Dlatego, żeby nie wyjechać z jakimś ostrym komentarzem, wolałam jak najszybciej zakończyć naszą rozmowę. Darowałam sobie tłumaczenie bratu, że wybrałam plac Zbawiciela, bo jest blisko mieszkania pana Tobiasza. Przeczuwałam, że będę musiała tam zajrzeć, bo kto inny miałby nakarmić jego gwarka?

Umówiłam się z Piotrkim na czternastą w naleśnikarni naprzeciwko kościoła Zbawiciela i mogłam jechać prosto do szpitala. Na ulicy, w ramach wzmacniającej porcji witamin, kupiłam truskawki dla pana Tobiasza.

— Niepryskane, prosto z działki — zapewnił mnie sprzedawca.

* * *

Dzisiaj szpital wydał mi się dużo bardziej przyjazny. W Izbie Przyjęć przywitała mnie uśmiechnięta pielęgniarka — bez problemu wydzwoniła doktor Martę. Lekarka potwierdziła, że czeka na mnie na górze.

— Drugie piętro, sala numer cztery, Oddział Chorób Wewnętrznych — poinformowała mnie pielęgniarka.

— A nie OIOM? — dopytałam zaniepokojona.

— Trzeba się cieszyć, że pacjenta przewieziono na zwykły oddział. Znaczy, że mu się polepszyło — uspokoiła mnie pielęgniarka, którą w myślach nazwałam siostrą Jekyll. W odróżnieniu od mistera Hyde'a, jej odpowiednika z wczorajszego dyżuru.

Chwilę potem stałam na korytarzu przed salą numer cztery i rozmawiałam z Martą. Dobre wiadomości były takie, że pan Tobiasz był już przytomny i wracał do zdrowia.

— Jak na swój wiek ma silny organizm. — Marta doprecyzowała, że pacjent będzie musiał zostać w szpitalu jakiś tydzień. — Zrobimy komplet badań i jak wszystko będzie w porządku, pan Tobiasz wróci do domu na następną niedzielę.

I z tym wiązały się złe niusy.

— Jego syn powiedział, że skoro ojciec jest pod opieką lekarzy, to nie ma potrzeby, żeby szukał na gwałt samolotu do Polski. Po prostu robi ekstraprzelew na konto taty. W końcu nie jest niedołączny i sam sobie zorganizuje jakąś pomoc.

Popatrzyliśmy na siebie. Nie trzeba było nic mówić — obie pomyślałyśmy o synalku to samo.

Pan Tobiasz w rozmowie z synem nie tyle martwił się o siebie, co o gwarka Kubę. Denerwował się, kto będzie karmił ptaszka podczas jego pobytu w szpitalu. Jak na to zareagował Jureczek? Wykrzyczał, że to nie jego problem — uprzedzał ojca, że trzymanie ptaka w domu to same kłopoty. A skoro pan Tobiasz się uparł, to teraz musi ponosić tego konsekwencje. Po czym Jureczek oznajmił, że musi kończyć, bo zaraz opływa promem Gomerę. I się rozłączył.

— Cholerny dupek — powiedziałam, choć w myślach użyłam nieco wymowniejszych epitetów. Nagle zabrzączał pager lekarki. Odczytała wiadomość.

— Wzywają mnie do pacjenta, jestem pod telefonem jakby co — rzuciła, już biegnąc korytarzem.

Nie pozostało mi nic innego jak zapoznać się z panem Tobiaszem. Marta nic mu o mnie nie wspominała — uznała, że sama powinnam opowiedzieć o naszej znajomości. Ściskając woreczek z truskawkami w rękę, ruszyłam w kierunku drzwi sali numer cztery.

Wcześniej nie zastanawiałam się nad naszym spotkaniem — czy powinnam wspomnieć, że rozwalił mi rower? W takich okolicznościach było mi jakoś głupio z tym wyjeżdżać. Teraz mój rower był najmniejszym problemem — pan Tobiasz miał się o co martwić. W dodatku był chyba bardzo samotnym człowiekiem. Stałam przy drzwiach jego sali. Były uchylone — pan Tobiasz leżał na boku, twarzą w kierunku wejścia.

Miał przymknięte powieki, jakby drzemał, ale mruganie zdradzało, że wcale nie śpi. Przysłuchiwał się, jak inny pacjent opowiada o nim swojej córce i wnuczce, które przyszły go odwiedzić. Ja też to słyszałam... Z minuty na minutę robiłam się coraz smutniejsza, podobnie jak pan Tobiasz.

On mnie nie widział, ale ja jego tak — dostrzegłam, jak wyciera rękawem od pidżamy mokry ślad z policzka. Wtedy podjęłam decyzję. Zapukałam głośno do drzwi, dając mu szansę na wybudzenie się ze snu. Weszłam do sali i stanęłam przy jego łóżku.

— Pan Tobiasz Sawik? — zapytałam emeryta, który popatrzył na mnie zdziwiony, podobnie jak drugi pacjent i jego rodzina.

— Tak, a o co chodzi?

— Nazywam się Zosia Morawiec, pana syn wynajął mnie do opieki nad panem.

W tym momencie do sali weszła Marta. Z wrażenia aż otworzyła usta, ale zanim zdążyła zareagować, odezwał się pan Tobiasz:

— Widzi pani, pani doktor — pokazał na mnie. — Jureczek tę panią przysłał.

Wiedziałem, że syn nie zostawi mnie samego bez opieki. — Pan Tobiasz promieniał z radości.

Marta wręcz przeciwnie. Poprosiła, żebym wyszła z nią z sali.

— Może mi wytłumaczysz, dlaczego podałaś się za kogoś, kim nie jesteś?!

* * *

JAK ZOSTAŁAM DZIEWCZYNĄ „Z UCHEM NA CZŁOWIEKA”

— Niechcący byłam świadkiem rozmowy... — zaczęłam, po czym streściłam Marcie to, co usłyszałam, stojąc w drzwiach sali pana Tobiasza.

Drugi pacjent opisywał swojej córce i wnuczce żalną sytuację biednego sąsiada z łóżka obok, którego losem nie interesował się nawet własny syn. Nazwał pana Tobiasza nikomu niepotrzebnym starcem. Wyraził opinię, że nie ma nic gorszego od świadomości bycia ciężarem dla własnego dziecka. Współczuł panu Tomaszowi samolubnego syna — sam był dumny z tego, że umiał wychować córkę na porządnego człowieka. Stwierdził, że bez kochającej rodziny życie jest nic niewarte. Dziękował Bogu, że nie jest na świecie sam jak palec — tak jak mężczyzna z łóżka obok.

Przysłuchiwałam się tej rozmowie, zdając sobie sprawę, że pan Tobiasz też ją słyszy. Widziałam, jak z każdym wypowiedzianym zdaniem jego oczy stają się coraz bardziej szkliste. Musiałam coś zrobić i miałam nadzieję, że Marta to zrozumie. Odezwała się po chwili.

— Powiedziałaś mu, że przysłał cię syn, żeby podnieść go na duchu, dobrze rozumiałam?

— To była spontaniczna reakcja. Gdy pomyślałam, jak musi się czuć, zrobiło mi się strasznie przykro.

Lekarka przyglądała mi się badawczo — poczułam się niepewnie.

— Wiesz, co myślę? — popatrzyła mi w oczy.

— Głupio zrobiłam?

— Masz „ucho do ludzi” — uśmiechnęła się do mnie. — Tak mój mąż nazywa osoby wrażliwe na innych. Zachowałeś się wyjątkowo — powiedziała, przygarnęła mnie ramieniem.

Wróciłyśmy do sali pana Tobiasza z gotowym planem — na razie miałam pozostać pomocą zatrudnioną przez jego syna. Marta wzięła na siebie znalezienie pielęgniarki, która mogłaby wspomóc naszego emeryta po wyjściu ze szpitala. Miała też zadzwonić do dupka Jureczka i wymusić na nim przyjazd do ojca. W szpitalnym sklepiku kupiłyśmy mojemu podopiecznemu niezbędny ekwipunek: szczoteczkę, pastę itp.

— Czy Jureczek na pewno przekazał pieniądze na tego typu zakupy? Bo jeśli nie, ja mam coś na karcie...

— Wszystko jest w porządku — przerwała mi Marta.

Prawda była taka, że za wszystko zapłaciła ze swoich pieniędzy. Uznała, że nie będziemy obarczać kwestiami finansowymi pana Tobiasza — ona przez telefon omówi to z jego synem.

— Pana zadanie to jak najszybciej wrócić do zdrowia, resztę proszę zostawić nam — lekarka uspokoiła emeryta.

— A kto zaopiekuje się Kubą? — Skrzydlaty przyjaciel był największą troską pana Tobiasza.

— Ja. — Kiedy usłyszał, że odwiedzę Kubę, uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym nieśmiało zapytał, czy może mieć do mnie jeszcze jedną prośbę. Chodziło o to, żebym puściła gwarkowi płytę Marii Koterbskiej.

— Obaj lubimy jej słuchać, lecz nas z irytacji — wyjaśnił. — Niech pani go zapyta, jakiej piosenki chce posłuchać — poprosił na do widzenia.

— Wpadnę do pana jutro.

— Do mnie nie trzeba, mam tu fachową opiekę. — Zerknął na Martę, a potem zwrócił się do mnie: — Ale niech pani nie zapomina zaglądać do Kuby.

Doktor Marta była ode mnie starsza i znałam ją niecałe dwadzieścia cztery godziny, ale miałam wrażenie, jakbyśmy się kumpłowały ze sto lat.

— Co ty właściwie robisz, pracujesz, studiujesz? — zapytała, odprowadzając mnie do wyjścia ze szpitala.

Przedstawiłam jej skróconą wersję CV — hasłowo: skończyłam psychologię, więcej sukcesów nie pamiętam. Zainteresowała się, czemu nie pracuję w zawodzie. Wyjaśniłam, że jakoś się nie złożyło.

— I co teraz? Poddasz się czy chcesz próbować dalej? — dopytywała.

— Nie wyobrażam sobie, że mogłabym robić coś innego — podałam swoją zwyczajową formułkę. W tym momencie naszą rozmowę przerwał pager Marty.

— Muszę wracać na oddział, dzwonił mi się. — Pomachała mi, wbiegając schodami na górę.

Wychodząc ze szpitala, myślałam nad pytaniem Marty, a w zasadzie nad moją odpowiedzią. Czy ja naprawdę jeszcze chcę być psychologiem, a konkretniej psychoterapeutką, czy raczej trzymam się kurczowo pomysłu, który nie wypalił?

Dzisiaj nie mam siły na takie sieriozne dywagacje — zakończyłam temat.

Robiłam tak coraz częściej — kiedy nadarzała się okazja do zastanowienia się nad własną przyszłością, oddalałam od siebie problem. Najlepiej do rozpatrzenia „na święty nigdy”. Trzeba przyznać, że w uciekaniu przed niewygodnym pytaniem wykazywałam się wręcz wzorową

konsekwencją. Powód był prosty — bałam się wniosków z takiej szczerzej rozmowy z samą sobą. Siebie nie da się oszukać.

* * *

Czternasta trzydzieści pięć — po raz kolejny sprawdziłam godzinę w komórce, wyczekując w ogródku naleśnikarni coraz bardziej spóźnionego brata.

W dodatku byłam głodna, a kelner zamiast mną był zajęty zawiązywaniem arafatki na swojej szyi. Nie mógł się zdecydować, czy chusta ma być niżej, czy wyżej. Nie mogłam dłużej patrzeć jak się męczy:

— Ja bym ją zdjęła.

— Nie pasuje mi?

— Przeszkadza w pracy. — Załapał czy nie, ale podszedł do mnie niespiesznym krokiem.

— Jestem Krzysiek — hipsterskim zwyczajem zaczął od zakolegowania się ze mną, olewając tak prozaiczną sprawę jak podanie menu. — Co mogę dla ciebie zrobić?

Wskocz na stół i zastepuj — kusilo mnie żeby odpowiedzieć, ale sobie darowałam.

W opanowaniu emocji pomógł mi widok Piotrka, który zmierzał w moim kierunku. Na powitanie wymieniliśmy sztywne: „Cześć”, po czym zamówiliśmy po naleśniku: ja z łososiem i kaparami, Piotrek z nutellą, bananem i bitą śmietaną.

— Do picia polecam firmową lemoniadę — zareklamował kelner.

— Poproszę. Plus cola dla brata.

— Może najpierw zapytasz? — zaatakował Piotrek.

— O co ci chodzi? Zawsze pijesz colę.

— Siostra, traktujesz mnie jak szczyla — rzucił z pretensją, po czym zamówił sobie dużego browca z kija. Kelner spojrzał na mnie pytająco. Piotrek wyłapał jego wzrok. — Nie muszę nikogo prosić o zgodę — wyjął dowód i zamachał nim przed oczami kelnera. — To ci chyba wystarczy, ziom.

Wiedziałam, że jak teraz zrobię akcję wokół piwa, będzie po rozmowie. Powstrzymałam się od komentarza.

— Jestem dorosły, sam decyduję o sobie — Piotrek odezwał się pojednawczym tonem.

— Ty i mama musicie się z tym pogodzić. — Spojrzał na mnie niepewnie. — Powiedziałaś jej, że rzuciłem Wrocek i polibudę?

Chciałam, żeby mój głos zabrzmiał spokojnie — odczekałam chwilę, wzięłam głęboki oddech i przemówiłam do brata opanowanym tonem karnodziei:

— Nigdy na ciebie nie skarżyłam i teraz też nie zamierzam...

— Dzięki, siostra...

— Sam musisz pogadać z mamą.

— Będzie ciężko, wiesz, jaka ona jest. — Piotrek zdjął zegarek z nadgarstka i zaczął przekładać go z ręki do ręki. Zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany. Odezwał się, nie patrząc w moją stronę: — Siostra... pomożesz mi?

Wiedziałam, że jak odpowiem „nie”, to też będzie po rozmowie. Z drugiej strony nie mogłam go wspierać, nie wiedząc, co planuje. Powiedziałam mu o tym.

— Pytaj, o co chcesz, powiem wszystko, jak jest. Bez ściemy — zaproponował.

Uznałam, że takie postawienie sprawy to dobry znak — najwyraźniej Piotrek chciał szczerze porozmawiać, tak jak ja. Zadałam pierwsze pytanie:

— Będziesz zdawał na politechnikę w Warszawie?

— Ten rozdział zamknęłam na amen — Piotrek przerwał, bo pojawił się kelner z piwem

i lemoniadą. Brat sięgnął po kufel. — Za nowy etap w moim życiu! — Chciał stuknąć w moją szklanę, ale ją odsunęłam. Wołałam wiedzieć, za co wznoszę toast.

— Konkret, Piotrek, jakie masz plany?

Brat odstawił piwo, znowu zaczął się bawić zegarkiem. Zaczęłam się bać tego, co zaraz usłyszę.

— Uczę się chińskiego — Piotrek zawiesił głos w oczekiwaniu, aż pociągnę temat.

Byłam kompletnie zaskoczona — praca w chińskim barze, nauka języka... Wyglądało na to, że mój brat jest zafascynowany Państwem Środka.

— Chcesz studiować sinologię?

— Sino co? — zdezorientowana mina brata była odpowiedzią na moje pytanie.

Jeśli nie chodzi o studia, to skąd u niego ten nagły pęd do nauki języka rodaków Mao? Zapytałam, czy chce robić karierę jako orientalny kucharz. Zaprzeczył — dodał, że nie znosi pracy w barze. Zatrudnił się tam tylko po to, żeby mieć żywy kontakt z językiem. Zrobiłam błyskawiczną burzę mózgu. Z jakiego powodu Piotrek — ni z tego, ni z owego — zapalał miłością do chińskiego? I nagle mnie olśniło. Miłość! Zakochał się w jakiejś skośnookiej piękności i chce się do niej zbliżyć przez znajomość języka!

— Jak ona ma na imię? — Spojrzałam bratu w oczy.

— Kto?

— Dziewczyna, w której się zakochałeś. Dla niej uczysz się chińskiego?

Piotrek popatrzył na mnie z politowaniem.

— Naogładałaś się za dużo telenowel, siostra.

— To po co ci ten chiński? — wypaliłam zirytowana.

— Podbiję chiński rynek muzyczny — odpowiedział. Miałam nadzieję, że coś źle zrozumiałam.

— Że co proszę?

— Razem z Sebą założymy skład Pi&Se, nauczymy się rapować po chińsku. Tam milion słuchaczy to bułka z masłem. Wiesz, co to znaczy, siostra? — Patrzyłam na braciaka jak wół na malowane wrota. — Sprzedam jakiś milion płyt albo dwa i będę miliarderem.

— Spojrzał na mnie z taką miną, jakby odkrył co najmniej trzecią Amerykę. — I teraz, siostra, powiedz, czy twój brat nie jest genialny?

Powiedziałam... i to dużo więcej — nie mogłam uwierzyć, że ten matoł rzucił studia dla takiego idiotyzmu!

Moja totalna krytyka okazała się zapalną iskrą — Piotrek wybuchł. Zaatakował mnie, że nie mam zielonego pojęcia o chińskim rynku muzycznym (co akurat było prawdą). Zaczepił kelnera, który zjawił się z naleśnikami, czy słyszał o chińskim sukcesie grupy Bayer Full. Ten z kolei zasugerował mi, żebym popracowała nad gustem muzycznym brata. To rozwścieczyło Piotrka — wstał od stołu tak gwałtownie, że go przewrócił. Kelner odskoczył z krzykiem, talerze z naleśnikami rozbiły się o chodnik, a piwo i lemoniada wylały się prosto na mnie. Huk obiegł echem plac Zbawiciela — zwracając na nas uwagę wszystkich osób, które spędzały tu niedzielne popołudnie. Niemal w tym samym momencie do ogródka wbiegł... Szymon Korcz.

— W porządku? — zaczepił mnie, patrząc na Piotrka.

— Tak, to mój brat — odpowiedziałam oszołomiona dynamiką wydarzeń. Piotrek wołał nie czekać na dalszy ciąg i dał dyla z knajpy.

* * *

— Palantka! — wysyczałam do swojego odbicia w lustrze knajpianej łazienki. Z coraz

większą wściekłością zapierałam plamy piwa ze swojej garderoby. Nie byłam zła na brata, to znaczy na niego też. Ale bardziej na siebie. Obiecałam sobie, że spokojnie wysłucham tego, co ma do powiedzenia — i nie wytrzymałam. Atakami furii jednak mu nie pomogę. Zamiast do niego dotrzeć, jeszcze bardziej się od niego oddalę. Postanowiłam jak najszybciej naprawić ten błąd — wyjęłam komórkę i wystukałam do Piotrka esemesa. Poprosiłam, żeby wpadł do mnie wieczorem. „Na spokojnie przemyślimy strategię postępowania z mamą”. Liczyłam, że deklaracja współpracy go zwabi. „Do trzech razy sztuka :)” — dodałam. Na koniec, dla rozładowania napięcia, wstawiłam uśmiechniętą buźkę. Wysłałam. Po chwili przyszedł raport, że es dotarł, gdzie trzeba.

Schowałam telefon, spojrzałam na plamy na spodniach i bluzce. Piwo nie zeszło, za to byłam cała mokra. Masakra — miałam nadzieję, że Szymon Korcz już sobie poszedł. Nie chodzi o to, że w jego obecności jakoś szczególnie zależało mi na korzystnym wyglądzie. Po prostu nie miałam ochoty się przed nim tłumaczyć z rodzinnej scysji.

— Kto go prosił, żeby się wtrącał? — zapytałam retorycznie, poprawiając tuszem rzęsy. Nie chciałam wyglądać jak ofiara losu. Nie ze względu na sławnego aktora, dla siebie.

* * *

— Może zjemy razem? — Szymon Korcz czekał w ogródku, przy stoliku, który chwilę wcześniej zajmowałam z bratem.

Nie było śladu po rozlanym piwie i rozbitych talerzach. Stolik nie tylko że był posprzątanym, ale też zastawiony nowymi porcjami naleśników oraz szklankami z jasnym pełnym.

Aktor wyczuł moje pytające spojrzenie i pospieszył z wyjaśnieniem. Kiedy zniknęłam, żeby, jak to ujął — przypudrować nos — on sprawdził u kelnera moje zamówienie i poprosił, by podał to, co miałam zamiar skosztować z bratem.

— Dla siebie wzięłam to co ty. — Pokazał na drugą porcję naleśników z łososiem i kaparami wnoszoną właśnie przez kelnera. — Czuję, że będzie mi smakować — uśmiechnął się, odsuwając przede mną krzesło. — Zapraszam i smacznego — rzucił mi swoje typowe spojrzenie spod przymrużonych powiek.

Jednak tym razem nie miałam zamiaru się nabrać na magnetyzm jego oczu. Ostatnia rzecz, na jakiej mi w tym momencie zależało, to zostać w naleśnikarni, w której dzięki braciszкови stałam się widowiskiem. Poza tym pamiętałam, jak Szymon Korcz potraktował mnie na planie, gdy udawał przy ekipie, że się nie znamy. Poniżył mnie, a ja miałam swoją dumę.

— Dziękuję, ale nie mam czasu. — Zanim gwiazdor zdążył coś powiedzieć, zwróciłam się do kelnera: — Mogę prosić o rachunek?

— Szymon wszystko uregulował. — Widać kelner nawet celebrytom nie odpuszczał przechodzenia na „ty”.

— Płacę za siebie i za zamówienie tego pana. — Pokazałam na Korcza i nie dając mu dojść do słowa, dodałam: — To w ramach zadośćuczynienia za sushi. — Położyłam pieniądze na stół, rzucając do kelnera: — Reszta dla ciebie, Krzysiek.

Co prawda dwadzieścia dwa złote to był największy napiwek, jaki dałam w życiu, ale trudno. W tych okolicznościach nie mogłam wyjść na centusia. Kelner był wniebowzięty — przezornie szybko zgarnął kasę z blatu i zniknął z pola widzenia.

— Ciekawe, czy te naleśniki są warte takiej fortuny. — Szymon Korcz puścił do mnie oko. — Obiecuję, że nie będę mlaskał. To jak? — zapytał z uśmiechem.

Niestety — uśmiech miał równie zniewalający jak spojrzenie. Byłam na siebie zła. Jeszcze chwilę wcześniej za nic na świecie nie zostałabym z nim w miejscu, gdzie zaliczyłam

wtopę z bratem. Teraz zaczęłam się wahać. Całe szczęście nie zdążyłam się przekonać o sile lub słabości swojego charakteru. Moim wybawieniem okazała się grupka czterech małych, które podbiegły do Szymona. Otoczyły go wianuszkami i wyciągając notesy, kartki, a jedna nawet nagie ramię, poprosiły o autografy i wspólną fotkę. Przypomniałam sobie artykuł z Pudelka, w którym opisano Korcza jako zmanierowanego aktora, traktującego fanów z buta. Byłam ciekawa, jak zareaguje na prośbę tych dziewczyn.

— Każdy facet dałby się pokroić za zdjęcie z takimi wystrzałowymi dziewczynami jak wy! — Fanki aż zapiszczały z radości.

Nie chciałam przeszkadzać — wyszłam z ogródka. Odchodząc w kierunku stojaka z rowerami, widziałam, jak uśmiechnięty Szymon podpisuje się dziewczynom, na czym która chce, a potem pozuje do zdjęć, cierpliwie czekając, aż koleżanki uwiecznią siebie nawzajem aparatami w komórkach.

Usiłując zlokalizować swojego holendra w gąszczu innych jednośladów, doszłam do wniosku, że Szymon Korcz w niczym nie przypominał bufona, za którego uchodził na plotkarskich portalach. W końcu udało mi się uwolnić rower ze stojaka. Usadowiłam się na siodełku i ruszyłam spod naleśnikarni.

Po kilku minutach pedałowania dojechałam pod kamienicę pana Tobiasza, gdzie na trzecim piętrze czekał na mnie gwarek Kuba. W chwili gdy zsiadłam z roweru, dobiegło mnie wołanie:

— Zosia, masz w domu piekarnik?! — odwróciłam się. Chodnikiem w moim kierunku pędził Szymon Korcz.

Z powodu jego zadyszki (biegł sprintem) nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam, co powiedział. Poczekalam, aż znajdzie się przy mnie.

— Gonisz mnie, bo interesuje cię wyposażenie mojej kuchni? — dopytałam.

— Według kelnera naleśniki na zimno też dają radę, ale najlepiej smakują, jak się je podgrzeje w stu osiemdziesięciu stopniach. — Szymon wyjął z plecaka opakowanie z jedzeniem. — Czmychnęłaś po angielsku, więc wziąłem na wynos. — Pokazał na wejście do kamienicy. — Jemy u ciebie?

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć — nie chciałam wtajemniczać go w skomplikowaną historię mojej znajomości z panem Tobiaszem. Z drugiej strony nie było powodów, żebym kłamała co do miejsca mojego zamieszkania. A po trzecie i najważniejsze: kto powiedział, że w ogóle miałam ochotę jeść w towarzystwie tego osobnika? Nie byłam jedną z jego groupies! Nakręcona arogancją Szymona, byłam gotowa do porażającej riposty, która miała wbić przemądrzałego aktorka w ziemię. Jednak Szymon odezwał się pierwszy:

— Żartowałem. Mama nauczyła mnie, żeby się nie wpraszać bez zaproszenia.

Podał mi opakowanie z naleśnikami, a ja podziękowałam Opatrzności, że nie miałam szansy wyjść na laskę bez poczucia humoru.

— Smacznego — rzucił z uśmiechem i pokazał na mojego holendra: — Świetny rower.

— Dzięki, za naleśniki też.

— Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze zjemy coś razem. — Szymon Korcz popatrzył na mnie po swojemu i ruszył ulicą.

Patrzyłam za nim, przekonując się na własnej skórze, co znaczy efekt cieplarniany: moja silna wola topniała jak arktyczny lodowiec. Miałam ochotę krzyknąć: „Wracaj!”. Gdyby nie zniknął za rogiem, zaprosiłabym go do nie swojego mieszkania... na naleśniki, oczywiście.

Nie chodziło tylko o magnetyzm w spojrzeniu, jakim mnie obdarzył na do widzenia — chociaż musiałam oddać Szymonowi, że potrafił być przekonujący w roli amanta. Wrażenie zrobiło na mnie coś innego... Powiedział do mnie: „Zosia”.

Byłam pewna, że nigdy mu nie powiedziałam, jak mam na imię — ani kiedy się spotkaliśmy na planie, ani teraz. W takim razie skąd je znał? Może zapytał Kaśkę albo kogoś z ekipy serialu?

Tak czy inaczej zadał sobie trud, żeby się tego dowiedzieć. Dlaczego się tym zainteresował? Nie wiedziałam. Ale świadomość, że z jakiegoś powodu zaprzętałam myśli aktora, miło mnie polechtała.

* * *

Po wieczorze spędzonym z gwarkiem wracałam rowerem do domu. I chociaż dookoła na całego panoszyła się wiosna, ja nuciłam: „Kochany, kochany, lecą z nieba jak dawniej kasztany”. Nie był to efekt nostalgii za jesienną aurą.

Po prostu zgodnie z sugestią pana Tobiasza zapytałam Kubę, jakiej piosenki chce posłuchać. A on niezmiennie, przez bite sześćdziesiąt minut powtarzał: „Kasz-ta-ny”. Zarażenie mnie przez gwarka rzewną piosenką miało swoje następstwa. Melodia, nie wiedzieć czemu, przywołała w mojej głowie osobę Szymona Korcza.

I tak przez całą drogę powrotną — wbrew sobie — analizowałam nasze spotkanie. Próbowałam się przekierować na jakiś inny motyw — w końcu na co jak na co, ale akurat na brak problemów do przemyślenia nie mogłam narzekać. Mimo to polegåm. Źaden inny temat nie był w stanie skupić moich myśli — aktor wracał do mojej głowy jak bumerang. Tłumaczyłam sobie, że to z powodu częstotliwości, z jaką na niego wpadałam w ciągu ostatnich dwóch dni. Jednak mój wewnętrzny głos podpowiadał mi inne wyjaśnienie:

— Zakochałaś się!

Ja? Niemożliwe! Z całych sił próbowałam znaleźć argumenty potwierdzające niedorzeczność takiej sugestii. Jestem odporna na tanie zachwyty à la trędowata Stefcia! Dyskutując z własnym „ja”, weszłam do mieszkania.

W lustrze przy drzwiach natknęłam się na swoje odbicie — niestety, minę miałam niepewną. Przecież nie jestem nastolatką, żeby zakochiwać się w facecie, którego widziałam parę razy! W dodatku w aktorze! Spojrzałam sobie w oczy i powiedziałam głośno:

— To się nie mogło zdarzyć, prawda?

W odpowiedzi usłyszałam:

— Nareszcie jesteś!

Zdębiałam. Głos, który przemówił, był jak najbardziej realny. Nie należał jednak do nikogo z dwójki moich współlokatorów. W drzwiach kuchni stała osoba, której spodziewałam się w naszym mieszkaniu mniej więcej tak samo jak wizyty Dalajlamy.

— Mama? Co ty tu robisz? — wydukałam, wbijając wzrok w Bartka pokazującego na migi, że do mnie dzwonił w sprawie mamusi.

Kumpel zachował się jak trzeba — nie jego wina, że nie odebrałam, bo byłam pochłonięta bajdurzeniem o love story z sobą w roli głównej. No i teraz akcja nabrała tempa.

— Tak się za tobą stęskniłam. — Mama przytuliła mnie do siebie. — Nie cieszysz się, córeńko?

Nie zdążyłam ochłonąć po jednej niespodziance, gdy zadzwonił dzwonek.

Niuniek rzucił się do drzwi, zwyczajowo obszczekując gościa po drugiej stronie. Spojrzałam czujnie na Bartka — kto to mógł być? Na Kaśkę za wcześnie — randkowała z architektem od roweru. Zresztą Niuniek nie ujadalby z taką pasją na osobę, którą znał.

— Kochani, to może ja wpuszczę gościa. — Mama ruszyła, żeby otworzyć drzwi. I wtedy mnie olśniło. Tyle że było już za późno, aby cokolwiek zrobić.

— Piotruś?! Co ty robisz w Warszawie, synku? — Przed drzwiami, tak jak się spodziewałam, stał mój brat. Oniemiały patrzył na mamę, równie zaskoczony jego widokiem. Kiedy spojrzał na mnie, w jego wzroku wyczytałam jedno: zdrajczyń.

Miał prawo pomyśleć o mnie znacznie gorzej.

Wszystko przemawiało za tym, że wkopałam brata — po to ściągnęłam mamę z Kielc i zwabiłam go do siebie. Okoliczność, że oboje spotkali się u mnie przez przypadek, mnie samej wydawała się nie do ogarnięcia...

Rozdział

PIĄTY

Chociaż początkowo nic tego nie zapowiadało, to Piotrek wyszedł zwycięsko ze starcia z mamą. W żołnierskich słowach — zajął z góry upatrzoną pozycję, przy zerowych stratach własnych. Tyle że do celu przeszedł po trupach innych. A konkretnie jednym — moim.

MACHIAVELLI CIĄGLE ŻYWY

— A wie pani, że Szkoci używali yorków do łapania myszy? — Bartek zarzucił mamę rewelacjami na temat Niuńkowej rasy i wyprowadził ją z przedpokoju.

Dzięki przytomnej interwencji kumpla dostałam darmowe minuty na rozmowę z bratem. Po pierwsze, oznajmiłam, że nie miałam nic wspólnego z desantem mamy do stolicy. Po drugie, zażądałam wyjaśnienia, co teraz zamierza. Najbardziej się bałam, że odpowie: „Coś się wymyśli na spontanie”. I dokładnie to usłyszałam od braciaka.

— Dzieci, czekam tu na was! — Najwidoczniej Bartkowi wyczerpywały się tematy do small talku z naszą mamą.

Piotrek spojrział na mnie wzrokiem, z którego biło duże SOS. Zrobiło mi się go żal. Obiecałam, że będę go kryć. Nie minęło dziesięć minut, a gorzko tego żałowałam.

Zaczął się nie najgorzej — mój brat z miejsca przejął inicjatywę. Aby nie dać mamie dojść do głosu w wiadomej, drażliwej kwestii, sam ustawił się w roli przesłuchującego. Zaatakował ją pytaniem, na które sama usiłowałam uzyskać odpowiedź od momentu, kiedy ujrzałam mamę w przedpokoju.

— Co robisz w Warszawie, mamuś?

Niestety, odpowiedź była krótka i wyczerpująca temat:

— Mam szkolenie.

Po tym wyjaśnieniu nastąpił kontratak w postaci tego samego pytania — tyle że teraz padło ono z ust mamy i było skierowane do Piotrka. No i wtedy mój brat wrzucił w naszą konwersację koktajl Mołotowa:

— Przyjechałem do Zośki... — urwał dla lepszego efektu i dokończył — bo mnie o to prosiła. — Ponowna pauza powinna była wzmoczyć moją czujność. — Chciała porozmawiać o swoim problemie. — Miałam szansę, żeby jakoś zareagować, ale z wrażenia oniemiałam. — Nie mogłam odmówić siostrze... — W ramach kropki nad i oznajmił, że nie może zdradzić, o co chodzi, bo przyrzekł mi dochowanie tajemnicy. Za nic nie zawiódłby zaufania kochanej siostry.

Mama wzorowo łyknęła zalewajkę, którą jej zaserwował — zapewniła, że nie zamierza go naciskać.

— Piotrusiu, masz sesję, a jednak znalazłeś czas, żeby wesprzeć siostrę w trudnych chwilach. — Mama, gładząc synka po głowie, spojrzała na mnie. — Córeczko, masz świetnego

brata.

— Zrobiłaby dla mnie to samo — odparł Piotrek z miną księdza dobrodzieja, powiernika marnotrawnej siostry.

— Mistrz — wyszeptał do mnie Bartek, podsumowując woltę mego brata, po czym przeczuwając nadchodzące zmiany w atmosferze, która z „ciężkiej” obrała kurs na „warunki nie do przejścia”, ulotnił się na spacer z Niuńkiem.

Musiałam przyznać kumpłowi rację: Piotrek zmienił motyw rozmowy z wprawą godną Machiavellego. Hasło: „Mamo, Zosia ma problem” zdjęło go z linii ognia. Tymczasem ja zostałam na polu walki sama, bez posiłków. Teraz cała uwaga mamy z Piotrka przeniosła się na moją, Bogu ducha winną, osobę.

Miałam dwa wyjścia:

A) ratować się, mówiąc mamie o prawdziwym powodzie stacjonowania brata w Warszawie.

B) wejść w buty, które piekielny Piotruś dla mnie uszył.

Wybrałam plan B — mimo że szczeniak zastosował wobec mnie chwyt poniżej pasa, to nie chciałam odplacić mu tym samym. Raz — obiecałam, że będę go wspierać niezależnie od okoliczności. Dwa — mój rodzony lisek chytrusek swoim posunięciem ustawił mnie na z góry przegranej pozycji. Cokolwiek bym teraz powiedziała, mogłoby to zostać odebrane przez mamę jako wykręt przed rozmową o moich problemach.

No i się zaczęło — mama poprosiła mnie o pomoc przy robieniu herbaty. Tymczasem braciszek wykorzystał sytuację, żeby się ewakuować.

— To wy, dziewczyny, pogadajcie sobie w spokoju — rzucił i zmył się z mieszkania.

Na pożegnanie wcisnęła mamie kolejny kit: że śpi u kumpla z liceum, który studiuje w Wawie, i nie może wrócić za późno do akademika.

Zadzwonię rano. — Cmoknął ją w policzek. — Siostra, odprowadzisz mnie?

Miałam nadzieję, że mnie przeprosi i podziękuje za krycie jego tyłka. A co usłyszałam?

— Niech moc będzie z tobą! — wypalił rozkosznie i czmychnął za drzwi.

Piotrek nie miał żadnego problemu ani z tym, że nałgał mamie w żywe oczy, ani z tym, że posłużył się mną jak środkiem, dzięki któremu osiągnął swój cel. Egoista — dotarło do mnie, że brat jest ostatnią osobą, na którą mogłam liczyć. Zrobiło mi się naprawdę smutno. Jednak w tej chwili nie mogłam sobie pozwolić na rozklejenie. W kuchni czekała na mnie mama — problem w tym, że ona chciała ze mną szczerze porozmawiać, a ja szczerze chciałam tego unikać.

* * *

Od dziecka miałam problem z okłamywaniem mamy. Zanim ktoś podniesie brew w geście uznania dla moich wysokich standardów moralnych, muszę coś sprostować. Owa niechęć do łamania przykazania numer osiem wynikała nie tyle z wyrzutów sumienia, co z braku odpowiednich umiejętności. W odróżnieniu od mojego brata byłam pozbawiona talentu do ściemniania. Nie chodzi o kłamanie w ogóle — na co dzień w tym względzie nie odstawałam od średniej krajowej. Kłopot pojawiał się w jednym szczególnym przypadku — mojej mamy.

Pierwsza świadoma próba jej wkręcenia okazała się dla mnie taką porażką, że trauma pozostała do dzisiaj. Chodziło o kredki — konkretnie nowiutkie świecówki. Pewnego całkiem zwykłego dnia w drodze z mojego przedszkola robiłyśmy z mamą zakupy. Czekanie umiłałam sobie rysowaniem świecówkami Małej Mi — na ścianie sklepu. Pamiętam, jak z dumą patrzyłam na swoje dzieło do momentu, kiedy usłyszałam:

— Ja ci posmaruję bohomazy na moim sklepie! — Z twórczego szału wyrwał mnie krzyk

właściciela sklepu. — Czyje to dziecko?!

Całe szczęście, że mama się do mnie przyznała. Spokojnie wyjaśniła odpornemu na sztukę krzykaczowi, że nie ma o co robić zamieszania, bo obrazek może zaraz zmyć wodą, ale tynk na murze jest tak brudny i poobijany, że właściciel powinien być mi wdzięczny za tak efektowny element dekoracyjny.

Trzeba przyznać, że kiedy ja albo Piotrek zrobiliśmy coś nawet niezbyt mądrego, ale w dobrej intencji, mama zawsze stawała w naszej obronie. Jednak jeśli przeskrobaliśmy coś z premedytacją, nie miała dla nas litości. Tak też było tamtym razem. Dzięki tyradzie mamy nie dość, że sklepikarz mnie przeprosił, to jeszcze dostałam od niego czekoladę. I gdyby na tym się skończyło, ten dzień miałby szansę zapisać się w mojej pamięci jako jeden z ulubionych. Niestety mama popsowała go, zadając z pozoru niewinne pytanie:

— Zosieńko, a skąd masz te kredki?

Cóż, świecówki w zabójczo odblaskowych kolorach wyniosłam z przedszkola. Wiedziałam, że zrobiłam źle i... po raz pierwszy w życiu skłamałam:

— Znalazłam je, mamusiu.

Wtedy mama zastosowała wobec mnie swój wariograf. Poprosiła, żebym spojrzała jej w oczy... I było pozamiatane. Od razu wiedziała, że ją oszukałam. Następnego dnia kazała mi oddać świecówki, ale nie to było najgorsze — mama poszła ze mną do pani, a ja musiałam się przyznać, że ukradłam kredki i przeprosić. Jak ja się wtedy wstydziłam! Myśląc o tym epizodzie, mam ciarki do dziś.

Tamto doświadczenie nauczyło mnie jednej rzeczy — nigdy nie kłam mamie prosto w oczy. Tego wieczoru musiałam złamać tę zasadę. Za nic na świecie nie mogłam dopuścić do spotkania wzrokowego z mamą. Z takim założeniem przekroczyłam próg kuchni.

— Mamo, zrobię kanapki.

— Już zrobiłam, Zosieńko.

— Poszukam curry.

— Do czego, córeńko?

— Curry jest dobre do wszystkiego.

Zgodnie z założeniem miotałam się po kuchni od szafki do szafki, żeby tylko nie usiąść naprzeciwko mamy i nie spojrzeć jej prosto w oczy. Równocześnie niczym saper rozbierałam każdą próbę podjęcia przez nią poważnej rozmowy. Efekt był taki, że moje zachowanie upewniło ją, że mam poważne kłopoty. Moją ruchliwość uznała za objaw znerwicowania. Gorzej — mama miała już własną teorię na temat źródła pochodzenia owych trosk.

Otóż według niej przeżyłam, uwaga... zawód miłosny — zostawił mnie chłopak. Kto konkretnie? Dres! W trakcie sam na sam z Bartkiem dowiedziała się, że Niuńka podrzucił mi jeden koleś. Rodzicielka złożyła sobie fakty w melodramat, w którym Dres złamał mi serce, zostawiając samą z psem. Bardzo przeżyłam to rozstanie — dlatego szukałam wsparcia u brata i ściągnęłam go z Wrocławia.

— Chodzi o tego chłopaka, mam rację? — Mama przytuliła mnie do siebie, a ja ze wzrokiem wbitym w podłogę nie mogłam uwierzyć w jej twórczą inwencję. Właściwie to powinnam się cieszyć: mama wymyśliła za mnie problem i w niego uwierzyła. Nie musiałam kłamać, wystarczyło, żebym milczała i było po sprawie. I wtedy usłyszałam: — Spójrz mi w oczy...

Poczułam się jak pięcioletnia dziewczynka, wtedy, przed sklepem.

Moja reakcja wystarczyła, aby podważyć wiarygodność love story z Dresem.

Niestety mama doszła do kolejnego wniosku — skoro nie chodzi o sprawy uczuciowe, to

moje problemy muszą być znacznie poważniejsze.

— Córeczko, co się dzieje? Powiedz prawdę.

Wiedziałam, że teraz nie wywinę się żadną sfabrykowaną opowieścią. Musiałam rzucić mamie na pożarcie jakieś autentyczne wydarzenie, coś, czym mogłaby się przejąć na tyle, żeby pojawienie się Piotrka w Warszawie wypadło wiarygodnie.

W ostatnim czasie przez moje życie przebiegał czerwony pasek z „breaking news” — wystarczyło je lekko podkoloryzować. Miałam z czego wybierać. Zawijas z panem Tobiaszem — dziarskiego emeryta namierzyłam z zamiarem vendetty, a los tak wszystko poprzestawiał, że finalnie uratowałam mu życie. Albo sprawa podmiany holendra — przypadek podstawił mi architekta przystojniaka, po czym nastąpiła przewrotka i aktualnie z Danielem randkowała Kaśka. A Niuniek? Wystarczyło opowiedzieć mamie, jak było z nim naprawdę. Ni z tego, ni z owego osiedlowy Dres obdarzył mnie psinką, która tak mocno weszła w życie moje, Bartka i Kaśki, że teraz żadne z nas nie wyobrażało sobie, iż yorkusia mogłoby z nami nie być... I nagle usłyszałam własny głos:

— Masz rację mamo, chodzi o chłopaka, tylko innego. Poznałam Szymona Korcza...

— Moje własne słowa zaskoczyły mnie co najmniej tak samo jak mamę.

— Dlaczego wybrałaś akurat ten motyw? — zapytał mnie wewnętrzny głos.

Zignorowałam go. W tej chwili nie miałam warunków, by toczyć wewnętrzny dialog z samą sobą. Prowadzenie wybujałych rozmyślań zburzyłoby moją koncentrację, a musiałam się skupić na rozmowie. Jako że natura obdarzyła moją rodzicielkę dociekliwością, miała wiele pytań i żadne nie mogło pozostać bez odpowiedzi. Gorzej — musiałam wszystko przedstawić odpowiednio dramatycznie, aby historia znajomości z aktorem wytłumaczyła moje domniemane załamanie. Biorąc pod uwagę wykrywacz kłamstw w oczach mamy, zadanie wymagało ode mnie sięgnięcia po niezwykle zawoalowane sposoby owijania w bawełnę jądra problemu.

* * *

Naszą rozmowę kończyłyśmy w moim pokoju. W międzyczasie Bartek wrócił bowiem ze spaceru z Niuńkiem i wolałam nie ryzykować, że kumpel jakimś wkrętem popsuje moją misternie snutą opowieść.

Ścieląc mamie łóżko, dobrnęłam do finału historii znajomości z aktorem, równolegle kombinując, jak tu szybko zakończyć ten wieczór zwierzeń. Postawiłam na poczucie obowiązku i przypomniałam mamie, że jutro jest poniedziałek, a ja rano muszę wstać do pracy. Ostentacyjne ziewanie zadziało — przytuliłyśmy się na dobranoc. Kiedy byłam w drzwiach pokoju i całkiem realnie wydawało się, że wyjdę z niego z tarczą, padło:

— Zosieńko, mnie nie oszukasz. — A jednak operacja zamydlania oczu nie powiodła się. Ciężko przysiadłam na łóżku. Byłam pewna, że teraz nastąpi całonocne kazanie.

— Rozumiem, co czujesz, kochanie. — Mama przygarnęła mnie do siebie. — To normalne w twoim stanie — dodała.

— W jakim stanie, mamo? — Najwyraźniej traciłam wątek.

— Znam cię jak nikt, córeńko. — Mama spojrzała mi po swojemu w oczy. — Zakochałaś się w tym aktorze...

Nie zaprzeczyłam. Efekt został osiągnięty. Mama kupiła uszyte przeze mnie romansidło. Osią dramatu było moje zauroczenie przystojnym celebrytą, którego poznałam na planie serialu. Nie bardzo umiałam poradzić sobie z tym, co czułam. Chciałam o tym z kimś porozmawiać, ale nie z Kaśką — jako moja przyjaciółka i jednocześnie znajoma Szymona byłaby nieobiektywna. Bartek też odpadał — zrobiłam z niego kolesia pozbawionego odpowiedniej dawki empatii.

W odróżnieniu od mojego brata — tak, jego ubrałam w kostium rozsądnego wrażliwca. Dlatego wezwałam Piotrka na ratunek, a on nie bacząc na nic, bo przyjechał z Wrocławia, by dodać otuchy zagubionej uczuciowo siostrze.

Kurtyna opada. Brawa dla autorki.

* * *

Teraz, leżąc w wannie, próbowałam odpłynąć od wszystkiego, co mnie spotkało dzisiejszego dnia. Metodę wymaczania ciężkich tematów opracowałam jeszcze w Kielcach. Kiedy dopadały mnie smutki, robiłam sobie kąpiel. Chowając się w pianie po sufit, wymyślałam sposoby na rozwiązanie największych problemów świata — przy nich moje własne zdecydowanie malały. Jako gówniara przeważnie dumałam nad dziurą ozonową.

Tyle że tego wieczoru płukanka myśli szła mi wyjątkowo opornie. Mój wewnętrzny głos znów zapytał:

— Czemu opowiedziałas mamie o Szymonie Korczu? — I katował mnie nim z uporem maniaka.

— W spontanicznym odruchu — próbowałam zamknąć mu usta. — Uznałam, że opowiadka o aktorze zrobi na mamie największe wrażenie. W końcu jest fanką serialu, w którym on gra — cierpliwie wyjaśniałam swoje motywy. — Poza tym inne moje przygody nie były na tyle mocne...

Rany — przerwałam dialog z własną jaźnią. Nagle zdałam sobie sprawę, że te historie — w skrócie: „Dziwne przypadki Zofii Morawiec”, z poznaniem Szymona włącznie — wydarzyły się po zakopaniu „sekreto” w parku. Nie zdążyłam ochłonąć po tym odkryciu, gdy po raz drugi wykrzyczałam: — Rany! Przypomniałam sobie niedawny sen, w którym w rolach głównych wystąpili Szymon i moja mama.

— Czyżby zabawa w czary ściągnęła na mnie jakiś urok? — zapytałam samą siebie i z miejsca dostałam odpowiedź.

— To nie magia ani „sekrety”! Śniesz o Szymonie, bo o nim myślisz... — Zanurzyłam się pod wodą, próbując zagłuszyć swoje „ja” bulgotaniem. Bezskutecznie.

W mojej głowie niczym refren hitowej piosenki zadudnił tekst mamy:

— Zakochałaś się w tym aktorze — huczała jedna półkula mózgu. — Nie, nie, nie — odpowiadała druga.

Z desperacją skupiłam się na znalezieniu jakiegokolwiek dylematu do rozważenia, byle tylko uciec myślami od Szymona Korcza. Mój wzrok padł na płyn do kąpieli z dodatkiem koziego mleka. Mleko, mleko — Kleopatra pluskała się w mleku, a Elżbieta Batorówna we krwi dziewic. Czy wyraz „wanna” jest rodzaju żeńskiego w uznaniu dla ich zasług w krzewieniu kąpieli?

— Dlaczego wanna jest kobietą? — wyśpiewałam na głos, aby zagłuszyć miłosny kawałek, który coraz śmielej hulał pod moją kopułką.

Zaangażowałam się w wykon do tego stopnia, że nie słyszałam, kiedy do łazienki weszła Kaśka.

— Aż tak źle? — udało się jej przebić przez mój wokal.

Przyjaciółka po latach wspólnego mieszkania bezbłędnie diagnozowała moją kondycję psychiczną po natężeniu głupawki.

Gdy się kąpałam, Bartek zrelacjonował Kaśce zadymę z mamą i Piotrkim — mnie pozostało jedynie doprecyzowanie szczegółów. Oboje byli pod wrażeniem moich żelaznych

nerwów. Jeśli nawet takowe posiadałam, to teraz były w strzępach. Miałam dość bycia atrakcją wieczoru. Swoją szansę na zejście ze sceny upatrywałam w koszu czerwonych róż, z jakim wróciła do domu Kaśka.

— Lepiej opowiadaj, jak tam architekt — zagadnęłam przyjaciółkę w nadziei, że jej wieczór był zdecydowanie bardziej udany od mojego.

— Super... — padło pierwsze z kilkunastu „super”, jakich Kaśka użyła, opisując czas spędzony w towarzystwie Daniela.

W skrócie — idealna randka z idealnym facetem. Koleś zaprosił ją do wyczesanej w kosmos restauracji z muzyką na żywo. Nie dość, że zamówił PRAWDZIWEGO szampana, to jeszcze zagrał dla niej na pianinie kawałek z *Casablanki*.

— Zgadnijcie, gdzie mnie potem zabrał? — Kaśka zawiesiła głos dla lepszego efektu...

— Z ramion swych wprost do nieba? — odśpiewał jej Bartek, inaugurując swoje zwyczajowe kpiny z chłopaków Kaśki.

No i się zaczęło — Kaśka rzuciła, że tylko taki obciachowiec jak Bartek może znać na pamięć teksty piosenek Trojanowskiej. Uderzyła w jego czuły punkt. Wczesna Izabela była obiektem fascynacji naszego kumpla do tego stopnia, że ściągnął sobie odcinki *Dyzmy*, w których grała. Ze scen z jej udziałem zmontował filmik *Boska Iza*. Puszczął go swoim dziewczynom w ramach szkolenia.

— Dzięki temu wiedzą, co w sobie zmienić, żeby dla nich oszalał — Bartek uważał swoje pokazy za tak genialny żart, że prawa do niego planował sprzedać Monty Pythonom.

Dla Kaśki zgrywa Bartka była kolejnym przejawem jego skrajnego cymbalizmu. Obserwowałam — po raz nie wiem który — ten ich ping-pong. Zaraz Kaśka powie, że żadna normalna dziewczyna nie wytrzyma z takim oszołomem. Potem nastąpi odbicie piłeczki przez Bartka, że to git, bo jego kręcą wariatki. Słuchałam znudzona utartym schematem, aż tu nagle Kaśka wyjechała z premierowym tekstem:

— Wiesz, jaka jest różnica między tobą a Danielem?

— On jest romantic, fantastic aż plastic?

— To facet, dla którego chce się oszaleć!

Na tym Kaśka zakończyła naszą nocną Polaków rozmowę i poszła do swojego pokoju. Spodziewałam się po Bartku riposty ostrej jak papryczka chili — ale to, co powiedział na temat architekta, kompletnie wbiło mnie w kanapę.

— Farciarz... — to był cały jego komentarz.

Uznałam, że świt za oknem to znak, że czas najwyższy na sen.

* * *

Tej nocy korzystałam z gościnnych progów pokoju Kaśki — kiedy weszłam, ona już leżała w łóżku.

— Śpisz?

— No co ty! — Kaśka zaprzeczyła z taką gwałtownością, jakby senność o trzeciej nad ranem była zjawiskiem niespotykanym w naturze. Następnie wyjaśniła, że po emocjach, jakich dostarczył jej Daniel, bankowo nie uśnie do rana.

Zaczęłam podejrzewać, że jej irytacja na Bartka wzięła się stąd, że śpiewająco trafił w punkt.

— Mów, jak było? — Zawsze opowiadałyśmy sobie „momenty”.

— Odłotowo, miałam gęsią skórę od głowy po pięty. — Tajemniczy uśmiech Mona Lisy, jaki się błąkał na jej facjacie, zdradzał, że tego wieczoru Daniel spisał się idealnie na każdym

polu.

Jeden minus — dodała Kaśka. — Po wszystkim zwymiotowałam całą kolację.

Musiałam przyznać, że jej opis randki zdecydowanie odbiegał od naszych zwyczajowych doznań. Chwilę zajęło mi znalezienie wytłumaczenia dla tych specyficznych objawów:

— Ćwiczyliście pozycje z *Kamasutry*?

— Odbiło ci? — Kaśka spojrzała na mnie jak na zjawisko. — Na bungee nie da się uprawiać seksu! — Z tym akurat trudno było się nie zgodzić.

Pozostało inne pytanie:

— Kaśka, jakie bungee, do cholery?! — Po raz drugi tego wieczoru poczułam, że tracę wątek.

Okazało się, że idealny Daniel był zagorzałym bungee’stą. Nie zabrał Kaśki do siebie, jak obstawiłam, tylko na silos pod Warszawą. Stamtąd razem wykonali skok wahadłowy — jak fachowo objaśniła mi Kaśka. Szok! Odkąd ją znałam, bała się wysokości. Dostawała ataku paniki na sam widok wesołego miasteczka. Raz we Władysławowie skłoniłam ją do odbycia rundki Diabelskim Młynem: narobiła takiego krzyku, że trzeba było zatrzymać karuzelę. Fakt, że Kaśka dała się namówić ledwo poznanemu facetowi na ekstremalny wyczyn, był dla mnie o wiele bardziej szokujący niż wersja zdarzeń z *Kamasutrą*. Dopiero gdy pokazała mi w komórce zdjęcia ze skoku, uwierzyłam, że naprawdę to zrobiła.

— Nie bałaś się? — dopytywałam porażona jej nagłą przemianą.

Kaśka zaprzeczyła kręceniem głowy — po czym uśmiechnęła się do swoich myśli.

— Po prostu wiedziałam, że z Danielem nic mi się nie może stać! — Kaśka rozplynęła się w opisie walorów architekta.

Nie musiałam jej dalej słuchać, aby zrozumieć, że moja przyjaciółka wpadła po uszy.

Byłam zmęczona. Miałam za sobą ciężki weekend i baaaardzo długi wieczór, złożony z rewelacji spadających na mnie z zastraszającą częstotliwością. Potrzebowałam snu — wtuliłam się w poduszkę i rozpoczęłam podróż ku krainie łagodności. Już przekraczałam jej wrota, gdy nagle usłyszałam:

— Tak sobie myślę o tobie...

— Mhy... — Miałam nadzieję, że przyjaciółka właściwie to zrozumie: nie mam ani siły, ani ochoty na rozmowę, o mnie w szczególności.

Niestety Kaśka moją reakcję uznała za objaw zainteresowania i kontynuowała niezrażona:

— ...Jeśli twoja mama ma radar na ściemę, to dlaczego uwierzyła, że się zakochałaś w Szymonie?

— Mhy... — tym razem był to jęk rozpacz. Przeczynałam, że to, co zaraz usłyszę, może sprawić, iż błogi sen pozostanie tej nocy w sferze moich marzeń.

Tymczasem Kaśka, ziewając, odwróciła się do mnie plecami. Po chwili dobiegło mnie jej miarowe pochrapywanie. Uff... Całe szczęście, że zmęczenie okazało się silniejsze od jej potrzeby paplania. Z ulgą zamknęłam oczy, przyłożyłam policzek do poduszki i rozpoczęłam proces odpływania w niebyt...

— Bo to jest prawda... — wymamrotała przez sen przyjaciółka.

W efekcie ona spała jak zabita, a ja nie zmrzyłam oka do rana. Aż w końcu nastał upragniony nowy dzień...

* * *

— Jesteśmy w kontakcie. — Dałam mamie klucze od mieszkania, cmoka na do widzenia i wraz z Niuńkiem wybiegłam do pracy.

Wcześniej wypiliśmy razem szybką poranną „szatankę” — mama po kilku łykach miała dość zaserwowanej przeze mnie kawy. Ja, żeby wykrzesać z siebie życiową energię, znacznie ją przedawkowałam.

Wspólny poranek w kuchni próbowałam wykorzystać na zaznajomienie się ze szczegółami pobytu mojej mamy w stolicy. Konkretnie interesowało mnie to, jak długo potrwa jej szkolenie, a co za tym idzie, kiedy przewiduje powrót do Kielc. Jednak wyciągnięcie od mamy precyzyjnych informacji na ten temat okazało się celem nie do osiągnięcia. Tak wszystko gmatwała, jakby każdy szczegół z przebiegu jej wizyty był objęty tajemnicą państwową, a ona sama nie pracowała na poczcie w księgowości, tylko w ABW. Chyba że wina leżała po mojej stronie — po nieprzespanej nocy mogłam mieć opóźniony zapłon.

Ale bezsenność do czegoś mi się przydała. Obmyśliłam procedury postępowania z facetami, którym zawdzięczałam koszmar minionego wieczoru.

Oto co postanowiłam w sprawie brata i Szymona Korcza:

Pierwszego zamierzałam ignorować po całości, dopóki mnie nie przeprosi. Drugiego — zlikwidować na amen.

— On mnie nie obchodzi. — Jadąc holendrem do pracy, z zapalem praktykowałam autosugestię, za pomocą której zamierzałam wyciąć aktora ze swojej głowy.

Nie podejrzewałam, że tuż za rogiem, w moim biurze, czeka na mnie kolejny kandydat do odstrzału — nie tylko w myślach.

* * *

Jako magister psychologii niejako z urzędu uważałam, że nałogi mają zgubny wpływ na ludzi. Jednak odkąd mój szef rzucił palenie, musiałam nieco zmodyfikować swój pogląd na temat walki z nałogami. Erwin Anielak był chodzącym dowodem na to, że niektórzy nie powinni odstawiać nikotyny — dla zdrowia swojego i otoczenia. W jego przypadku rozłąka z fajkami skutkowałą jednym, za to błyskawicznie postępującym skutkiem ubocznym — z każdym dniem bez papierosa stawał się coraz większym dupkiem. W końcu choleryczna strona osobowości Anielaka wzięła górę nad resztkami przyzwoitego faceta, jakie się w nim jeszcze tliły.

— Z Anielaka zmienił się w Choleraka. — Nieoceniona Marzenka na wejściu poprawiła mi humor. Nawet Niuniek radośnie obszczekał jej żart.

Nasz dobry nastrój prysł wraz z pojawieniem się bohatera anegdotki. Erwin Anielak poprosił mnie do swojego gabinetu i postarał się, żeby uśmiech na długo nie zagościł na mojej twarzy.

Jak tylko zamknęłam drzwi, objechał mnie za to, że w sobotę nie przyszedłam do pracy. Przeprosił go — faktycznie nawaliłam. Próbowałam mu wyjaśnić, że wypadła mi niespodziewana fucha na planie... ale wtedy obrzucił mnie stekiem epitetów, na tle których „nieodpowiedzialna panna” zabrzmiało niemal jak komplement. Jednak ponieważ Anielak nigdy nie porażał kulturą osobistą, a rozstanie z fajkami dodatkowo spotęgowało jego zwyczajową chamowatość — tyrada zrobiła na mnie takie wrażenie jak śnieg na Eskimosie.

Dopiero nagana, jaką wymyślił dla mnie szefunio w ramach, jak to ujął, zadośćuczynienia za niewywiązanie się z obowiązków służbowych, przebiła ochronną warstwę ignorancji, jaką się otoczyłam w celu zachowania spokoju. Anielak oznajmił, że w tym miesiącu nie zapracowałam na pensję, więc nie zapłaci mi ani złotówki, a przez dwa następne będę zarabiać o połowę mniej.

A na koniec dodał coś, czego nie usprawiedliwiał nawet nikotynowy głód:

— Chyba że wszystko odpracujesz po godzinach — boss zaciągnął się elektronicznym papierosem — u mnie w domu, wiesz, jakiś masażyk mi zrobisz albo coś więcej...

— Nie od razu zareagowałam, bo poraziły mnie snopy słomy, jakie nagle zobaczyłam w butach Erwina Anielaka.

— Pierdol się!

Chwilę potem zwiększyłam odsetek bezrobotnych w stolicy.

* * *

Po tym, co zaszło, byłam w takim szoku, że przejeżdżając na rowerze obok pana Szczepana i jego asortymentu rozłożonego na kocu, nawet nie zainteresowałam się głośną wymianą zdań między ulicznym biznesmenem a jakimś ogolonym na łyso bysiem. Skupiłam się na tym, żeby jak najszybciej dojechać do spokojnego miejsca, w którym będę mogła dać upust swoim emocjom. Nie chciałam robić z siebie widowiska — szlochająca dziewczyna na żółtym holendrze miała szansę wzbudzić zainteresowanie przechodniów. Dlatego zaciskając zęby, wytrzymałam do najbliższego skweru — tu, między szpalerami zaniedbanego żywopłotu, dojrzałam ławkę, która zapewniała minimum intymności.

Nie pamiętam kiedy ostatni raz płakałam z taką mocą. Mieszanka złości, bezradności i poczucie poniżenia wywołały reakcję, której się po sobie nie spodziewałam. Niuniek wyczuł, że potrzebuję wsparcia przyjaciela i próbował po swojemu zatamować potok siąpiący się z moich oczu — zaczął zlizywać mi łzy z policzków. Jego interwencja tak mnie rozczuliła, że musiałam się uśmiechnąć — psinka uchroniła mnie przed totalną histerią. Jednak nie czułam się jeszcze na siłach, żeby zadzwonić choćby do Kaśki — przed rozmową z przyjaciółmi wołałam wziąć się w garść.

Na spokojnie zaczęłam analizować sytuację, w której się znalazłam. Straciłam pracę i zupełnie nie byłam na to przygotowana. Z drugiej strony: czy można być przygotowanym na coś tak słabego jak tekst mojego byłego już szefa? Poza tym od dawna nie dogadywałam się z Anielakiem — właściwie powinnam się cieszyć, że dzisiaj w końcu wyszło, jakim jest prostakiem. W sumie zwolnienie było najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić.

Musi być dobrze. Jak nie ja, to kto? — kontynuowałam sesję pozytywnego myślenia. Raz-dwa znajdę inną pracę. Nie będę wybrzydzać, wezmę, cokolwiek się nawinie, na przeczekanie.

Żeby podnieść sobie morale, zanuciłam kawałek *Don't worry, be happy*. I znowu się rozpłakałam, ale tym razem szybko otarłam łzy.

Gdyby coś się skomplikowało ze znalezieniem pracy, miałam rezerwę finansową przeznaczoną na kurs psychoterapii. W najgorszym razie nie złożyłabym papierów we wrześniu, tylko w semestrze zimowym — wtedy też jest nabór. Właściwie to w pierwszej wersji zamierałam zapisać się na studia już w marcu — wtedy miałam już uskładane pieniądze potrzebne na pierwszą ratę. Zmieniłam zdanie w ostatniej chwili. Dlaczego?

Uznałam, że mądrzej będzie jeszcze trochę uciulać, aby później móc pracować na pół etatu. Liczyłam, że dogadam się w tej sprawie z Anielakiem. W tamtym momencie uważałam go może nie za idealnego, ale i nie najgorszego szefa. Planowałam, że od chwili rozpoczęcia szkolenia poświęcę jak najwięcej czasu na naukę. Totalny fokus na celu, jakim jest zostanie dobrym psychoterapeutą.

Całe szczęście, że podjęłam taką mądrą decyzję — pochwaliłam samą siebie przed Niuńkiem. — Dzięki temu teraz nie muszę się martwić, z czego będę żyć przez najbliższe tygodnie.

Yorkuś olał moje samopocieszanie i pobiegł obsuszać krawężnik. I miał rację, bo to, co właśnie robiłam, to było klasyczne „ble, ble, ble” dla uspokojenia wyrzutów sumienia. Gdybym

w marcu zdecydowała się na rozpoczęcie kursu, teraz byłabym w zupełnie innym punkcie. Mogłam zrobić krok do przodu, tymczasem zamiast życiowego progresu, wybrałam constans, a tak naprawdę regres. Tkwienie w tym samym miejscu było stratą czasu i chowaniem głowy w piasek przed nowymi wyzwaniami. Prawdziwy powód, dla którego nie zapisałam się wiosną do studium psychoterapii, nie miał nic wspólnego z rozsądkiem. Niestety. Uciekłam sprzed drzwi dziekanatu, bo stchórzyłam. Teraz tak samo uciekałam przed szczerą odpowiedzią na pytanie: czego się bałam?

* * *

— Coś się stało? — Doktor Marta badawczo lustrowała moje podpuchnięte oczy.

Owszem, straciłam źródło utrzymania i pomysł na życie — miałam ochotę powiedzieć i poużalać się nad sobą, ale równie mocno chciałam, aby moja świeżo upieczona znajomość z lekarką nie skończyła się równie nieoczekiwanie, jak się zaczęła.

Raz zostałam obsadzona w roli poduszki do wypłakiwania się przez ledwo co poznaną osobę i nie uniosłam tego. Na pierwszym roku studiów, w ramach urodzinowego prezentu, mama zasponsorowała mi kurs prawa jazdy. Według niej samochód to najlepszy przyjaciel kobiety. Sama wstąpiła w szeregi kierowców po tym, jak zostawił nas ojciec. I jak twierdziła, od tego czasu jej życie stało się łatwiejsze. Faktycznie — mama prowadziła tak, jakby urodziła się za kierownicą. Jazda sprawiała jej taką frajdę, że zawsze chętnie podwoziła każdego, kto ją o to poprosił. Od naszej sąsiadki pani Halinki, z którą co sobotę robiła rundkę po osiedlowych bazarkach (pani Halinka pasjonowała się porównywaniem cen na kieleckich targowiskach i wynajdywaniem najtańszych okazji), po transportowanie naszej babci na próbę kościelnego chóru. Babcia śpiewała w sopranach — nikt tak nie nucił kolędy *Jezus malusieńki*. Odkąd umarła trzy lata temu, święta straciły blask...

Każdy samochód, a włącznie z obecną yaryską było ich w naszej rodzinie dwa, mama traktowała jak trzecie dziecko.

Chuchała, dmuchała, a nawet z nimi rozmawiała. Robiła też wszystko, żeby zarazić swoją automobilową pasją dzieci. W wypadku Piotrka odniosła sukces — brat jak tylko skończył osiemnaście lat, zrobił prawko, a egzamin zdał za pierwszym podejściem. Natomiast ja... no cóż.

Pech chciał, że w ośrodku szkolenia trafiłam na instruktorkę, która okazała się reinkarnacją Hioba. Jak tylko odpaliłam silnik auta z „L” na dachu, ona odpaliła opowieść zatytułowaną „Wszystkie nieszczęścia mojego życia”. W skrócie — babka miała pretensje do całego świata za swoje niespełnione ambicje. Marzyła o karierze urzędniczki w jakimś ministerstwie, tymczasem szkolila rozdziawy (jak uroczo określiła swoich uczniów, w tym mnie). Bite sześćdziesiąt minut użalała się nad sobą, przejawiając wybitny talent w emocjonalnym szantażu. Finał był taki, że na parking ośrodka szkoleniowego dojechałam równie sfrustrowana jak ona, do tego obarczona bagażem w postaci poczucia winy za jej życiowe niepowodzenia. Co gorsza, przez Hiobkę przeminął z wiatrem także mój zapał do nauki kierowania samochodem.

Mama do dzisiaj nie mogła się pogodzić z faktem, że córka nie wypięła wraz z jej mlekiem miłości do czterech kółek. Mnie to specjalnie nie martwiło — znacznie bardziej pasowało mi prowadzenie dwukołowego pojazdu.

Tak czy inaczej, pamiętając o swojej pierwszej i zarazem ostatniej lekcji nauki jazdy, wolałam przemilczeć własne nieszczęścia, niż epatować nimi doktor Martę. Nie chciałam ryzykować, że sympatyczna lekarka straci zapał do kontaktów ze mną, tak jak ja do kursu prawa jazdy.

— Mam alergię na pyłki — w ten sposób wytłumaczyłam ślady, jakie zostały mi na twarzy po ataku rozpaczy na ławce.

Siedziałyśmy z Martą w parku przy szpitalu. Lekarka nie tylko załatwiła, że mogłam przemycić Niuńka na zielone tereny, ale też uprosiła jednego salowego, który akurat miał przerwę, żeby popilnował yorkusia, kiedy my będziemy odwiedzać pana Tobiasza. Przynajmniej w tym temacie czekały na mnie same dobre wiadomości. No, może nie do końca...

Stan naszego emeryta tak się poprawił, że miał zostać wypisany pod koniec tygodnia — to była ta pozytywna część niusów. Mniej radosna wiązała się z synem pana Tobiasza. Na wieść o coraz lepszej formie ojca uznał, że nie ma sensu, żeby w ogóle go odwiedzał. W telefonicznej rozmowie z Martą stwierdził, że ojciec mu wręcz zabronił przyjazdu, zapewniając, że sam umie o sobie zadbać. Bez sensu więc byłoby, aby syn przerywał sobie z jego powodu urlop i zmieniał plany.

— Dupek. — Nasza opinia o potomku pana Tobiasza pozostała niezmienna, co najwyżej jeszcze się ugruntowała.

Wobec takiego rozwoju sytuacji Marta zapytała mnie, czy do czasu wypisania emeryta jestem w stanie zaglądać do jego mieszkania, żeby dokarmiać Kubę. Jasne, że byłam — aktualnie brak czasu był ostatnią rzeczą, na którą mogłam narzekać. Ustaliłyśmy, że w wersji dla pana Tobiasza dalej będę występować w roli opiekunki, którą zorganizował dla niego syn. Marta uprzedziła potomka o tej mistyfikacji, po to by nie zdradził nas przed ojcem. Facet, jak można się było spodziewać, z entuzjazmem przystał na współudział. Z jego perspektywy wyglądało to tak: jakieś frajerki załatwiły za niego kolejny problem. Dzięki temu on sam wyszedł na kochającego synka i miał tatusia z głowy. Jedyne, na co się zdobył, to propozycja, że mi zapłaci za opiekę.

— Chce ci przelać trzy tysiące złotych — przekazała mi Marta. — Poprosił, żebym przesłała mu esemesem twój numer konta — doprecyzowała szczegóły oferty.

A ja skomentowałam w myślach, że dzisiejszy dzień obrodził w wysyp propozycji nie do odrzucenia. Tyle że tę także musiałam odrzucić. Nie chodzi o to, że gardziłam taką sumą. Przeciwnie — w obecnej sytuacji taki zastrzyk gotówki byłby dla mnie wręcz życiodajny. Jednak odmówiłam.

— Daj spokój, przecież ja tylko podlewam gwarka. — Bo na tym polegała cała moja opieka.

Poza tym czułabym się źle, zarabiając na czyimś nieszczęściu. Do tego jeszcze mając świadomość, że starszy pan nie może liczyć na nikogo innego, bo został pozostawiony sam sobie przez własnego synusia.

Chodziło o coś jeszcze.

Potomek pana Tobiasza skojarzył mi się z innym synalkiem — moim bratem. W ostatnim czasie pokazałam Piotrkowi, że może na mnie polegać. Ale czy ja mogłam tego samego spodziewać się po nim? Wczorajszy wieczór postawił przy tym zagadnieniu niepokojąco duży znak zapytania. Prawda była taka, że brat mnie zawiódł — tak jak pana Tobiasza zawiódł jego syn. Może to głupie, ale przez to poczułam się jakoś związana z emerytem, chociaż go praktycznie nie znałam.

— Nie przyjmę tych pieniędzy — potwierdziłam, kiedy Marta zapytała, czy jestem pewna swojej decyzji.

— Świetna z ciebie dziewczyna. — Pani doktor nie miała pojęcia, jak bardzo się myli.

Byłam bezrobotnym nieudacznikiem bez perspektyw — tak wyglądała smutna prawda na mój temat.

* * *

Wizytę u pana Tobiasza odbywałam już bez towarzystwa pani doktor — pager wygonił ją na OIOM. Nie miałyśmy też szansy, aby chwilę pogadać, o co Marta poprosiła na moment przed tym, jak odezwało się urządzenie. Zdążyła mi jedynie wyjaśnić, że chodzi o bardzo ważną sprawę. Jaką? Na odpowiedź musiałam trochę poczekać. Marta miała dzisiaj dwudziestoczworogodzinny sajon, jak nazywała całodobowy dyżur w szpitalu. Dlatego umówiła się ze mną na telefon jutro rano. Chcąc nie chcąc, musiałam powstrzymać ciekawość. Pomachałam Marcie, która pobiegła gasić swoje pożary, i ruszyłam do sali, gdzie zdrowiał nasz emeryt.

Nawet nie podejrzewałam, że mnie też czeka spory dym.

— Jak można czytać takie szmatławce! — krzyczał pan Tobiasz ze swojego łóżka do emeryta leżącego obok.

Ten równie dziarsko odciął się panu Tobiaszowi:

— Moja prasa, moja sprawa!

Obaj byli tak wkręceni w dyskusję, że żaden nie zauważył mojego wejścia. Tymczasem wymiana zdań robiła się coraz bardziej gorąca:

— Platformerskie fajfusy.

— Prawomyślne oszołomy.

— Czerwone pająki.

— Czarne kruki w sutannach.

Iskrą zapalną były skrajne różnice w politycznych poglądach obu panów. Temperatura rozmowy rosła z epitetu na epitet — ogień, z jakim się wzajemnie atakowali, był dowodem na to, że obaj chorzy wracali do sił. Z drugiej strony eskalacja emocji mogła się w tym wypadku skończyć co najmniej zawałem. Postanowiłam interweniować — pamiętałam, że gdy osiedlowi emeryci spierali się pod naszym warzywniakiem o politykę, właścicielka godziła ich magicznym tekstem:

— Każdy polityk to złodziej! — weszłam między adwersarzy. — Wszyscy oni to jedna klika. Myślą tylko, żeby napchać sobie kieszenie, a dla zwykłego obywatela mają o! — I tu wykonałam „gest Kozakiewicza”, jakim pani z warzywniaka zwykła kończyć swoją wypowiedź.

Obaj emeryci spojrzeli na mnie jak na intruza, który bez zaproszenia wpadł do nie swojego cyrku z nie swoimi małpami.

— Ma rację dziewczyna — jako pierwszy odezwał się pan Tobiasz.

— Dobrze mówi, chociaż wygląda na nieopierzoną — o dziwo, jego towarzysz miał takie samo zdanie.

Poczułam się jak peacemaker — zaprowadziłam pokój między pacjentami. Aby rozejm utrzymał się jak najdłużej, postanowiłam do reszty rozładować atmosferę i zagałam rozmowę na neutralny, jak mi się wydawało, temat. Zapytałam mianowicie o pogodę na dalszą część dnia. I wtedy dopiero się zaczęło. Nie przewidziałam, że prasa, którą czytali, różniła się nie tylko politycznymi prognozami — gazety prezentowały także totalnie rozbieżne stanowiska w temacie pogody. W życiu bym nie powiedziała, że kwestia opadów lub ich braku może aż tak podnieść ciśnienie!

Panowie emeryci oddali się ostrej wymianie poglądów w dziedzinie meteo, a moje próby załagodzenia konfliktu zwyczajnie zignorowali. Pan Tobiasz zasugerował, że zamiast przeszkadzać w rozmowie starszych, powinnam się zająć tym, do czego wynajął mnie jego syn.

W mieszkaniu nagrałam Kubę na komórkę, by pan Tobiasz na własne oczy zobaczył, że gwarek jest cały i zdrowy. Filmowanie nieco utrudniła mi pyskówka w wykonaniu gwarka i Niuńka. Zwierzaki nie przypadły sobie do gustu.

— Faj-tła-pa — wyćwierkał Kuba do yorkusia. Zaś Niuniek zrewanżował się tak świdrującym jazgotem, że musiałam skrócić naszą wizytę, dla dobra ptaszka i sąsiadów mieszkających obok.

Zamykając okno, zauważyłam na podwórku starszą panią. Nie tylko wiek pozwolił mi się domyślić, że była emerytką. Siedziała na ławce i z pasją dyskutowała z gołębiami, które karmiła pokrojonym w małą, schludną kosteczkę chlebkiem. Opowiadała otaczającemu ją stadku o niemiłosiernie drogim lekarstwie, jakie zapisał jej lekarz. Ptactwo, jakby dzieląc bólączki swojej dobrodziejki, przyjmowało jej żale zbulwersowanym gruchaniem.

Sposób, w jaki sypała gołąbkom chleb, i jej dobroduszny uśmiech przypomniały mi moją babcią Renię. Ona też miała zaprzyjaźnione gołębie i gawędziła z nimi o różnych sprawunkach, kiedy przylatywały na parapet jej kuchni. Kiedyś brałam to za dziwactwo — teraz zrozumiałam, że na emeryturze starsi ludzie, po latach ganiań do pracy, w końcu mieli czas, żeby z kimś porozmawiać. Tyle że często brakowało obok nich osoby zainteresowanej tym, co mieli do powiedzenia.

Uświadomiłam sobie, że sama wpadałam do babci zwykle między jedną niezwykle pilną sprawą do załatwienia w stylu „kino z Kaśką” a drugą, równie ważną, jak „pizza ze znajomymi”. Rzadko kiedy pytałam, co u niej, a babcia nigdy nie robiła mi z tego powodu wymówek — zawsze czekała na mnie i Piotrka z jakąś słodką niespodziewajką (jak nazywała wyciągane z kredensu batoniki). Swoje problemy zostawiała dla gruchaczy z okna i koleżanek, również emerytek, z chóru kościelnego. Pamiętam, jak spierały się między sobą z pasją równą batalii między panem Tobiaszem i jego towarzyszem.

Wtedy nie rozumiałam, po co babcia traci nerwy na sprzeczki o bzdety — jak ze swojej postępowej perspektywy oceniałam jej moherowe problemy. Teraz, patrząc na starszą panią z werwą dialogującą z gołębiami, mając w pamięci emerytów ze szpitala, a w końcu babcie i jej rówieśniczki, przyszło mi do głowy, że te „bzdety” traktowali jak drewnianka. Z nich rozniecali iskry zasilające ich w energię potrzebną do trzymania się w życiu głównej drogi. Wbrew całemu światu, który próbował ich zepchnąć na boczny tor.

Mieszkając w Warszawie, zaobserwowałam pewną prawidłowość — jeśli na przejściu dla pieszych stał emeryt, to w dziesięciu przypadkach na dziewięć przebiegał przez jezdnię na czerwonym świetle. Zastanawiałam się, skąd u tej grupy wiekowej taki brak cierpliwości. Przecież kto jak kto, ale oni mają czas, żeby poczekać na zielone. Teraz znalazłam wytłumaczenie tej zagwozдки. Może ci wszyscy dziadkowie i babcie tym desperackim wejściem na ulicę krzyczeli do nas — swoich wnuczków i dzieci — mijających ich w samochodach:

— Jesteśmy tu! Mimo że wy nas nie zauważacie i nie macie dla nas czasu!

Z tego samego powodu starsi ludzie tak bardzo doceniali towarzystwo zwierząt, traktując swoje gwarki, psy i koty jak najwierniejszych przyjaciół. Podobnie odnosili się do gołębi, które, jak można było zauważyć w parkach, na skwerach czy podwórkach polskich miast i miasteczek, były lekiem na samotność wielu emerytów.

Myślałam o tym wszystkim, wychodząc z kamienicy pana Tobiasza. Mijając starszą panią, uśmiechnęłam się do niej z sympatią. Emocje, z jakimi uświadamiała swoich gołębic przyjaciół w temacie drożyzny na rynku medykamentów, były dowodem na to, że jeszcze ciągle buzował w niej apetyt na życie. Tak samo jak w panu Tobiaszu i w mojej babci. Jeszcze nie tak dawno temu...

Szkoda, że nie zdążyłam jej powiedzieć, jak bardzo ją za to cenię. Dopiero teraz

zaczynałam rozumieć, że jedną z najgorszych przypadłości, jaka może dotknąć człowieka niezależnie od wieku, jest letnie podejście do życia.

* * *

W domu nie było ani Kaśki, ani Bartka. Zostałam tylko mamę, a konkretniej: mamę z niespodzianką. Okazało się, chwilę wcześniej był w naszym mieszkaniu kurier, który zostawił dla mnie przesyłkę. Na paczce nie było nadawcy. Nie miałam pojęcia, co mogło być w niedużym, prostokątnym pudełku, ani od kogo je dostałam.

Gdy jednak rozpakowałam paczkę, miałam dziewięćdziesięćdziewięćprocentową pewność, kto jest nadawcą. W środku znajdowała się płyta DVD z filmem *To właśnie miłość*. Ostatnio rozmawiałam o tej komedii tylko z jedną osobą.

Z Szymonem Korczem.

Tym sposobem aktor znowu zagościł pod strzechą mojej mózgowicy. Tyle że w tym momencie z przyjemnością poddałam się rozmyślaniu o jego osobie. Dzięki temu mogłam zapomnieć o innych nieprzyjemnych sprawach.

Rozdział

SZÓSTY

Gdyby ktoś we wtorek rano zabawił się we wróżkę i wypowiedział na temat mojej najbliższej przyszłości, uznałabym go za fantastę, uzurpatora lub też wariata. Tyle że właśnie w drugi dzień tygodnia we wczesnych godzinach porannych w Alejach Jerozolimskich, w cieniu Dworca Centralnego i Pałacu Kultury, miałam bliskie spotkanie trzeciego stopnia z osobą, która zawodowo zajmowała się odsłanianiem wydarzeń z czasu przyszłego. — Pani kochana, Cyganka prawdę ci powie — zaczęła mnie dziewczyna w czerwonych koralach i kwiecistej spódnicy.

Nie wiem, czy to jej śpiewna intonacja podziałała na mnie jak zaklęcie, ale zatrzymałam się, a wtedy w jednej sekundzie inne kwieciste spódnice odcięły mnie od ulicy, zamykając w kręgu kultury romskiej. Moja Cyganka o spojrzeniu przenikliwym jak promienie Roentgena wbiła wzrok we wnętrze dłoni, którą jej podałam. I tak w centrum miasta, nie zważając na otaczający nas zewsząd dwudziesty pierwszy wiek, zaczęła mi wróżyć:

— Widzę, pani ładna, że serce twe zazna szczęścia, nurzać się będzie w słodczy przesłodkiej jak miód. — Jak na razie to, co słyszałam, było tak mglisto-kleiste, że zaczęłam żałować piąta, jakiego wymusiła na mnie romska jasnowidzka.

— Ajajaj, paniusia. — Nagle złowieszco zmarszczyła brwi. — Czarne chmury zasłaniają szczęśliwe chwile — zagrzmiała, równocześnie serwując antidotum na czekające mnie problemy: — Cyganka ci powie, gołąbeczko, jak ominąć deszcz i burze. — W tym momencie wyciągnęła pomocą dłoni po kolejną daninę, jednocześnie przedstawiając cennik za swoje kolejne usługi. — Marną dyszkę, pani ładna. — Tyle kosztowało wskazanie, czego mam się wystrzeżać. A kolejną piąteczkę odpędzenie złego licha. — Aby nie zamieszało w szczęściu dla dobrej pani — Cyganka z wprawą domokrażcy zachwalała skuteczność swoich zaklęć, równocześnie przestrzegając, że wzgardzenie jej usługami sprowadzi na mnie fatum. I tu uderzyła w mój czuły punkt.

Nie wiem, czy wypatrzyła mnie w tłumie przez przypadek, czy też intuicja wróżbitki podpowiedziała jej, że w mojej osobie znajdzie wdzięczny obiekt do uprawiania czarnowidztwa. Jako córka swojej mamy — osoby ponadprzeciętnie wyczulonej na przesady z czarnym kotem na czele — żywiłam przekonanie, że na nasze ziemskie bytowanie mają wpływ moce nie z tej ziemi. Zresztą podobną wrażliwość na siły nadprzyrodzone przejawiało pół Polski.

Wystarczyło zobaczyć, co się dzieje na fejsie, jak pojawia się tak zwany łańcuszek szczęścia. Znajomi, którzy na co dzień uważali się za rozsądnych Europejczyków, gardzących ciemnogrodem, nagle gnani strachem przed bliżej nieokreśloną klątwą przesyłali list kolejnym dziesięciu osobom. W gnieniu oka racjoniści stawali się ogniwami irracjonalnego zabobonu. Wszyscy, którzy raz weszli w ten krąg, byli wciągani w niekończący się koszmar, który jego anonimowy twórca, chyba w przypiływie czarnego humoru, nazwał łańcuszkiem szczęścia.

Co do mnie, to jak większość ofiar nie miałam żadnych dowodów, że zabawa chroni przed nieszczęściami. Z drugiej strony wolałam nie sprawdzać, czy przerwanie łańcucha sprowadzi na mnie jeszcze więcej niż zwykle przypadków nie do ogarnięcia. Ale jako że inni myśleli podobnie, łańcuszek szczęścia — za pomocą światłowodów — pętał coraz większe

rzesze rodaków wzdłuż i wszerz kraju.

Dlatego w tamten wtorkowy ranek, w ramach życiowej filozofii: lepiej dmuchać na zimne, byłam gotowa dać się ocyganić na dwadzieścia złotych, byleby tylko uśpić hipotetyczne licho, które rzekomo dybało na moje równie hipotetyczne szczęście. Tyle że zanim zdążyłam zapłacić za przychylność losu, krąg cygańskich spódnic rozpierzchł się niespodziewanie, spłoszony widokiem patrolu straży miejskiej. Romki, mimo swych pstrokatych strojów, rozplynęły się w tłumie. Tymczasem ja zostałam z wizją przyszłości odmalowaną w jednym kolorze — czarnym.

Jednak w tamtym momencie odegnałam od siebie pesymistyczne myśli. Założyłam, że burzliwe rozstanie z Anielakiem wyczerpało mój limit pecha. Skupiłam się na pozytywnym wariacie cygańskiej wróżby. Tym bardziej że w moim życiu uczuciowym wydarzyło się coś, co mogło okazać się szansą na spełnienie tej opcji. W skrócie: przed moim sercem pojawiła się perspektywa — co prawda mglista, ale jednak nie do końca nierealna — utylłania się w miodzie.

* * *

RELACJA Z PRZYGOTOWAŃ SERCA DO MIODOWEJ KĄPIELI

Poniedziałek — rozgrzewka

— To on, na stówę! — wykrzyczała Kaśka, gdy w poniedziałek w nocy pokazałam jej DVD z filmem *To właśnie miłość*, jednocześnie wtajemniczając przyjaciółkę w swoje podejrzenia co do nadawcy przesyłki.

Okazało się, że Kaśka miała dowody zmieniające moje spekulacje w pewność.

— Szymon wypytywał mnie o ciebie, skąd się znamy i takie tam. Generalnie między słowami chlapnęłam, że wynajmujemy razem mieszkanie. W produkcji sprawdził mój adres i wysłał ci płytkę, proste! — Kaśka z emocji klasnęła w ręce, wywabiając moją mamę z czeluści mieszkania do kuchni, gdzie rozmawialiśmy.

Mama kontrolowała telefon, bo czekała na esemesa od Piotrka. Miał się zameldować jak tylko jego pociąg zatrzyma się na stacji Wrocław Główny. Wiedziałam od niej, że w ciągu dnia nie spotkała się z braciakiem, bo ten pilny studencik wcisnął jej ściemę, że chce wykorzystać swój pobyt w stolicy do odwiedzenia tutejszej politechniki. Chciał nabyć jakieś skrypty, ponoć nie do namierzenia na jego własnej uczelni. A że przy okazji zahaczył o jakieś niezwykle pasjonujące wykłady, to nijak nie było szansy na spacer z kochaną mamusią. Ledwo zdążył na pociąg do Wrocka.

— Dojechał bez przygód — oznajmiła.

Chyba do chińskiego baru pana Chana, skomentowałam w myślach.

Natomiast mama, uspokojona losem synalka, teraz była gotowa zatroszczyć się o córkę. A jako że niechący usłyszała, o czym rozmawialiśmy z Kaśką, to z tym większą ochotą przysiadła się, aby wzbogacić nasz dyskurs swoimi radami. O dziwo — w kwestii tego, jak powinnam zareagować na podarunek Szymona Korcza, mama i Kaśka miały to samo zdanie.

— Zadzwoń do niego i podziękuj.

Dalej było tylko gorzej — mój protest, że skoro się nie podpisał, to może chce pozostać anonimowy, skomentowały wspólnym:

— E tam, gadanie.

Kiedy zauważyłam, że nie mam telefonu aktora, odparły, że skoro on wypytywał o mnie Kaśkę, to ja mogę wykorzystać przyjaciółkę do tego samego. Po czym totalnie ignorując moje zdanie w tej sprawie, zdecydowały, że najlepiej będzie, jak Kaśka od razu wyśle mi wizytówkę z jego numerem.

Na tym ich sojusz się nie skończył. Przeszły do ustalenia, co powinnam powiedzieć Szymonowi Korczowi, kiedy już zadzwonię. Zgodnym chórem doszły do wniosku, że — abym podczas owej pogawędki wypadła naturalnie — najlepiej będzie przeciwzyć różne warianty dialogu.

— Halo, może ja się wypowiem? — bezskutecznie próbowałam zabrać głos we własnej sprawie.

Byłam bez szans. Zszokowana obserwowałam obie kobiety, które — dzięki mnie, a właściwie moim kosztem — znalazły wspólny język. Niczym najlepsze psiapsiółki debatowały, czy wypada, żebym od razu zaprosiła Szymona na kawę — za czym optowała Kaśka — czy też lepiej będzie — jak uważała mama — abym przez telefon tylko podziękowała za film, w ramach rewanżu zaś też wysłała mu na plan jakiś prezent. Najlepiej niezobowiązująco dowcipny.

— Pani Basiu, to absolutnie genialny pomysł! — Kaśka aż zapiszczała z zachwytu nad propozycją mojej mamy.

Byłam na nią wściekła, nie tylko za to. Liczyłam, że obgadamy moje bezrobocie i razem wymyślimy plan ratunkowy. Tymczasem moja przyjaciółka wołała się zwierzać matce, i to nie swojej! I ty, Brutusie, przeciwko mnie? chciałam wykrzyknąć jej w twarz, ale zamiast tego zdecydowałam się na radykalniejszy krok. W akcie sprzeciwu wyszłam z kuchni. Tyle że ani najlepsza przyjaciółka, ani rodzona matka niespecjalnie się tym przejęły.

— Tak, tak. Idź się połóż, córeńko. — Mama przytuliła mnie na dobranoc. — Czasem we śnie przychodzą najlepsze pomysły na wyjście z trudnej sytuacji.

Jasne, mamciu. Gdybym chciała w taki sposób rozwiązać wszystkie swoje problemy, nie obudziłabym się przez najbliższy miesiąc.

— Słodkich snów. — Kaśka puściła do mnie oko i powróciła do paplaniny z Bašką, swoją nową powierniczką.

Nawet Niuniek mnie olał, wybierając towarzystwo Madalińskiej z Gadalińską.

Leżąc na łóżku w pokoju Kaśki, słyszałam dobiegające z kuchni fragmenty rozmowy.

— A jak pani uważa, czy w erze gender jest okej, że pozwalam chłopakowi płacić za siebie?

No nie wierzę! Mnie Kaśka jakoś nie raczyła powiadomić, że Daniel stał się jej oficjalnym facetem!

Szczerze? Byłam coraz mocniej zirytowana tą nową przyjaźnią. Nagły wybuch chemii między nimi zachwiały naturalnym ekosystemem, w którym koleżanki córek nie kumpłowały się z ich mamami!

Założyłam na uszy słuchawki od mp3 — miałam nadzieję, że muzyka złagodzi mój zjeżony nastrój i wyciszy szczebiotanie kuchennych papużek nierozłączek. Na ukojenie nerwów wybrałam Boba — kołysząc się w rytmach *Sunshine Reggae*, mogłam w końcu, sama ze sobą, omówić aktualny stan własnych emocji w temacie: Szymon Korcz.

Na skutek Kaśko-maminy eskalacji uczuć, nie o wszystkim zdążyłam opowiedzieć przyjaciółce. Konkretnie — nie omówiliśmy jednego szczegółu, który naprowadził mnie na trop Szymona jako nadawcy przesyłki, zanim jeszcze uzyskałam od Kaśki twarde dowody potwierdzające tę tezę.

Stojąc z filmem *To właśnie miłość* w ręku, doznałam dziwnego uczucia, że już coś podobnego przeżyłam. W pierwszym odruchu uznałam to wrażenie za *déjà vu*. Jednak sekundę później załapałam, że taka scena rozegrała się w moim śnie. Tym samym, w którym pojawili się moja mama i Szymon Korcz — dopiero historia z paczką przypomniała mi ten senny obraz... Szymon Korcz stał na progu mojego mieszkania z filmem *To właśnie miłość* w ręku.

— I co ja mam o tym wszystkim myśleć? — spytałam bez nadziei na satysfakcjonującą odpowiedź.

Wczoraj sama sobie wytłumaczyłam, że śnię o Szymonie, bo za dużo o nim myślę. Ale teraz do tego wszystkiego doszedł spełniony w realu element senny w postaci jak najbardziej rzeczywistej płytki z filmem... uff... Nie miałam pojęcia, jak to wszystko ugryźć, poskładać, odczytać. Z mieszanki rozmaitych odczuć i wrażeń, jakie mną miotają, jedno przebijało się najmocniej. Dobiegało z okolic brzucha i nie miało nic wspólnego z trawieniem. Niestety.

Parę razy w życiu miałam podobne objawy — dlatego w mig zrozumiałam, co się dzieje. W moim układzie pokarmowym załęgły się owady, a w zasadzie cały rój, który dawał o sobie znać energicznym wibrowaniem skrzydełek.

— O nie... — zakryłam głowę poduszką.

Doskonale wiedziałam, że motyle w żołądku oznaczają jedno:

— Jezu, ja się naprawdę zakochałam...

* * *

Wtorek — do miodu, gotowi, hop!

Wstałam skoro świt, aby wymknąć się niepostrzeżenie, kiedy jeszcze cały dom kołysał się w oparach snu. Wolałam uniknąć rozmów o poranku, szczególnie z mamą. Nie chodziło nawet o Szymona, a właściwie nie tylko o niego. Drugim niebezpiecznym rewirem, w który w żadnym razie nie chciałam zabrnąć w trakcie konwersacji z rodzicielką, było moje bezrobocie. No i ciągle wisiała nade mną groźba ujawnienia ściemy Piotrka. Trzy tematy tabu do ogarnięcia — w tym momencie to było dla mnie o wiele za dużo. Miałam nadzieję, że zdołam prześlizgnąć się bez ich poruszania do piątku. Bo jak udało mi się wyciągnąć wczoraj od mamy, to wtedy kończyła szkolenie, a co za tym idzie, wracała do Kielc.

Mój plan cichej ewakuacji legł w gruzach: w łazience natknęłam się na Bartka. Akurat on był ostatnim spośród lokatorów, którego spodziewałabym się zobaczyć na nogach przed siódmą rano. Owszem, Kaśka wstawała nawet przed piątą, jeśli miała poranne zdjęcia — ale tego ranka spała jak zabita, bo dzisiaj miała wolne. Dzięki temu mogłam z nią zostawić Niuńka. Obiecała, że z nim wyjdzie rano i w południe. Ale wracając do Bartka — mało, że był całkiem przytomny, to jeszcze pachnący i ogolony. Na dodatek miał na sobie błękitną koszulę oraz — a to już był w jego przypadku ewenement — garnitur! Wyglądał na nie mniej zmieszanego moim widokiem niż ja jego.

— Co się dzieje? — przyparłam go do muru najbardziej świdrującym ze spojrzeń, jakie miałam w swoim repertuarze.

— Powiem ci, ale musisz dać słowo, że nie wypalasz Kaśce, bo nie chcę zapeszyć.

— Przyrzekłam, że będę milczeć jak ryba.

— Wiesz, to jeszcze nic pewnego — Bartek zaczął z pewną nieśmiałością. — Idę na rozmowę o pracę.

I zdradził, że odpowiedział na ogłoszenie ajenta stacji benzynowej w centrum miasta.

Poszukiwano pracownika do obsługi klientów. Bartek wysłał swoje CV wczoraj rano, a wieczorem dostał mejla, którego mi odczytał. Menadżer stacji paliw ma przyjemność powiadomić, że szanowny pan pozytywnie przeszedł pierwszy etap rekrutacji. Wobec powyższego zaprasza na spotkanie w celu zapoznania z zakresem obowiązków oraz omówienia warunków, na jakich miałby zostać zatrudniony.

— W sumie żadne halo — dokończył skromnie Bartek.

— Właśnie że mega! — Aż go uściskałam z radości.

Nie mógł mieć dla mnie lepszej wiadomości — to znaczy dla nas obojga. Ucieszyłam się jak jasna cholera! Z kilku powodów.

Po pierwsze:

— Bartek po czasie wielkiej smuty wziął się w garść. Jego stosunek do świata, w tym ogłoszeń o pracę, po wbiciu w ziemię — jak określał swój stan ducha — można by określić w skrócie: jestem na „nie”. Teraz odnalazł utracony zapał!

Po drugie:

— okazało się, że ulubione powiedzenie mojej mamy: „chcieć to móc”, którym kasowała zawsze: „nie da się”, jakim Piotrek i ja usiłowaliśmy tłumaczyć nasz brak życiowego zapału, działało. Dla mnie w tym momencie było to szczególnie ważne. W postaci kumpla miałam chodzący dowód na to, że jednak w Warszawie da się znaleźć sensowną robotę.

I w końcu po trzecie:

— chociaż być może wyjdę na infantylną idiotkę, to przeszło mi przez myśl, że pozytywna zmiana w życiu Bartka plus sukcesy uczuciowe Kaśki mogły być efektem... zakopania przez nas „sekretów” w parku.

Mimo że moi przyjaciele oficjalnie uważali tamtą akcję za dziecinadę, to jakoś do tej pory nie wypalali, jakie życzenia zapisali wtedy na swoich karteczkach. A to świadczyło o jednym: po cichu (zupełnie jak ja) liczyli, że a nuż się spełnią. I fakty były takie, że po miesiącu z hakiem od zakopania naszych marzeń pod szkiełkami zaczynałam dostrzegać forpocztę zmian na lepsze.

W każdym razie bardzo chciałam w to wierzyć.

* * *

Kiedy wychodziliśmy razem z domu, Bartek przyszpilił mnie pytaniem:

— Zośka, co cię tak rano wygania z chałupki? — Wbił we mnie zdziwione spojrzenie.

Problem w tym, że nie byłam pewna, co powinnam mu odpowiedzieć.

Miałam dylemat: czy okłamać przyjaciela — co po niedawnym wstawianiu kitu mamie robiło ze mnie seryjną kłamczuchę, czy powiedzieć mu prawdę w ramach przyjaźni szczerzej do bólu. Tylko że według mnie przyjaciel to ktoś, kto wie, kiedy minąć się z prawdą, żeby uchronić tego drugiego przed bólem właśnie.

Ja, Kaśka i Bartek mogliśmy przechodzić burzliwe okresy, krótsze i dłuższe kłótnie, a nawet ciche dni, ale kiedy przychodził moment pod tytułem „sprawdzam”, to mogliśmy na siebie liczyć. A jeśli komuś zdarzył się faul — tak jak mnie, wtedy gdy Bartek chciał wracać do Łomży — to reszta pomagała naprawić wtopę. Dlatego nadal byliśmy przyjaciółmi.

Stąd swoje wczesne zerwanie się z łóżka wytłumaczyłam zarządzonym przez Anielaka odpracowywaniem nieobecności w biurze w godzinach porannych. Posłużyłam się niewinnym, bądź co bądź, kłamstwem, bo zwyczajnie nie chciałam psuć Bartkowi dnia jego triumfu nad bezrobociem własną porażką w tej kwestii. Pożegnałam kumpla tradycyjnym kopem na szczęście, sama zaś ruszyłam rowerem w miasto. Miałam zamiar przytulić się do jakiejś kafejki, żeby przy średniej amercianie zrobić rekonesans ofert pracy. Zainspirowana przykładem Bartka, ruszałam do boju uzbrojona w silne przekonanie, że sama szybko pójdę w jego ślady i ponownie zasilię szeregi ludu pracującego stolicy.

* * *

— Cześć, nie przeszkadzam? — usłyszałam w słuchawce głos doktor Marty.

Telefon od niej odebrałam jakieś pół godziny przed burzliwym kontaktem z romskim

folklorem, za to parę chwil po wejściu do dawno przeze mnie nieodwiedzanej kafejki „MOŻE & MORZE” na głębokim Powiślu. Podczas studiów zaglądałam tu tak często, że byłam z całą załogą po imieniu. Zakuwałam do sesji, siedząc zapadnięta w poduchy na parapecie. Może chodziło o sprzyjającą aurę samego wnętrza? Dość powiedzieć, że wszystkie egzaminy, do których przygotowywałam się w kawiarnianym oknie, zdawałam, i to czasem nawet bardzo dobrze.

Tym razem przestąpiłam progi lokalu, aby sprawdzić, czy moje dawne przytulisko nie straciło dobroczynnego działania. Liczyłam, że jak niegdyś sprzyjało moim sukcesom naukowym, tak teraz przyniesie mi szczęście w poszukiwaniu pracy. Wystrój kafejki nie zmienił się nic a nic — na parapecie czekały na mnie znajome poduchy. Jedyne dziewczyna za barem była nowym narybkiem — nie kojarzyłam jej z moich czasów, a nie zaglądałam tu przez grubo ponad pół roku.

— Co dla ciebie? — zapytała nowa barmanka.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z zaplecza wyrzała burza blond loków i złożyła zamówienie za mnie:

— Średnia americana. Chyba że coś się zmieniło? — Oliwka była kelnerką ze starej ekipy, i to najsympatyczniejszą.

I nie uważałam tak dlatego, że ciągle mnie pamiętała — po prostu w czasie studiów nieraz miałam okazję przekonać się o życzliwości tej „zakręconej” dziewczyny (jak nazywano Oliwkę z powodu poskręcanej czupryny). Kiedy było u mnie krucho z kasą, załatwiła u swojej szefowej, że mogłam zamawiać w kafejce na krechę. Oddawałam dług, jak tylko udało mi się zasilić konto. Oliwka była chodzącą życzliwością, z wrodzoną przypadłością albo zaletą — wczuwania się w problemy innych.

Naprawdę się ucieszyłam, że ją widzę — tym bardziej że kiedy byłam tu ostatni raz, szefowa powiedziała mi, że Oliwka już tu nie pracuje. Dlatego i ja przestałam wpadać do „Móz”, jak w skrócie nazywaliśmy kafejkę. No a tutaj taka niespodzianka. Po rytualnym wyściskaniu przeszliśmy do ustalania, co słyszeć.

Oliwka postawiła przede mną kawę na koszt firmy.

— Zosia, pewnie jesteś zaganiana? Kariera, facet... zgadłam? — Ona zastygła w pytającym uśmiechu, ja pociągnęłam kawy z filiżanki, żeby zastanowić się, od czego zacząć: od braku życia zawodowego czy osobistego.

Oliwka była ode mnie starsza jakieś pięć lat. Pamiętałam, że też miała swoje plany. Uczyła się hiszpańskiego i odkładała kasę, żeby wyjechać na stałe do Barcelony. To było jej miejsce na ziemi — podczas naszej ostatniej rozmowy była na ostatniej prostej do wymarzonej przeprowadzki na Półwysep Iberyjski. Jej zniknięcie z „Móz” wytłumaczyłam sobie właśnie wyjazdem.

Ponieważ dzisiaj zastałam ją tutaj, wysnułam prosty wniosek, że z planów Oliwki, podobnie jak z moich, wyszły nici. Czułam, że jesteśmy w podobnej sytuacji — ani ona, ani ja przez ostatnie dwanaście miesięcy nie ruszyliśmy się z miejsca. Dlatego postanowiłam, że akurat przed Oliwką nie będę niczego udawać ani ubarwiać. No i przedstawiłam jej, czarno na białym, roczny bilans z braku sukcesów.

Gdy skończyłam, na twarzy Oliwki nie było śladu po uśmiechu — zamiast niego ujrzałam w jej oczach bezmiar współczucia.

— Każdy po czymś takim by się załamał. Musisz się trzymać — Oliwka robiła co mogła, żeby dodać mi otuchy. Tyle że jej nie wychodziło.

Ponieważ z natury była osobą ponadprzeciętnie emocjonalną, tak się wczuła w moją historię, że się rozplakała. Finalnie więc to ja uspokajałam ją, tłumacząc, że moja sytuacja nie jest

wcale taka najgorsza. Jednocześnie chciałam Oliwkę pozytywnie nastroić także w temacie jej przyszłości.

— Nie martw się, tobie też się wszystko ułoży, na pewno w końcu polecisz do Barcelony.
— Oliwka popatrzyła na mnie niepewnie, dziękując za dobre słowo. I w tym momencie do kafejki wtargnął ciemnowłosy desperado w typie Banderasa. Podszedł prosto do Oliwki.

— Hola, mi cariño — powiedział i pocałował ją namiętnie w usta.

Zrozumiałam, że Oliwce JUŻ się wie. I to doskonale. Jednak — jak mi opowiedziała chwilę później — zanim sprawy przybrały taki obrót, przez jej życie przeszło trzęsienie ziemi. Okradł ją chłopak, a konkretnie oczyścił do zera ich wspólne konto, na którym trzymała pieniądze na wymarzoną podróż do Barcelony, po czym ślad po nim zaginął. Kolo musiał być wyjątkowym ch...uliganem, bo oprócz gotówki zabrał też pierścionek zaręczynowy, który parę tygodni wcześniej sam jej kupił. Oliwka powiedziała „tak” i do Hiszpanii mieli lecieć jako para narzeczonych.

Przed wylotem miała już zaplanowany ślub w Barceloncie, tyle że niedoszły pan młody dał dyla z funduszami. Oliwka nie miała za co postawić stopy na wymarzonej hiszpańskiej ziemi.

— To był dla mnie koniec świata. Deprecha po pachy. Całymi dniami gapiłam się w sufit. I wtedy siostra kupiła jej bilet na koncert tancerzy flamenco z Madrytu.

— To była moja ukochana grupa, pierwszy raz przyjechali do Warszawy. Siostra wypchnęła mnie siłą z domu. — I tylko dzięki jej uporowi Oliwka nie przegapiła swojego przeznaczenia.

Na widowni miała miejsce obok Enrica. I tak się poznali. Nie dość, że gość okazał się rodowitym Hiszpanem, to jeszcze pochodził z... uwaga: Barcelony. Mało tego, zakochał się w Oliwce na zabój, i to od pierwszego wejrzenia. Żeby nie było tak różowo — ona nie była zainteresowana nową znajomością, ciągle lizła rany po trefnym chłopaku. Dlatego tamtego wieczoru koncertowo ignorowała sygnały wysyłane przez Hiszpana. Jednak Enrico był desperado z krwi i kości — nie odpuścił i wcisnął Oliwce swoją wizytówkę. Dzięki temu poznała imię i nazwisko adoratora oraz dowiedziała się, że pracuje w hiszpańskim przedstawicielstwie firmy budowlanej. Miała podstawy sądzić, że to poważny facet.

— Długo się zastanawiałam, czy zadzwonić i wtedy pomyślałam, że nie mam nic do stracenia. Większego rozczarowania od tego, jakie zaliczyłam, raczej nie doświadczę. — Po rozważeniu za i przeciw postanowiła zaryzykować. Finał był taki, że trzy miesiące później byli już małżeństwem. I to szczęśliwym, co właśnie obserwowałam, bo patrząc na siebie, mieli w oczach serduszka jak z disnejowskiej kreskówki.

A że Enrico oprócz Oliwki pokochał również Polskę, to zdecydowali się zostać w Warszawie. Prowadzą razem „MOŻE & MORZE”, którą wydzierżawili od byłej właścicielki.

— Jak na razie dajemy sobie radę. — Odpukałyśmy jednocześnie w niemalowany blat stołu, śmiejąc się z łączącej nasz naród słabości do przesądów.

Oliwka spytała, czy nie znam jakichś ludzi ze smykałką do gotowania, bo kompletowali nową obsadę do kuchni. Poza Bartkiem, który lubił kucharzyć (ale jak zaznaczał — wyłącznie od czasu do czasu i tylko dla przyjemności), nie miałam znajomków z talentami kulinarnymi. Obiecałam, że jak się na kogoś takiego natknę, to przyślę go do „MÓŻ”.

— Wpadaj do nas jak najczęściej, codziennie od siedemnastej mamy tapasy. — Enrico zza baru cmoknął w palce, żeby podkreślić, jak są pyszne.

Epilogiem love story Oliwki było to, że teraz latała do Barcy, kiedy tylko miała na to ochotę — czyli mniej więcej raz na miesiąc.

— Można powiedzieć, że najpierw Barcelona przyleciała do mnie — dziewczyna zakończyła swoją relację, przy wtórze czułych spojrzeń wymienianych z krzątającym się za

barem Enrikiem.

— Rany Julek, romans, że nic dodać, nic ująć — podsumowałam oszołomiona splotem szczęśliwych okoliczności, które przytrafiły się w końcu komuś, kogo znałam. — Oliwka, dlaczego od razu się nie pochwaliłaś?

Oliwka nieśmiało wytłumaczyła, że nie chciała wyjść przede mną na pannę paplającą o swoim idealnym życiu po tym, jak zwierzyłam się jej z własnych niepowodzeń. Mimo kolosalnych zawirowań, jakie przetoczyły się przez życie Oliwki, jedno się nie zmieniło: nadal pozostała bardzo sympatyczną dziewczyną. Podziękowałam jej za dawkę optymizmu. Nic tak nie przywraca wiary w życiowe happy endy, jak historii takie jak jej. Na koniec sprzedała mi motto, które sobie wymyśliła, wychodząc z traumy po przejściach z trefnym narzeczonym:

— Nic nie muszę, wszystko mogę — powtórzyłam za Oliwką.

I właśnie wtedy zadzwoniła do mnie Marta. Najpierw upewniła się, że nie przeszkadza, a potem zapytała:

— Masz wolną chwilkę jakoś teraz?

Kiedy potwierdziłam, zaproponowała mi spotkanie, o jakim nawet nie śniłam.

Wróć! Prawda była taka, że właśnie o takim mitingu od dawna snułam marzenia na jawie i we śnie — tyle że już straciłam wiarę w ich spełnienie. Aż tu nagle, najzupełniej niespodziewanie, stałam przed perspektywą poznania mężczyzny z moich marzeń. Konkretnie — faceta, dzięki któremu mogłam je spełnić. Szczęśliwy przypadek lub też zbieg okoliczności sprawił, że okazał się nim nie kto inny jak mąż mojej nowej znajomej.

* * *

Życie jednak bywa fabryką snów, niczym Hollywood. Nakręcona historią Oliwki, zaczęłam widzieć w technikolorze także własną egzystencję. Gnana tą wizją, pędziłam rowerem na spotkanie z panem Kotowskim, mężem Marty, który, jak w tamtym momencie nieśmiało przewidywałam, mógł okazać się dla mnie szczęśliwym numerkiem, podobnie jak Enrico stał się wygraną w Bingo dla Oliwki.

— Cyganka prawdę ci powie... — W takich to okolicznościach dałam się zwabić Romce, co na dwoje wróżyła, przepowiadając mi i szczęście, i nieszczęście.

Nie byłam pewna, czy to moc jej guseł, czy zwyczajny pech — fakty były takie, że już chwilę później mój optymistyczny nastrój przeszedł do historii.

— Jaki świat jest mały, a nawet cholernie ciasny! — powiedziałam do siebie z wściekłością, czy może bardziej goryczą, gdy zobaczyłam, kto jest mężem doktor Marty.

Poznałam go po charakterystycznych włosach, do ramion, zanim się jeszcze odwrócił w moim kierunku — przez sekundy, które dzieliły mnie od spotkania z nim twarzą twarzą, modliłam się, żeby nie miał tak dobrej pamięci jak ja. Niestety Jarek Darski — przy okazji domyśliłam się, że Marta nosi panięńskie nazwisko — w ciągu czterdziestu paru lat swojego życia nie przesadzał z masłem i błyskawicznie skojarzył moją postać z dziewczyną, którą poznał odmęty czasu wstecz.

— To ty jesteś tą Zosią od mojej żony? — powiedział zamiast „dzień dobry”.

Stałam wbita w podłogę małej, nowo otwartej poradni „PSYCHE”, nie wierząc własnym oczom. Za nic bym nie przypuszczała, że mąż Marty, z którym mnie umówiła powodowana dobrymi intencjami, okaże się tym samym psychoterapeutą, od którego usłyszałam słowa, o jakich chciałam zapomnieć. Ale nie umiałam, bo wracały do mnie jak bumerang. Słowa prześladowające mnie w snach, z których się budziłam zrana potem.

— Zosia, nie nadajesz się do tego zawodu... — usłyszałam od Jarka Darskiego, kiedy jako wolontariuszka, tuż po studiach, trafiłam do ośrodka pomocy uzależnionym, w którym on pracował jako terapeuta.

Teraz nieubłagalnie tamto zdanie powróciło do mnie z taką siłą, że nie byłam pewna, czy zostało przywołane tylko przez moje myśli, czy też Jarek Darski naprawdę wypowiedział je znowu — tu. Miałam wrażenie, że echo roznosi je po korytarzach poradni.

W tej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno — rzuciłam się do ucieczki.

Wybiegając z niedużego budynku, w którym, jak powiedziała mi przez telefon Marta, jej mąż niedawno otworzył własną poradnię i właśnie poszukiwał psychologa do swojego zespołu, zdążyłam się jeszcze odwrócić. Jarek Darski stał w drzwiach, w tym momencie obserwując moją nerwową szarpaninę z blokadą od roweru. W życiu nie czułam się taka mała jak w tym momencie.

* * *

Przed zbyt małym światem schowałam się w mieszkaniu pana Tobiasza. Jednak Kuba nie dał mi zapomnieć o tym, co mnie tu przygnało.

— Faj-tła-pa — powtarzał jak nakręcony.

Nie pierwszy raz tak mnie powitał — jednak dzisiaj zabrzmiało to inaczej niż zwykle.

— Faj-tła-pa... zachowałeś się po gówniarsku.

— Faj-tła-pa... twoja ewakuacja z poradni była megasłaba.

— Faj-tła-pa... czas przestać się łudzić.

Gwarek niestety miał rację. Prawda była taka, że wyszłam na gnojka przed trójką osób, na opinii których z różnych powodów mi zależało:

a) Martą — chciała mi pomóc, a ja nie miałam nawet jaj, żeby do niej zadzwonić i wyjaśnić sytuację. Nie dziwiłabym się, gdyby po tym, co się stało, lekarka wykasowała mój numer z telefonu, a mnie z pamięci;

b) mężem Marty — miałam szansę wyrównać z nim dawne rachunki, ale zamiast tego uciekłam;

c) samą sobą — zawiodłam siebie, i to bolało najbardziej.

Jarek Darski mógł poczuć satysfakcję. Drugi raz wyszłam przed nim na tchórza. Gorzej — pokazałam, że miał co do mnie rację.

Nasza pierwsza rozmowa, która odbyła się jakiś rok temu, nie zapowiadała całej tej katastrofy — zadzwoniłam do ośrodka uzależnień z pytaniem, czy nie poszukują psychologa.

— Przykro mi, nie mamy wolnych etatów — miły psychoterapeuta, z którym zostałam połączona, zgasił moje nadzieje.

— A może szukacie wolontariuszy? — zapytałam zdesperowana, dodając, że jestem świeżą absolwentką psychologii.

Ku swojej radości zostałam zaproszona na spotkanie do ośrodka.

— Poznamy się i zobaczymy, czy da się coś wymyślić — zaproponował mój rozmówca, pytając, kiedy mogę wpaść.

Tym sposobem już następnego dnia zapukałam do jego gabinetu.

— Pan Jarosław Darski?

— Po prostu Jarek, tu mówimy sobie po imieniu. — Terapeuta na żywo był równie sympatyczny jak przez telefon.

Poczęstował mnie herbatą i poprosił, żebyśmy opowiedziały o sobie.

Powiedziałam, że chcę zostać psychoterapeutką, że jestem w trakcie szukania pracy,

dzięki której opłacę czteroletni kurs i że chciałabym zdobyć doświadczenie jako wolontariuszka.

Jarek zrewanżował się garścią informacji na swój temat. Był psychologiem i psychoterapeutą z dziesięcioletnim doświadczeniem. Prowadził zarówno terapie indywidualne, jak i grupowe. W ośrodku zajmował się osobami wychodzącymi z uzależnienia od narkotyków.

— Na początek mogę ci zaproponować uczestnictwo w mojej terapii jako obserwator. Spotykamy się dwa razy w tygodniu. — Zapytał, czy mi to odpowiada.

— Byłoby super! — W końcu ktoś wyciągnął do mnie pomocną dłoń.

Do tej pory wszędzie, gdzie się zgłaszałam, napotykałam niechęć starszego koleżeństwa z branży do dzielenia się swoją wiedzą. Tak jakby się obawiali, że wprowadzając mnie do zawodu, szykują sobie potencjalną konkurencję. A może po prostu nie chcieli im się brać na głowę niedoświadczonej siksy?

— Jeszcze nie ma za co — Jarek przerwał moje podziękowania, tłumacząc, że on sam nie może zdecydować o wprowadzeniu mnie do grupy, reszta też musi się na to zgodzić. — Dzisiaj się spotykamy. Zostaw mi swój numer, tak czy nie przekręcę z informacją — obiecał.

Resztę dnia spędziłam ze wzrokiem wbitym w komórkę — wraz z upływającymi godzinami oswajałam się z myślą, że psychoterapeuta zbył mnie, posługując się klasyczną techniką spławiania: „Ty do nas nie dzwoń, to my skontaktujemy się z tobą”. Aż tu nagle...

— Grupa jest na tak — Darski jednak dotrzymał słowa.

I tak zaczęłam pojawiać się w ośrodku, dwa razy w tygodniu. Siadałam w niedużej sali, w której Jarek prowadził terapię. Każda z pięciu uczestniczących w niej osób była po przejściach, przy których wszystko, co ja do tej pory przeżyłam, wydawało mi się zaledwie wprawką do prawdziwego życia. Nie miałam tym ludziom nic sensownego do powiedzenia. Dlatego, mimo że Jarek zachęcał mnie do zabierania głosu, siedziałam cicho. Aż do pewnego wtorku.

Tego dnia Andrzej, najstarszy z grupy, przyciśnięty do muru przez Jarka przyznał, że znowu ćpa. Od miesiąca nie był czysty, okłamywał grupę — teraz, płacząc, wszystkich za to przeproszał. Jarek mu przerwał i kazał się wynosić. Kiedy Andrzej błagał go o jeszcze jedną szansę, wyprosił go. Nie mogłam się pogodzić z taką reakcją terapeuty. Wszyscy znaleźmy historię Andrzeja. Miał czterdzieści trzy lata. Dwa lata temu, w drodze na wakacje, zasnął za kierownicą. Zabił żonę i dwoje dzieci. I wybuchnęłam — przy grupie skrytykowałam Jarka, nazywając jego metody nieludzkimi.

— Nie rozumiesz, że w jego przypadku narkotyki są środkiem przeciwbólowym na życie? — zaatakowałam terapeutę.

— Tak jak dla każdego z nas! Dlatego tu jesteśmy! — niespodziewanie dla mnie, w obronie Jarka stanęła pozostała czwórka.

Ale mnie szczególnie mocno zabolowały słowa Grażyny. Oprócz mnie była jedyną kobietą w grupie. Miałam wrażenie, że przez trzy tygodnie nawiązała się między nami nic porozumienia.

Często wracałyśmy razem, bo po drodze był jej przystanek. Niby rozmawiałyśmy o sprawach typu pitu-pitu, ale między słowami dowiedziałam się, że Grażyna każdy dzień spędza według tego samego schematu zaplanowanego co do minuty: bieganie, prysznic, praca, lunch, joga itp., itd. Zrozumiałam, że to, co dla mnie i większości mijających nas osób było szarą, codzienną rutyną, przed którą każdy starał się uciec, dla Grażyny było łańcuchem bezpieczeństwa. Trzymała się go kurczowo, żeby w swojej wspinaczce przez życie znowu nie zbroczyć na szlak w kształcie kreski usypanej z amfy.

I teraz właśnie Grażyna uderzyła we mnie najmocniej.

— My chcemy wyjść z tego bagna. Ty jesteś za miękka, prędzej dasz się sama wciągnąć, niż kogoś uratujesz. Wiem, bo cię trochę poznałam. — Zamurowało mnie. Nie byłam przygotowana na taki atak.

Jarek się nie wtrącał, odczekał, aż emocje opadną. Spokojnie dokończył sesję. Podszedł do mnie, dopiero kiedy wszyscy wyszli, i zapytał, jak się po tym wszystkim czuję. I wtedy zadałam mu pytanie:

— Zgadzasz się z Grażyną?

— Zosia, nie nadajesz się do tego zawodu... — Jarek Darski zawiesił głos.

Nie czekałam na ciąg dalszy, odwróciłam się i bez słowa odeszłam korytarzem.

Słyszałam jeszcze, jak za mną woła:

— ...nie umiesz panować nad swoimi emocjami!

Musiałam przyspieszyć kroku, żeby ani on, ani nikt inny nie widział, jak płaczę.

Z mistrzowskim wyczuciem uderzył w mój czuły punkt.

Nigdy więcej nie pojawiłam się w ośrodku. Tyle że najgorsze było to, że przed tym, co mi powiedział terapeuta, nie dało się uciec. Wątpliwość — co, jeśli Darski miał rację? — była powodem, dla którego do tej pory nie zapisałam się na kurs psychoterapii. Wolałam oszukiwać samą siebie ciągłymi wymówkami, niż zmierzyć się z problemem.

— Faj-tła-pa — tak gwarek podsumował moją opowieść.

Kiedy byłam bliska całkowitego załamania, zza szyby regału pana Tobiasza uśmiechnęło się do mnie szczęście — w postaci urządzonego tam barku. Na jego asortyment składały się trzy butelki: Advocaata, jakiegoś czerwonego wina oraz metaxy. Ostatni trunek był jedynym napoczętym w tym towarzystwie.

Ogólna sytuacja życiowa, w jakiej się znajdowałam, popchnęła mnie do nadużycia gościnności gospodarza. Bez pytania uraczyłam się greckim napojem. Kubie natomiast dolałam świeżej wody.

— Twoje zdrowie, Kuba! — Hop, zrobiliśmy po łyku z naszych poidełek. — Masz dla mnie jakąś radę, mądrało?

— Kasz-ta-ny. — Cóż, widocznie pan Tobiasz często szukał recepty na kłopoty w towarzystwie Marii Koterbskiej.

Nastawiłam płytę. Wyraźniej niż kiedykolwiek dotarło do mnie przesłanie tej pieśni — był to protestsong, skierowany do życia za zawiedzione nadzieje.

Hop — łyczek za marzenia i poczułam się w obowiązku, aby w imieniu swoim oraz gospodarza mieszkania wyśpiewać wraz z Marią Koterbską pretensje do świata. Otwarte okno poniosło mój wokal poza cztery ściany. Na odzew pierwszej fanki nie trzeba było długo czekać.

— Ucisz się, wyjcu jeden! Dziecko dopiero co uśpiłam! — Ton jej reakcji zdradził, że miałam do czynienia z osobą głuchą na krzyk zboląlej duszy.

To mnie popchnęło do poszukania wsparcia u jakiejś życzliwej osoby. Zadzwoiłam do przyjaciółki, tyle że jak się okazało — zupełnie nie w porę, gdyż Kaśka akurat mknęła za miasto sportowym porsche swojego nowego chłopaka. Nie miała jak rozmawiać, bo jedną ręką gmerała w GPS-ie w celu namierzenia najkrótszej trasy nad Zalew Zegrzyński, a drugą ogarniała Niuńka. Poczulałam złość na przyjaciółkę — kiedy ja zmagalam się z demonami, ona bawiła się na całego.

— Wzięłaś psa nad rzekę? — przerwałam wesoły szczebiot Kaśki. — Jesteś nieodpowiedzialna!

— Chyba trochę przesadzasz... — rzuciła, jednocześnie chichocząc do słuchawki z czegoś, co powiedział do niej szofer Daniel.

Czyżby śmiali się ze mnie? Poirytowana taką opcją, musiałam znaleźć odpowiednią szpilę, by ostatecznie przekuć szampański nastrój przyjaciółki.

— Niuniek nie ma kapoka! — wypaliłam.

— Marzenka zrobiła czereśniówkę? — Kaśka idealnie wyczuła mój stan i tym wkurzyła mnie już maksymalnie.

Marzenka słynęła z robienia mistrzowskich nalewek. Faktycznie, teraz wypadał sezon na czereśnie w procentach i zapewne Marzenka przyniosłaby do biura po kropelce na spróbowanie, po której potem być może pod wpływem mocy owocowego napitku mogłabym prowadzić z Kaśką rozmowy telefoniczne mniej lub bardziej zrównoważone, wskazujące na spożycie. Przyznaję — czasami takie ekscesy miały miejsce. Tyle że to już należało do przeszłości. Teraz ktoś inny miał się raczyć specjami Marzenki.

Gdyby wczoraj Kaśka wykazała choć trochę zainteresowania mną, a nie moją mamą, miałaby szansę się dowiedzieć, że jej przyjaciółka nie stanowi już siły roboczej w biurze Anielaka! Ale nie wyglądało na to, żeby miała jakiegokolwiek wyrzuty sumienia po tym, jak mnie wieczorem zignorowała.

Z tego, co właśnie usłyszałam, miała irytująco dobry dzień. A na dodatek nazwała mnie alkoholiczką, i to w obecności Daniela. Nie miałam zamiaru dać się obrazić.

— Miłego — rzuciłam tonem niepozostawiającym wątpliwości co do tego, czego tak naprawdę życzyłam Kaśce i jej kierowcy, po czym z pełną ostentacją się rozłączyłam.

Hop — pocieszyłam się którymś z kolei łyżkiem. Którym? Nie wiem, w tej chwili nie miałam głowy do algebry. Za to nabrałam ochoty, aby ponownie dać upust swoim smutkom przy wtórce *Kasztanów*. Tym razem jednak postanowiłam przychylić się do prośby z widowni i zamiast odśpiewania utworu pełną piersią, zamierzałam go zanucić.

Kucnęłam przy adapterze, by ustawić igłę na coraz bardziej ulubionej piosence i nagle stanęłam twarzą w twarz z Marią Koterbską. Nie, nie zobaczyłam jej we własnej osobie. Do tego stopnia nigdy nie urządziłabym się nie swoim alkoholem. Artystka spoglądała na mnie ze zdjęcia wirującego na winylowej płycie i zaswingowała na melodię refrenu:

— Kochana, kochana, ogarnij się. Nie bądź fajtłapa...

Po tak mocnym przekazie pozostało mi tylko jedno: ogarnąć się. Hop — podlałam zapal alkoholorową ambrozją:

— Złocistą niczym rydwan Heliosa — zauważyłam, mrużąc oczy przed słońcem odbijającym się w kieliszku.

Owe malownicze porównania zawdzięczałam natchnieniu mojej nowej koleżanki metaxy. Zauważyłam, że eliksir wywołuje również inne pożądane efekty. Na przykład z każdym kolejnym „hop” wzrastała moja motywacja do wzięcia się z życiem za bary.

— Rozmówię się z Jarkiem Darskim! — wykrzyknęłam w stronę Marii Koterbskiej, ciągle uśmiechającej się do mnie z winyłu.

Hop na odwagę i byłam gotowa stanąć oko w oko z psychoterapeutą. I to dzisiaj, zaraz, teraz. Jeszcze tylko ostatni toast:

— Za wszystkie kasztany świata! — Hop!

Pani Maria przytaknęła z aprobatą z fotki, teraz obracającej się w rytm karuzeli na Bielanach, i zanim się spostrzegłam, ja sama, a wraz ze mną całe mieszkanie, zawirowaliśmy razem z nią.

Fruuu — opadłam na fotel, który zmienił się w krzeselko karuzeli łańcuchowej i nagle poszybowałam wraz z nim pod sufit, po czym opadłam na podłogę. Fryyyyyy — znowu uniosłam się w górę, machając do Kuby, który obserwował mnie z przechylnym łepkiem. Gwarek nawet nie zdawał sobie sprawy, że kręci się razem ze mną.

— Zapnij pasy! — krzyknęłam do pierzastego, żeby nie spadł z karuzeli.

— Faj-tła-pa! — odkrzyknął mi ptaszek.

I chyba jakoś wtedy musiała zadzwonić moja komórka — tak przypuszczam, bo obraz gwarka był ostatnim świadomym wspomnieniem z tego popołudnia.

Gdy morze czasu później doszło do rekonstrukcji zdarzeń, za nic nie mogłam uwierzyć, że w ogóle brałam w nich udział oraz że nikt inny, tylko ja sama doprowadziłam do makabrycznej kulminacji, jaką zakończył się ten feralny wtorek.

I co najbardziej zaskakujące — Cyganka okazała się autentyczną ekspertką w dziedzinie przewidywania losu. Niestety z dwóch jej wizji ta z kąpielą mojego serca w słodczy przesłodkiej jak miód się nie sprawdziła. Za to dało o sobie znać wywrózone przez Romkę złe licho.

W skrócie: we wtorkowy wieczór zawisło nade mną jak najbardziej realne widmo oglądania świata przez więzienne kraty. Do końca moich dni.

Rozdział

SIÓDMY

— Cholera, gdzie ja jestem?... — z takimi słowami na ustach powróciłam do świata żywych. Komu choć raz nie urwał się film na skutek zatracenia się w degustacji procentów, niech wyceluje we mnie moralniakiem. Śmiem twierdzić, że większość współziomków nie zakwalifikowałaby się do roli pierwszego sprawiedliwego. Włącznie ze mną.

Tak czy inaczej — osoby zaliczające się do tegoż, nomen omen, procenta zrozumieją stan mojego ducha, ciała, a przede wszystkim głowy na skutek szoku wywołanego zderzeniem z rzeczywistością. Było to przeżycie niezwykle bolesne. Przede wszystkim chodziło o to, że to, co zobaczyłam po otwarciu — najpierw jednego, potem drugiego oka — nie było tym, czego się spodziewałam. Zamiast znajomych ścian mieszkania pana Tobiasza ujrzałam wnętrze, które było dla mnie jak tabula rasa. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się znalazłam na skórzanej kanapie, pod milutkim kocem. Ani ten mebel, ani gigantyczna plazma vis-à-vis nie wywołały żadnych wspomnień. Zresztą mgliście kojarzyłam nawet własne imię i nazwisko.

— Halo, przepraszam... — zachrypiałam niemrawo w nadziei na jakiś życzliwy odzew.

Odpowiedziała mi głucha cisza. Zrozumiałam, że w miejscu, w którym się znajdowałam, oprócz mnie nie było nikogo. Z trudem doprowadziłam się do pozycji siedzącej. Rozejrzałam się dookoła i oniemiałam — tam gdzie powinna znajdować się ściana, nie było ani skrawka cegły czy muru. Zamiast tego ujrzałam gołe okno — gigantyczna szklana tafla ciągnęła się przez szerokość pokoju, od sufitu do podłogi.

Mało tego — całą szybę zaklejono fototapetą przedstawiającą miasto z lotu ptaka.

— Ja cię — wyszeptalam, gdy na moich oczach zdjęcie nagle ożyło.

Na skutek nieco spowolnionych procesów myślowych dopiero po chwili znalazłam wytłumaczenie dla tego zjawiska. Raz w życiu patrzyłam na taką Warszawę — gdy tuż po przyjeździe z Kielc do Warszawy zrobiliśmy sobie z Kaśką wypad windą na ostatnie piętro Pałacu Kultury. Ten widok był niby „kopiuj-wklej”, identyczny — tyle że wtedy widziałam miasto w dzień. Teraz stolica mieniła się kolorami nocy. I jak każdej kobiecie, także Wawie błyskotki dodawały blasku. Oszołomienie zniewalająco pięknym obliczem, jakim stolica czarowała mnie zza szyby, stłumiło mój instynkt samozachowawczy. Całe szczęście tylko na chwilę.

— Jestem w mega wypasionym apartamencie. — Zaczęłam składać do kupy fragmenty rzeczywistości, w jakiej nieoczekiwanie się znalazłam.

Mimo kolosalnego napięcia szarych komórek nie mogłam znaleźć odpowiedzi na trzy zasadnicze pytania:

— Co robiłam przez kilka czy też kilkanaście godzin wstecz?

— Do kogo należy lokum z pocztówkowym widokiem?

— Dlaczego obudziłam się na nie swojej kanapie?

Krwistoczerwonej — w tym momencie kolor sofy wydał mi się piekielnie złowieszczy. Nagle uświadomiłam sobie, że ja już byłam w tym mieszkaniu. To znaczy nie dosłownie tym samym. Tyle że za oknem tamtego przeszklonego lokum rozpościerała się panorama innego

miasta, a właściwie dzielnicy. Konkretnie był to apartament z widokiem na Manhattan.

Dla jasności: nigdy osobiście nie gościłam w Nowym Jorku. Za to często wpadałam tam z wizytą za pośrednictwem telewizji.

Mieszkając pod jednym dachem z Bartkiem oraz Kaśką, byłam skazana na notoryczne oglądanie programów w stylu „Z akt FBI” czy „Seryjni mordercy wszech czasów”. Jeśli szukaliśmy czegoś w tv, a akurat leciało coś w deseń „crime docu” — moi współlokatorzy zgodnie, jak w żadnej innej kwestii, głosowali za przełączeniem właśnie na ten kanał. A tak się składało, że lwia część zbrodni, na które ja trafiałam, rozgrywała się w City of New York.

Jeden z odcinków przedstawiał nowojorskiego psychopatę. Facet wynajmował ekskluzywny apartament, do którego, pod pretekstem castingu do reklamy, zwabiał panienki napalone na karierę w modelingu. Żadna z nich nie wyszła stamtąd na własnych nogach.

Niepokojąco podobne okoliczności, w jakich sama właśnie tkwiłam, sprawiły, że poczułam strach. W tym momencie w całej sytuacji orientowałam się raczej mało, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że powinnam wiać. Przestało mnie nagle ciekawić, kim jest właściciel mieszkania z prywatną panoramą warszawską oraz jakim cudem się w nim znalazłam. Teraz interesowało mnie wyłącznie to, żeby moja historia nie stała się kanwą filmu o „polisz sajko z Łorsof”.

Muszę się stąd wydostać, zanim on wróci. Nie zważając na błagania mojego organizmu: — Nie wstawaj, to niebezpieczne — podniosłam się z kanapy i zaraz pożałowałam, że zrobiłam to tak gwałtownie. Energiczne ruchy w połączeniu z kacem gigantem okazały się mieszanką wybuchową. Dopadłam do łazienki i w tym momencie usłyszałam, że ktoś wszedł do mieszkania. Z emocji opuściła mnie potrzeba haftowania (i nie mówię tu o wyszywaniu ścięciem richelieu). Wstrzymałam oddech i z bijącym sercem wsłuchiwałam się w odgłosy z przedpokoju. Wyraźnie słyszałam ciężkie kroki na posadzce. Po sposobie chodzenia poznałam, że w apartamencie jest mężczyzna. Stanęłam w uchylonych drzwiach i zobaczyłam na podłodze podłużny cień. Najpierw wyłoniła się głowa, potem tułów, aż wtem na kafelkach pojawił się cień ręki trzymającej podłużny przedmiot, zakończony ostrym szpikulcem.

— On ma nóż!

Przeżalenie pchnęło mnie do błyskawicznego działania. Chwyciłam z półki (znajdującej się przy nieprzyzwoicie dużej wannie z jacuzzi) plastikową butlę z solą do kąpieli i stanęłam za drzwiami. Kiedy mężczyzna pojawił się w prześwicie, z całej siły uderzyłam go w tył głowy. Afekt, w jakim byłam, nadał mojemu ciosowi taką moc, że nożownik runął jak długi na terakotę w lawinie kryształków soli wysypujących się z nadwerezzonego opakowania.

— Ałaaaa...! — zdążył zawołać, nim upadł, i wtedy zobaczyłam jego twarz.

— O Boże — wyszeptałam przerażona. — Zabiłam Szymona Korcza...

* * *

Po tym wszystkim jedno było pewne — moje szaleństwo w oparach metaxy nadawało się na pogadankę dla małałatów z cyklu „Alkohol szkodzi zdrowiu”. Mogłabym objeżdżać z nią gimnazja oraz licea w całym kraju, a może nawet i na całym kontynencie. Tak czy inaczej dla mnie samej to, co przeżyłam, było przykładem złośliwości losu. Bo jak inaczej zinterpretować fakt, że ofiarą mojej niepoczytalności padła akurat osoba, przed którą za nic na świecie nie chciałam wyjść na idiotkę? Opcji, że mogę zostać zabójczynią Szymona Korcza, nie brałam pod uwagę nawet w najgorszych koszmarach.

Na swoim sumieniu miałam także spustoszenia w jego psyche — w toku dochodzenia do prawdy o wtorkowych zajściach wyszło na jaw, że aktor był naocznym świadkiem całego

łańcucha wtop, jakie zaliczyłam od chwili popłynięcia z nurtem greckiej ognistej wody. Narażenie osoby trzeźwej na obcowanie z kompletnie zawianą jest — samo w sobie — ciężkim przewinieniem. Jak ciężkim, wie każdy, kto choć raz zaliczył imprezę, na której pili wszyscy poza nim. Gdy potem znajomkowie opowiadają o super dzampie, ów ma przed oczami co najwyżej rozwrzeszczanych Hunów rechoczących z byle żenującego suchara.

I właśnie taką masakrę, tyle że w moim solowym wykonaniu, zobaczył Szymon Korcz, gdy z zerową zawartością promili przekroczył próg domostwa pana Tobiasza... Zaraz po tym, jak go tam zwabiłam. Okolicznością łagodzącą był fakt, że nie doszłoby do tego wszystkiego, z krwawym epilogiem włącznie, gdyby aktor nie wpadł na pomysł, żeby wydzwaniać do mnie akurat wtedy, gdy wirowałam na nieistniejących karuzelach wraz z gwarkiem i miss metaxą. Tyle że Szymon Korcz wybrał mój numer, ja odebrałam pechowy telefon i wszystko skończyło się tragiczną konfrontacją w jego przedpokoju.

Lecz zanim stałam się posiadaczką wiedzy na temat czasu przeszłego, musiałam zmierzyć się z terażniejszością. Aktualnie była nią komplikacja w postaci aktora leżącego u moich stóp, w kałuży krwi, na zimnej podłodze swojego apartamentu.

* * *

— Proszę, otwórz oczy — wypowiedziałam błagalnie, nachylając się nad Szymonem.

Nie było żadnej reakcji — przyłożyłam głowę do jego koszulki, ale sama z nerwów sapałam tak głośno, że zagłuszałam hipotetyczne bicie jego serca. Klatka piersiowa aktora nie poruszała się w sposób charakterystyczny dla kogoś, kto oddycha. Usiłowałam przypomnieć sobie szkolenie z pierwszej pomocy, ale od drugiej liceum upłynęło trochę czasu...

— Szymon, nie wiem, gdzie jest moja komórka — mówiąc do aktora, zaczęłam przeszukiwać jego ubranie. — Jak nie znajdziemy twojej, będzie z tobą kiepsko.

Zaczęłam od bocznych kieszeni kurtki — w prawej wymacałam telefon. Uff. Kiedy włożyłam rękę, by go wyjąć, poczułam, że Szymon drgnął, wydając z siebie dziwny odgłos. W normalnych okolicznościach wzięłabym to za stłumiony śmiech, jednak w tej sytuacji pierwsze, co przyszło mi na myśl, to to, że moja ofiara może mieć śmiertelne drgawki.

— Musisz wytrzymać, zaraz przyjedzie pogotowie — ponowiłam próbę wyjęcia telefonu z kieszeni mojej ofiary. I w tym momencie objaw powtórzył się ze zdwojoną siłą.

Spojrzałam na Szymona — ciągle miał nieruchomą twarz i zamknięte oczy, ale ja zrozumiałam, że szukanie ratunku pod sto dwanaście nie ma już sensu. Wobec takich oznak medycyna była bezradna. Rozpoznałam jego stan.

— Beznadziejny...

Dla pewności co do trafności własnej diagnozy, ponownie zanurzyłam rękę w kieszeni jego kurtki — i wtedy nastąpiło coś, o czym marzy każdy pracownik służby zdrowia: cud. Chory ozdrowiał.

— Jesteś beznadziejny... — wycedziłam, patrząc na Szymona wijącego się na skutek cierpienia, które mu właśnie zadawałam.

— Załaskoczesz mnie na śmierć! — Szymon Korcz czytał w moich myślach.

Ale mnie nie było do śmiechu. Zdezorientowana poderwałam się na równe nogi i pokazałam na kałużę czerwonej cieczy wypływającej spod jego ciała.

— Ty naprawdę krwawisz! — wykrzyknęłam, a niedoszły nieboszczyk wybuchnął śmiechem, tym razem nie wywołanym gilgotkami.

— Hahaha! — ryknął, po czym podniósł się z podłogi.

Zobaczyłam sok pomidorowy wyciekający ze zgniecionego kartonu, na którym leżał

niedoszły nieboszczyk. Usłyszałam od niego, że oglądanie mnie w roli zabójcy było bezcennym przeżyciem i dawno nikt nie rozbawił aktorka tak jak ja.

— Ha... ha... ha... — bawił się w najlepsze.

Byłam zirytowana, i to nie na żarty. Może i cała ta sytuacja obiektywnie była arcyśmieszna, tyle że ja nie oceniałam tego marnego przedstawienia z pozycji neutralnego widza. Zostałam w nim obsadzona wbrew swojej wiedzy, do tego w roli głupa. Teraz nie zamierzałam patrzeć, jak reżyser tej żenady bawi się moim kosztem. Chciałam jak najszybciej wyjść z jego mieszkania. Już miałam zapytać, gdzie jest moja torba, gdy mój wzrok natknął się na lustro wiszące w przedpokoju.

Kiedy zobaczyłam własne odbicie, doznałam szoku przez duże „SZ”. Owego przerażenia nie wywołał widok własnej fizys — chociaż mógł, gdyż aktualny image odbiegał od wersji glamour. W skrócie — nie prezentowałam się wyjściowo. Jednak gromem z jasnego nieba, który we mnie trafił, była garderoba. Dokładniej — koszulka, a jeszcze dokładniej — nie moja koszulka. Od momentu przebudzenia się na krwistoczerwonej kanapie tyle się wydarzyło, że nie zwróciłam uwagi na taki drobiazg, jak to, że mam na sobie T-shirt nieznanego pochodzenia.

GORZEJ — ów fakt pociągał za sobą następne, w tym i ten, że koszulka z logo SUPERMANA mogła się na mnie znaleźć tylko w jeden sposób: ktoś mnie w nią ubrał. Ale zanim to zrobił, musiał mnie wcześniej rozebrać. Podejrzany był tylko jeden — spojrzałam na Szymona Korcza. Poczułam nagły głód wiedzy na temat zdarzeń ze swojej najbliższej przeszłości.

— Postaw się w mojej sytuacji — wił się w tłumaczeniach. — Specjalnie dla ciebie pędzę do nocnego, wracam z sokiem i świeżutką bagietką, a tu takie powitanie! — W jego oczach ponownie zamigotały rozchichotane chochliki. — Dowiem się przynajmniej, czym ci tak śmiertelnie podpadłem?

Wzięłam cię za oprawcę kobiet, a bułę za narzędzie zbrodni — powinnam była powiedzieć, bo taka była prawda, ale nie zamierzałam się do końca zbłaźnić przed aktorzyną. W tej chwili miałam jeden cel: ustalić, jak to się stało, że zostałam odziana we wdzianko Supermana.

— A ja się dowiem, co to jest?! — Pokazałam na koszulkę. — I w ogóle może mi powiesz, co ja tu robię?!

Szymon dłuższą chwilę skanował mnie swoim spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

— Zosia, ty niczego nie pamiętasz?

Stałam przed wyborem:

1) iść w zaparte, że doskonale się orientuję w tym co zaszło, i ratować resztkę reputacji przed ostatecznym zszarganiem,

czy też:

2) z otwartą przyłbicą potwierdzić amnezję, co było równoznaczne z przyznaniem się wobec Szymona do upojenia alkoholem, aż po kompromitujące zaćmienie.

Tyle że tak naprawdę nie miałam wyboru. Zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Precyzyjniej — wszystkie. Musiałam się dowiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło. Niewiadomą pozostawała jeszcze inna kwestia. Nie miałam pewności, jaka będzie cena informatora za wtajemniczenie mnie w szczegóły minionych zdarzeń. Bo tego, że Szymon swoją przewagę wykorzysta do zgrywania się ze mną po raz kolejny, byłam więcej niż pewna.

Ale akurat w tej kwestii spotkało mnie rozczarowanie, do tego bardzo miłe.

Podczas gdy ja biłam się z myślami, Szymon zajął się parzeniem kawy i ot tak zaczął

opowiadać o wydarzeniach, które mąciły mój spokój. Wszystko rozegrał tak, jakby to jemu zależało na zrelacjonowaniu tego, co zaszło, a nie na odwrót.

Podczas swojego sprawozdania ani razu nie zakpił z mojej alkoholowej niedyspozycji. Wręcz przeciwnie — miałam wrażenie, że celowo łagodzi ostrość przekazu, jak gdyby chciał mi oszczędzić wstydu, którego i tak się najadłam, mimo pudrowania przez niego rzeczywistości. W dodatku — może pod wpływem pąsowej barwy mojego lica — zapewniał mnie, że to, co odstawiłam, nie miało nic wspólnego z żenadą w pijackiej malignie. W jego ujęciu byłam jedynie fantastycznie spontaniczna. Ale gdy na dokładkę usłyszałam, że dawno nie spędził czasu w tak inspirującym towarzystwie — nabrałam podejrzeń. Albo aktor na co dzień zadawał się z menelską recydywą, przy której ja, na procentach, mogłam faktycznie uchodzić za intrygującą muzę, albo ściemniał. I to drugie wydało mi się bardziej realne.

Odpowiedź przyszła wraz z dobrnięciem przez Szymona do kresu sprawozdania z wtorku, który w międzyczasie przeszedł w stan spoczynku, zmieniając się z „dzisiaj” na „wczoraj”. A na Grande Finale tego wieczoru, który i bez tego byłby dla mnie niezapomniany, Szymon Korcz znokautował mnie, używając Bartkowej poetyki, puentą „na Gołotę”.

* * *

PRZEPIS NA WIECZÓR NIE DO ZAPOMNIENIA © ZOFIA M. (NA MOTYWACH
RELACJI SZYMONA K.)

Wskazania: dla uzyskania pożądanego efektu zalecane jest zszarganie reputacji.

Przeciwwskazania: stosowanie przez osoby nieletnie powoduje trwałe uszczerbki na wynikach w nauce.

Składniki potrzebne do zorganizowania Wieczoru Nie Do Zapomnienia, w skrócie
WNDZ:

- 1) desperatka/desperat gotowa/gotowy na wszystko
- +
- 2) napoje alkoholowe w Nielimitowanej ilości
- +
- 3) świadek naszej pomroczości jasnej — najlepiej daleki znajomy, im dalszy, tym lepiej
(nic nie wywołuje takich wyrzutów sumienia i rys na wizerunku jak żenada w obecności kogoś obcego)

=

perfekcyjny Wieczór Nie Do Zapomnienia

Jako prezentacja modelowego przebiegu WNDZ posłużą moje osobiste przeżycia.

Slajd pierwszy — mieszkanie pana Tobiasza

Założę się, że nawet słabo obeznany z regułami sztuki hazardzista nie obstawiłby zakładu z opcją, że aktor, którego prawie nie znałam, przejawia chęć ucięcia sobie ze mną pogawędki w chwili, gdy właśnie rozprawiłam się z wcale niemałą flaszką metaxy. Jako że aktor jednak wybrał sobie najgorszy moment z możliwych, to przebieg dalszych wypadków będzie pochodził z jego relacji. A to z tej prostej przyczyny, że kiedy on próbował skontaktować się ze mną za pomocą komórki, ja się rozłączyłam z rzeczywistością.

Szymon zadzwonił do mnie, bo, jak mi wyjaśnił, dał mu do myślenia mój gwałtowny protest na planie parę dni wcześniej. Konkretnie — zarzut, że odgrywana przez niego postać seksoholika jest do bólu niewiarygodna. Ponieważ jest profesjonalistą i traktuje swoją pracę poważnie, zależało mu, aby jego bohater był z krwi i kości. Dlatego poprosił o spotkanie w celu,

jak to ujął, indywidualnych konsultacji.

Aż się bałam zapytać, czy przyjął jego propozycję — miałam powody, żeby podejrzewać, że metaxa niezbyt dobrze wpływa na zdolność podejmowania właściwych decyzji. Okazało się wszakże, że... odmówiłam.

— Dlaczego? — on zapytał mnie wtedy, a ja jego teraz.

Udzieliłam następującej odpowiedzi:

— Nie mogę być konsultantem, bo jestem kosmitką i nie nadaję się na psychologa.

Oświadczyłam ponadto, że aby dawać rady innym, najpierw muszę zrobić porządek we własnym, emocjonalnym kosmosie. Wow — takiej torpedy się po sobie nie spodziewałam!

Całe szczęście Szymon taktownie nie drażył tematu mojej „kosmiczkiej” osobowości. Szczerze — musiałam przyznać, że nie doceniłam metaxy. Podczas owej rozmowy telefonicznej wykazałam się doskonałym rozeznaniem we własnej sytuacji. Nigdy dotąd tak trafnie nie ujęłam sedna swoich problemów.

Gdyby na tym się skończyła moja konwersacja z Szymonem, miałabym pewnego rodzaju satysfakcję. Może i wyszłam na kosmitkę, ale przynajmniej nie na łatwą. W końcu propozycja sam na sam ze znanym celebrytą, i to w roli gwiazdorskiego eksperta, niejedną pannę ścięłaby z nóg. A ja tę ofertę odrzuciłam. Fakt, że wcześniej ścięło mnie coś innego.

W każdym razie nastąpił ciąg dalszy mojej rozmowy z aktorem — zapytałam Szymona, czy ma samochód i wolną chwilę. Kiedy potwierdził, poszłam za ciosem i poprosiłam, żeby mnie gdzieś podrzucił, bo mam niesłychanie pilną sprawę do załatwienia.

Szymon zgodził się mi pomóc — niestety.

Slajd drugi — przed kamienicą pana Tobiasza

Jakieś dwadzieścia minut później Szymon Korcz zaparkował na chodniku. Zarówno wtedy, jak i przez telefon nie robiłam wrażenia osoby na dopingu — jak mój szofer łagodnie określił zalanie w 3D. W miarę w porzo prezentowałam się ponoć na siedząco. Dopiero kiedy wstałam, przypominałam marynarza świeżo po zejściu z pokładu statku — Szymon ponownie wykazał się delikatnością w opisie klasycznego zawiania.

Natomiast w wersji „kawa na ławę” byłam tak skuta, że zataczałam się prawy do lewego i z powrotem. Kiedy z pomocą Szymona zapakowałam się do samochodu, sprecyzowałam, gdzie pragnę być zawieziona:

— Muszę przeprowadzić rozmowę na śmierć i życie z Jarkiem Darskim.

Szymon nie był pewny, czy dobrze zapamiętał imię i nazwisko gościa — ja nie miałam żadnych wątpliwości, że tak. I znowu aktor błysnął taktem, nie dopytując, kim jest facet, do którego tak mnie ciągnęło.

Slajd trzeci — samochód Szymona

No i ruszyliśmy — Szymon zagał mnie o adres, pod jaki ma jechać.

— To jest gdzieś w centrum...

Kiedy świadek mojego upadku zauważył, że z powodu zbyt szerokiego kwadratu poszukiwań może nam się nie udać zlokalizować właściwego miejsca, próbowałam podać namiary bardziej precyzyjnie. Bez skutku. Ale taki drobiazg nie był w stanie zawrócić mnie z raz obranej drogi.

— Szymek, wyluzuj poślady. — Nadmiar alko zawsze wywoływał u mnie skłonność do łamania konwenansów w kontaktach interpersonalnych. — Zadzwoń do jego żony, ona nas pokieruje.

Informacja, że mogłam wykonać kompromitujący telefon do Marty, była gwoździem do

trumny.

— Szymon, powiedz, że tego nie zrobiłam...

— Nie zdążyłaś...

To, co wykonałam w zamian, było równie upokarzające.

Slajd czwarty — ulica Marszałkowska

W skrócie — oznajmiłam Szymonowi, że jest mi niedobrze, żądając, aby natychmiast się zatrzymał. Spełnił moje życzenie — zatrzymał samochód na środku jezdni. Wtedy ja otworzyłam drzwi i...

Żeby posłużyć się sformułowaniem Szymona: dzięki mnie w środku miejskiej dżungli, na jednej z głównych arterii, pojawił się niespodziewanie... paw.

Towarzysz mojej niedoli uśmiechnął się do mnie pocieszająco, niczym dobry samarytanin.

— Zosia, nic wielkiego się nie stało. Każdy zaliczył taki epizod.

— Masakra... — jedynie tyle zdołałam wydusić.

Dobra wiadomość: tuż po odbębnieniu powszechnego — jak dobroduszenie usiłował mi wmówić Szymon — epizodu, zasnęłam na tylnym siedzeniu jego samochodu.

Niestety był też i zły wieść — Szymon zdecydował, że ze względu na mój słabszy moment najlepiej będzie, jak pojedziemy do niego.

Slajd piąty — apartament Szymona

Szymon nie mógł zrozumieć, dlaczego uważam, że decyzja o przywiezieniu mnie do jego apartamentu była najgorsza ze wszystkich możliwych.

— Co w tym złego?

— Wszystko...

1) Sposób, w jaki się znalazłam w jego mieszkaniu? — Otóż nie weszłam tu sama, tylko zostałam wniesiona przez Szymona. Tachał pannę, która chwilę wcześniej zaliczyła „epizod jak każdy”. Pocieszające było to, że Szymon miał w samochodzie mokre chusteczki do zmywania resztek charakteryzacji, które tym razem przydały się do zmycia czegoś innego.

Tak czy inaczej — w stanie, w jakim się wtedy znajdowałam, bliski kontakt z kimkolwiek, a już szczególnie z Szymonem Korczem, był tym, czego za wszelką cenę wołałabym uniknąć.

Poza tym... ostatnio byłam do przodu o jakiś kilogram czy dwa. Jeśli już miałabym zostać gdziekolwiek wniesiona, to chciałabym o tym wiedzieć odpowiednio wcześniej, żeby mieć szansę pozbycia się zbędnego balastu.

2) Sprawa koszulki. Skoro miałam ją na sobie, to znaczyło, że Szymon nie tylko widział mnie z pawiem na ustach, ale jeszcze na golasa. Nie chodzi o to, że mam purytańskie zasady — zwyczajnie wołałabym kontrolować sytuację, w której rozbiera mnie facet.

— Zosia, ja ci tylko dałem T-shirt, przebrałaś się sama!

Na potwierdzenie swojej wersji Szymon pokazał mi w kącie łazienki moją własną bluzkę moczającą się... w garnku?

— Nie mam miski. Chciałem ci dać proszek, ale powiedziałaś, że rzeczy z lnu pierzesz w szamponie, bo tak cię nauczyła babcia.

Po zacytowaniu mądrości przekazywanej w mojej rodzinie przez kobiety kobietom od pokoleń wiedziałam jedno: w kwestii koszulki Szymon Korcz mówił prawdę. A skoro już byliśmy w łazience, zapytałam, czy może przypadkiem nie ma gościnnej szczoteczki do zębów. Bartek zawsze miał zapasową, w razie gdyby jedna z jego koleżanek nie zdążyła na ostatni

autobus. Szymon okazał się równie zapobiegliwy — nie byłam pewna, czy w przypadku tego konkretnego środka higieny traktować to jako zaletę, czy wadę. Tak czy inaczej kiedy ja oddałam się szczotkowaniu, on kontynuował swoją relację.

Przebranie się w koszulkę Szymona było ostatnią rzeczą, na jaką miałam siłę — chwilę potem zmógł mnie sen i zaległam na znanej mi kanapie. Tymczasem Szymon zadzwonił do Kaśki i powiedział, że jestem u niego.

— Nie wdawałem się w żadne szczegóły. Po prostu nie chciałem, żeby się o ciebie martwili. Mam nadzieję, że nie jesteś o to zła?

Nie byłam zła, tylko zdezorientowana — coraz więcej faktów przemawiało za tym, że Szymon Korcz nie był aroganckim lolo, tylko ciepłym i opiekuńczym wrażliwcem.

— Pomyślałem, że jak się obudzisz, to będziesz głodna, no i wyskoczyłem do sklepu, a ty się w tym czasie obudziłaś. Dalszy ciąg już znasz...

Dziękuję za uwagę — to był ostatni slajd. Prezentacja dobiegła końca.

* * *

Szymon i ja dopijaliśmy kawę, siedząc na diabolicznie czerwonej kanapie. Finalnie mój WNDZ nie jawił mi się już w najczarniejszych z barw. Nawet dostrzegałam w nim komediowe momenty. Wiedziałam, że była to zasługa Szymona, który niczym montypythonowski Brian umiał odkręcić każdą moją wtopę na pozytywną stronę. Było mi głupio, że ja nie wykazałam podobnego luzu, kiedy doszło do naszej kolizji w przedpokoju. W ramach rewanzu wymyśliłam dla tej scenki tytuł: „KRWISTA RZEŹ, GŁUP I TRUP”. Może nie błysnęłam intelektem, ale jakkolwiek by patrzeć, miałam za sobą ciężkie przeżycia. Moja twórczość wywołała w nas taką głupawkę, że ze śmiechu osunęliśmy się ze śliskiej sofa na podłogę.

I właśnie wtedy Szymon dokonał podsumowania, jakiego się po nim nie spodziewałam.

— Wiesz, co jest najgorsze?

Spojrzałam na niego niepewnie. Czyżbym miała na sumieniu jeszcze jakąś wtopę, tylko znacznie gorszą od pozostałych? Takie wyjaśnienie tłumaczyło, dlaczego powiernik mojej niedoli zwlekał do ostatniej chwili, żeby mi o niej powiedzieć.

— Co jest najgorsze?

— Bez ciebie, kosmitko, moje wieczory będą strasznie nudne...

Szymon spojrzał mi w oczy. Nie zobaczyłam w nich ani ironii, ani chochlików — zgrywusów. Za to błysk, jaki dostrzegłam, był równocześnie peszący i pociągający — tak bardzo, że dla własnego bezpieczeństwa musiałam przeciąć niebezpiecznie gęstniejącą atmosferę.

— Dzięki za przesyłkę z filmem.

— Skąd wiesz, że to ode mnie?

— Przyśniłeś mi się z identycznym DVD... — Taka odpowiedź miała paść wyłącznie w moich myślach.

Niestety wypowiedziałam ją na głos i teraz marzyłam tylko o tym, żeby zapaść się pod ziemię. Ale że panele w salonie Szymona za nic nie chciały się rozstąpić — usiłowałam obrócić wszystko w żart. W końcu Szymon miał poczucie humoru — liczyłam, że kupi wersję, jakoby anegdota o śnie była moim rewanzem za jego kawał w anturazie soku pomidorowego.

Gdy ja nerwowym śmichem-chichem próbowałam uwiarygodnić zabawną historyjkę, on siedział z nieodgadnioną miną, bez cienia uśmiechu. Byłam przekonana, że właśnie zaliczyłam wtopę ostatecznie masakrującą ten — i tak wystarczająco pechowy — wtorek.

Lecz nagle Szymon zrobił coś, co diametralnie zmieniło mój ogląd sytuacji — pocałował

mnie, a ja... nie zaprotestowałam.

Szczerze? Jedyne, o czym marzyłam w tamtym momencie, to: „chwilo, trwaj wiecznie!”. Nie bez zadowolenia skonstatowałam, że kontakt usta–usta z Szymonem był niezwykle miłym doznaniem. Poczułam, jakby moje serce zanurzało się w czymś ciepłym i słodkim jak... miód.

I wtedy zrozumiałam, że jeśli zaraz nie opuszczę apartamentu Szymona Korcza, sprawy nabiorą pędu, którego już nie zatrzymam. Nie chodziło o to, że miałam jakieś opory przed tym, co jeszcze mogło się wydarzyć. Musiałam wyjść właśnie dlatego, że takowych nie posiadałam...
I zostałam.

* * *

Wracając do domu ulicami Warszawy, zawieszonymi między nocą a dniem, wcale a wcale nie żałowałam, że wyszłam od Szymona, gdy latarnie przestały oświetlać miasto, a neony reklam jeszcze nie zaczęły. Stolica otulona poranną szarówką oferowała idealne wyciszenie po kalejdoskopie zdarzeń i emocji, jakimi mieniły się wczorajszy dzień, wieczór, a także noc.

Spojrzałam na szofera, który sprawił, że w komorze sercowej miałam aktualnie ocean miodu do kąpieli dla swojego cordis. Może to tandetnie pensjonarskie, ale bardzo chciałam, żeby ta nasza jazda samochodem była początkiem podróży, która swój koniec będzie miała w przyszłości, oddalonej od teraz długimi latami wspólnego życia. Szymon, jakby czytając w moich myślach, położył swoją ręką na mojej dłoni. Jego dotyk sprawił, że nie tylko ten świt, ale też miniona noc były jednym wielkim pławieniem się w basenie słodyczy.

Niestety — podjechaliśmy pod mój blok i nadszedł czas, żeby wyjść na brzeg. Całe szczęście Szymon nie pozwolił, aby stało się to zbyt szybko — całowaliśmy się przy wtórce ćwirgolenia rannych wróbelków. Nagle Szymon przysunął usta do mojego ucha i usłyszałam dziwną szeptankę:

— Eibotweismelachokaz... kosmitko — ostatni wyraz był jedynym, jaki zrozumiałam.

Stojąc pod klatką, patrzyłam, jak jeep aktora oddala się ulicą. Próbowałam znaleźć wytłumaczenie dla kombinacji przypadków i okoliczności, które ostatecznie zbiegły się w apartamencie Szymona, splatając jego los z moim.

Cyganka, na którą trafiłam rano, była reinkarnacją dobrej wróżki od Kopciuszka, a cała reszta jest konsekwencją tego spotkania! — doznałam olśnienia. Minusem tej odważnej tezy było to, że stała ona w sprzeczności z zasadami logiki oraz zdrowego rozsądku. Tyle że nie wszystko w życiu da się wytłumaczyć mocą rozumu — czasem do ogarnięcia rzeczywistości niezbędny jest myślowy freestyle. A że ja, wchodząc o świcie do bloku, byłam w bajkowym nastroju, to czarodziejsko-magiczna teoria leżała mi idealnie — niczym pantofelek na stópce Cinderelli.

Czekając na windę, powiedziałam na głos słowną zbitkę, którą w moim uchu zostawił Szymon. Początkowo myślałam, że szeleszcząco-sycząca magma nic nie znaczy. Jednak po kilkukrotnym powtórzeniu fonicznego hieroglify skojarzyłam, że kiedy po raz pierwszy spotkałam Szymona w jego camperze, recytował wiersz w identycznie brzmiącym języku.

— „Eibotweismelachokaz” — wpisałam w komórkę, mając nadzieję, że wyszukiwarka dopasuje tajemnicze słowo do jakiegoś języka. Niestety „bystryfon” nie odnalazł podanej frazy w odmętach Internetu. Nie skojarzył jej z niczym, nawet gdy podpowiedziałam mu, z jakiego języka może pochodzić tak zakręcone słowo.

* * *

— Dawaj przytulaka — usłyszałam od mamy na dzień dobry. Zawsze w ten sposób budziła mnie i Piotrka. Spojrzałam na zegarek, było po siódmej.

— Mamo, strasznie wczesnie zaczynasz to swoje szkolenie.

— Ty za to bardzo późno wróciłaś do domu — mimo że starałam się zachowywać cicho, musiała słyszeć, jak wchodziłam.

Mama nachyliła się, żeby mnie cmoknąć w czoło i z jej niedomkniętej torby wysunęła się gazeta z wytłuszczonym nagłówkiem: „PRACA — OFERTY”. Kilka ogłoszeń było zakreślonych długopisem. Uprzedzając pytanie, którego wcale nie chciałam zadać (w tamtym momencie bujałam myślami w obłokach), mama rzuciła, że znalazła to pisemko na siedzeniu w metrze. Wzięła je, bo nie miała nic innego do czytania.

— Zośka, wieczorem zarezerwuj chwilę dla matki, poplotkujemy sobie. — Puściła do mnie oko i się rozbiegłyśmy. Mama na szkolenie, a ja do kuchni, z której zawołała mnie Kaśka.

— Ale doszło do czegoś?

— Można tak powiedzieć...

— Enigmo jedna, przestań nadawać do mnie szyfrem! Jasny przekaz poproszę! Zdarzyło się coś czy nie?

— Zdarzyło i było bardzo miło...

— Jak bardzo? W skali od jednego do dziesięciu?

— Jedenaście...

Nie trzeba było być cygańską wróżką, żeby przewidzieć, że Kaśka nie odpuści mi dziś maglowania. Faktycznie — mój wtorek obrodził w hity, ale Kaśka też miała o czym opowiadać. Tak więc po omówieniu moich dokonań teraz to ja przepytywałam ją.

— Było cudownie!

Kaśka — opisując gorączkę swojej wtorkowej nocy — wstawiała ten okrzyk w miejsce pozostałych znaków interpunkcyjnych, czyli na jedno zdanie przypadają co najmniej dwa zapewnienia o cudownościach, jakich doznała. Lecz to nie dlatego wiedziałam, że to, co przeżyła moja przyjaciółka, było czymś naprawdę wyjątkowym. Kaśka promieniała szczęściem, aż biło po oczach — że posłużyć się sformułowaniem, którym chwilę wcześniej ona opisała mnie. Obie tego ranka miałyśmy powody do szczęścia — Kaśka, podobnie jak ja, też miała udaną noc. Uprawiali z Danielem tę samą dyscyplinę, która pochłonęła mnie i Szymona.

— Kaśka, zakochałaś się — zawyrokowałam.

— Tak jak ty — odpowiedziała przyjaciółka.

Jeśli znasz się z kimś od pierwszej klasy podstawówki, tak jak my, to wystarczy jeden rzut oka i wszystko jest jasne. A gdy twój przyjaciel jest w siódmym niebie, ty cieszysz się razem z nim. W naszym wypadku radość była podwójna, bo obie tam trafiłyśmy. Wypiszczaliśmy ją całemu światu. Nasz przekaz dotarł do Bartka, który wyczłapał ze swojego pokoju. Z jego miny wynikało, że nasze szczęście nie było zaraźliwe.

— Odbiło wam?

— To właśnie miłość! — krzyknęłyśmy ubawione naszą ripostą.

— Nuda, wolę czysty seks.

— To idź odpal sobie kompa i wróć, jak dorośniesz.

— Zgłoście się na didżejów do radia... — wbiłam się w Kaśkowo-Bartkową wymianę, żeby nie dopuścić do rozlewu kawy, którą mieli w kubkach. — „Jatka o poranku” w waszym wykonaniu to murowany hicior.

Zamilkli, po czym Kaśka — ostentacyjnie odwracając się od Bartka — powróciła do relacji ze swojej wczorajszej randki.

Umówiła się z Danielem na Starówce. Między słowami wspomniała mu, że nigdy nie jechała dorożką — chwilę potem Daniel naprawił to niedopatrzenie. Wynajął brykę na pół nocy — przejechali Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem i zaparkowali dopiero pod topowym hotelem na placu Trzech Krzyży. Z okazji czwartego dnia ich znajomości — jak się okazało czwórka to szczęśliwa liczba Daniela — architekt wynajął dla nich penthouse. Kiedy do niego weszli...

— Poczulałam się jak w kwaciarni, bukiet na bukiecie, a łóżko było całe w płatkach róż — Kaśka odmalowywała romantyczną aurę, jaką wyczarował dla niej Daniel.

— Złapałaś się na taką szmirę? Dziewczyno, praca w telenoweli totalnie spacyła ci gust.

Nie muszę dodawać, że Kaśka nie pozostawiła Bartka bez odpowiedzi. Szczerze? Czasem miałam wrażenie, że ta dwójka nie umiałaby bez siebie żyć — tak byli uzależnieni od wzajemnego skakania sobie do gardeł. Tym razem nie zamierzałam im psuć ulubionej zabawy. Miałam napięty plan zajęć i wyszłam z domu, żeby go zrealizować.

* * *

W drodze na przystanek — jako że holender został przed kamienicą pana Tobiasza, musiałam poruszać się komunikacją miejską — czytałam listę spraw do załatwienia, którą zrobiła dla mnie Kaśka.

Bo zanim przy drugiej porannej kawie zajęłyśmy się w kuchni omawianiem naszych historii miłosnych, to wcześniej, przy pierwszej „szatance”, przegadałyśmy moją sytuację zawodową. Według Kaśki były trzy sprawy, które powinnam załatwić, żeby z wolną głową zająć się szukaniem nowej pracy. Spisała mi je w punktach na kartce wyrwanej z notatnika przypiętego na magnes do naszej lodówki.

DLA ZOŚKI — DO OGARNIĘCIA NA CITO

— ANIELAK

Przez burzliwe rozstanie nie wzięłam z biura karier świadectwo w rodzaju świadectwo pracy itp. Zdaniem Kaśki ich brak osłabiał moje notowania na rynku pracy.

— DOKTOR MARTA

W tym wypadku Kaśka potwierdziła to, co sama wiedziałam: musiałam pogadać z lekarką — bo jeśli zacznę jej unikać, wyjdę na wyjątkową wiśnię.

— JAREK DARSKI

Według Kaśki ponowne pojawienie się psychoterapeuty w moim życiu nie było dopustem bożym, ale darem losu — miałam szansę wyczyścić sytuację, która ciążyła mi od roku.

NIECH MOC BĘDZIE Z TOBĄ — przesłanie od przyjaciółki kończyło spis.

O ile z dwoma pierwszymi punktami nie miałam kłopotów, to trzeci wzbudzał moje wątpliwości. Usiłowałam przekonać Kaśkę, że lepiej będzie, jeśli rozmowę z Darskim przełożę na później. Muszę mieć czas, żeby mentalnie przygotować się do tej konfrontacji — a miesiąc w tę czy w tę nie zrobi różnicy. W odpowiedzi na moje argumenty Kaśka wypaliła z pytaniem, po którym zbaraniałam:

— Zośka, pamiętasz, co mi dałaś na siódme urodziny?

Rany — jasne, że nie. Podobnie jak nie pamiętałam większości prezentów, które sama dostawałam. I wtedy Kaśka wyskoczyła z rymówką:

— Idź śmiało przez życie i miej byczką minę, łap szczęście za ogon i duś jak cytrynę!

No i sobie przypominałam.

Kaśka była wagą z drugiego września — więc jej urodziny wypadały tuż po rozpoczęciu roku szkolnego. Kiedy stuknęło jej siedem lat, nasze drogi skrzyżowały się właśnie w podstawówce numer sto siedem, gdzie jako pierwszaki zasiadłyśmy w jednej szkolnej ławce, by rozpocząć proces edukacji.

Impreza urodzinowa Kaśki była pierwszą, na którą zostałam zaproszona. Dlatego bardzo przeżywałam kupowanie prezentu. Poszłyśmy z mamą do sklepu z zabawkami — ja chciałam wybrać jakiś gadżet dla Barbie, ale mamunia, ku mej rozpaczy, wybrała zupełnie inny podarunek. Coś, co wydało mi się wtedy najmniej fajowskim prezentem w kosmosie: pamiętnik.

Mama pomogła mi też wymyślić, co do niego wpisać — był to wierszyk, który Kaśka teraz wyrecytowała. Jako że w owym czasie byłam na bakier z ortografią, to napisałam „idź” przez „ć”, a „duś” zmasakrowałam „ó” z kreską. Co prawda ukryłyśmy to z mamą pod warstwą korektora, ale, niestety, od tego momentu musiałam po szkole pisać dyktanda.

Okej, ja miałam powód, żeby do końca życia zapamiętać częstochowską rymowankę, ale dlaczego kojarzyła ją Kaśka?

— Jak miałam doła w stylu „nic mi nie wychodzi, nikt mnie nie kocha, ogólnie jestem beznadziejna”, czytałam sobie twój wpis i power z miejsca wracał.

Pierwszy raz mi o tym powiedziała — tak samo jak nigdy wcześniej nie wspominała, że pamiętnik ode mnie był najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostała.

Bez marudzenia przystąpiłam do ogarniania punktów z Kaśkowej listy, włącznie z Darskim. Przyjaciółka bezbłędnie wyczuła, że do rozmowy z psychoterapeutą potrzebowałam mocy. Tyle że w moim przypadku to nie wierszyk był źródłem pozytywnej energii — tę zawdzięczałam pewnej Kaśce z pierwszej „c”...

W autobusie, który wiózł mnie do Anielaka, przysiadła się do mnie dziewczyna ze słuchawką od komórki w uchu. Wiedziałam, co mnie czeka — takich gadżetów używają nałogowi paplacze. Nie pomyliłam się. Dziewczyna nie dała nawet na sekundę wychnąć swojemu aparatowi mowy — nawijała bez wytchnienia. Cała w skowronkach, szczebiotała z kolejnym nieszczęśnikiem ze swojej listy kontaktów, że wczoraj był najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

— Arutek mi się oświadczył! Poryczałam się jak głupia, aż mi się zrobiły pandy z tuszu pod oczami! Arutek dostał tchórza, że chcę mu dać kosza. Przestał się bulwersować, jak mu powiedziałam: „hanej, ja ryczę ze szczęścia!”

Po tym wprowadzeniu świeżo upieczona naręczona przeszła do opisu (z detalami) swojego pierścionka zaręczynowego — dbając przy tym, żeby nikomu z autobusu nie umknął fakt, że tkwi on na jej palcu.

Szczerze? Zazdrościłam tej dziewczynie — na kuli ziemskiej żyją trzy miliardy ludzi. W samej Warszawie jest jakieś trzy miliony narodu. Prawdopodobieństwo, że w takim tłumie znajdzie się swoją połówkę, jawi się jako opcja beznadziejnie nieprawdopodobna. A jednak niektórym się to udaje...

Mówi się, że kobiety mają siódmy zmysł — mój czujnik dał o sobie znać właśnie w autobusie. Nagle poczułam dziwne migotanie w żołądku — motyle, które zadomowiły się już na dobre w moim brzuchu, zatrzepotały nerwowo skrzydełkami, jakby chciały mnie ostrzec przed zbliżającym się zagrożeniem. Zaraz miało się okazać, że niskopodłogowa komunikacja miejska wiezie mnie na przystanek „Rozczarowanie”.

Kiedy wysiadłam z pojazdu, czujniki alarmowe zawyły na całego. Na przystanku natknęłam się na człowieka, który zaanektował moje serce — tyle że nie był sam. Szymon Korcz tulił do siebie w tym momencie atrakcyjną brunetkę, śmiejąc mi się prosto w twarz...

Rozdział

ÓSMY

Moja relacja z Szymonem Korczem dzieliła się na dwa etapy. Pierwszy, znacznie dłuższy, można nazwać jednostronną znajomością ze szklanego ekranu. Z tego, co przyuważyłam w kolorowej prasie, to w kwestii parcia na szkło plasował się w awangardzie członków celebryckiej grupy zawodowej. Większość z nich z zapalem uprawiała mizdrzenie się do każdej kamery, mikrofonu czy aparatu, jakie znalazły się w zasięgu ich wzroku. Moimi faworytami były słodziaki, które z ustkami złożonymi w udręczony dziubek opowiadały o koszmarze życia w świetle kamer. Początkowo uważałam Szymona za stały element tej konstelacji. Zmieniłam zdanie, kiedy poznałam go osobiście.

Nie wiem, czy rzeczywiście aktor emanował magnetyzmem prawdziwie hollywoodzkiej gwiazdy, ale chociaż nie od razu chciałam się do tego przyznać nawet sama przed sobą, to już po drugim spotkaniu moje myśli zaczęły niebezpiecznie krążyć wokół jego osoby.

Co więcej — wystarczyło, żebyśmy cztery razy całkiem przypadkiem na siebie wpadli, przy czym w żadnym wypadku nie mówimy tu o randce, żebym nie umiała się oprzeć sile jego przyciągania. Niestety tego ranka na przystanku czekał na mnie dowód, że nie byłam jedyna. Poczulałam nieprzyjemne ukłucie.

Boże, przecież każda blondynka wie, że ktoś taki jak Szymon co wieczór zmienia dziewczyny. Jak mogłam pomyśleć, że on i ja to może być coś wyjątkowego?

A jednak naprawdę w to uwierzyłam — dałam się nabrać na błysk, z jakim na mnie patrzył, na żar, z jakim mnie całował. Teraz ujrzałam z całą ostrością, że to, co wczoraj wzięłam za załączek kielkującego uczucia, było emocjonalnym chwastem, którym się właśnie poparzyłam.

Uciekłam z przystanku. Nie chciałam, żeby samotna dziewczyna gapiąca się podejrzenie szklistymi oczami na parę zakochanych zwróciła czyjąkolwiek uwagę.

Niestety — opuszczenie miejsca zbrodni nie na wiele się zdało. Ani na chwilę nie mogłam zapomnieć widoku Szymona przytulającego kruczoczarną piękność. Zarówno w drodze do Anielaka, jak i w trakcie toczenia z nim (finalnie zwycięskiej) batalii o wydanie dokumentów, miałam przed oczami obraz aktora i tamtej dziewczyny. Myślałam o nich, również wychodząc z mojego byłego już miejsca pracy. Skręcając w Puławską, dodatkowo zmagalam się ze wspomnieniami z wczorajszej nocy — czułam, że się rozklejam, a przecież powinnam być silna. Zgodnie z planem Kaśki miałam dwa ciężkie tematy do ogarnięcia. Postanowiłam, że zacznę od Jarka Darskiego — bez tej rozmowy nie mogłam wyczyścić sytuacji z Martą. Planowanie przebiegu spotkania z terapeutą oderwało na chwilę moje myśli od Szymona Korcza. I wtedy znowu na niego trafiłam...

Tym razem dostrzegłam go w kiosku Ruchu — stał za szybą, wpatrzony rozmarzonym wzrokiem w swoją brunetkę. Musiałam przyznać, że była zjawiskowo piękna — ja przy niej nie wyglądałam nawet jak Kopciuszek, tylko jak jej brzydsza siostra. Fakty były takie, że Szymon i tamta dziewczyna tworzyli idealną parę. Dotarło do mnie, że wystartowałam w nie swojej lidze.

Znowu poczułam ukłucie — tym razem było znacznie bardziej bolesne. Miałam wrażenie jakby kolec z ostu przebił się przez moją skórę wprost do serca. Zadra piekła coraz dotkliwiej. Wiedziałam, że odwróceniem głowy w drugą stronę nie załagodzę bólu.

W tej sytuacji mogłam zrobić tylko jedno — zamiast minąć okno z zakochaną parą, ruszyłam w stronę kiosku.

— JAK ONI SIĘ KOCHAJĄ! — przeczytałam tytuł z okładki tygodnika okraszonego zdjęciem Szymona Korcza i piękności o czarnych włosach.

Identyczne zdjęcie — tylko w wersji dwa na dwa metry — reklamowało tygodnik w szklanej gablocie wmontowanej w konstrukcję przystanku, na którym wysiadłam tego ranka. Wychodząc z autobusu, dokładnie na linii mojego wzroku natknęłam się na Szymona w objęciach tej dziewczyny. Powyżej — niczym gorące wyznanie — bił po oczach wyboldowany nagłówek:

SZYMON KORCZ PO RAZ PIERWSZY OPOWIADA O SWOIM NOWYM ZWIĄZKU!

Gdy ponownie zobaczyłam okładkę z Szymonem obściskującym swoją czarnulę, tym razem za szybą witryny kiosku, pomyślałam, że kupienie gazety pomoże mi w ogarnięciu emocjonalnego sajgonu. Lecz po przeczytaniu artykułu wiedziałam, że ten wydatek mogłam sobie spokojnie darować.

Z treści wynikało jedno — oni się kochali, i to bardzo.

Na bitych czterech stronach rozkładówki Szymon Korcz rozplýwał się nad uczuciem, którym zapalał do brunetki. Jak się okazało — również aktorki. Musiała mieć w branży dużo mniej szczęścia niż ukochany — w każdym razie ja jej nie kojarzyłam. Para studiowała na jednym roku w szkole teatralnej — wtedy się chwilę spotykali, ale oboje zdecydowali, że to nie to i się rozstali przed dyplomem. Od tamtego czasu tylko się przyjaźnili. Aż tu nagle ich uczucie wybuchło na nowo, i to ze zdwojoną siłą, którą to siłą podkreślono w tekście wykrzyknikiem. Dalej aktor rozplýwał się w zachwytach nad Ingulą — tak czule nazywał swoją drugą połówkę. Ingula rewanżowała się równie ckliwym opisem porywu serca do Szymcia — jak z kolei ona ochrzciła swego wybrańca.

Love story okraszono fotorelacją z romantycznego spaceru Inguli i Szymcia po Łazienkach — ich ulubionym warszawskim parku. Zdjęcia — klatka po klatce — były zapisem namiętności łączącej parę. Nie mogłam na nie patrzeć.

W pierwszym odruchu chciałam wyładować swoją frustrację na Kaśce:

— Dlaczego, do cholery, nie wspomniałaś mi, że Szymon kogoś ma?!

Na szczęście opanowałam nerwy i do niej nie zadzwoniłam. Przecież gdyby moja przyjaciółka wiedziała o związku Szymona, to na pewno by mnie o tym uprzedziła. Zawsze powtarzała, że wszyscy na planie traktują charakteryzatorkę jak plotkarnię. A skoro nawet jej stali rezydenci — tacy jak moja kumpela — nie mieli pojęcia o romansie aktora, to nasuwał się jeden wniosek: Szymuś musiał ukrywać swoją relację z Ingulą. O tym, że są razem, wyznał dopiero w lukrowanym wywiadzie na łamach tabloidu. Wszystko zgodnie z celebrycką etykietą — szkoda, że wbrew zasadom przyzwoitości. W każdym razie wobec mnie Szymon Korcz zachował się jak ostatni ch...am.

Z całą mocą dotarła do mnie oczywista oczywistość. Jakkolwiek brutalnie by to zabrzmiało: Szymon wykorzystał swoje gwiazdorskie triki, żeby mnie zaliczyć. Pewnie musiał być z siebie cholernie zadowolony, w końcu dostał to, czego chciał. Świadomość własnej głupoty sprawiła mnie we wściekłość, nie tylko na gwiazdorka. Przede wszystkim byłam wkurzona na siebie.

Teraz miałam ochotę zadzwonić do Kaśki, żeby się jej wyzalić — ale z tego również zrezygnowałam. Przypomniałam sobie, że Kaśka od rana miała trudne zdjęcia. Kręcili wypadek samochodowy, a ona była odpowiedzialna za mejkap ofiar. Swoim telefonem na pewno nie ułatwiłabym jej pracy. Wystarczyło, że ja miałam koszmarny dzień. Musiałam poradzić sobie bez wsparcia przyjaciółki.

Cisnęłam szmatławca do kosza i z powrotem opadłam na ławkę — lecz wyrzucenie gazety było dużo łatwiejsze niż pozbycie się ciężaru, jaki gniótł moje serce. Tym bardziej że właśnie zadzwoniła osoba, której ów ciężar zawdzięczałam.

Skąd wiedziałam, że numer, jaki pojawił się na wyświetlaczu, należał do Szymona? Nad ranem, po powrocie do domu, znalazłam go w spisie połączeń i zapisałam w kontaktach. Wtedy byłam pewna, że jeszcze nie raz będę go wybierać i odbierać. Teraz rozmowa z aktorem jawiła mi się jak najgorsza tortura. Nie miałam na nią ochoty nie tylko dlatego, że aktualnie go nienawidziłam. Chodziło też o to, że byłam emocjonalnie rozbita i nie chciałam, by Szymon usłyszał to w moim głosie. Mógłby pomyśleć, że skoro jego telefon wywołuje we mnie taką nerwowość, to nie jest mi obojętny. Z drugiej strony — ostentacyjna ignorancja mogła wyglądać jak przyznanie się do tego, że mnie zranił.

Z dylematu wybawił mnie sam dzwoniący, rezygnując po kilkunastu sygnałach z takiej próby nawiązania kontaktu. Wybrał inną metodę — wysłał mi esemesa:

Znalazłem etui z twoimi dokumentami. Śniadanie?

Bezczelność aktorzyny była nie do ogarnięcia.

Ingula zje z nami? — chciałam odpisać, ale się powstrzymałam.

Za nic na świecie nie mogłam pokazać, że mi na nim zależy. Tyle że w cholernym puzderku były mój dowód i karty, co oznaczało, że dobytek musiałam odzyskać. Wystukałam odpowiedź o następującej treści:

Etui oddaj Kaśce, milego dnia.

Byłam zadowolona — zero tłumaczenia się, za to jasny przekaz: nie mam czasu dla dupków takich jak ty!

Koniec, kropka — poszło...

Ale nie przeszło. Gorzej — nagle opanowało mnie dojmujące poczucie wstydu i bezsilności. Wiedziałam, że dłużej nie dam rady zgrywać twardzielki. Cichutko zachlipałam. Jak na złość ponownie odezwała się komórka. Spanikowana zerknęłam na wyświetlacz — tym razem to nie Szymon. Poczulałam ulgę, ale też niepokój. Rozmówca, który się do mnie dobijał, także nie należał do łatwych. Wzięłam głęboki oddech i odebrałam telefon.

— Halo...

* * *

— Uff... — odetchnęłam po rozmowie z doktor Martą Kotowską.

Wbrew moim obawom nie dzwoniła w związku z moim nieudanym spotkaniem z Jarkiem Darskim. Wspomniała tylko, że mąż czeka na telefon ode mnie, bo — jak jej powiedział — nie zdążyliśmy pogadać.

Tyle. Nie byłam pewna, które z nich wykazało się dyskrecją: Jarek Darski — nie zaznajamiając żony z moją wtopą, czy Marta — pomijając w rozmowie ze mną to, co wiedziała od męża.

Grunt, że nie musiałam się już zmagać z przelękaniem tej porażki zaliczonej w poradni Jarka Darskiego. Serio — nie miałam na to siły. Tym bardziej że pojawił się nowy temat do ogarnięcia.

Marta zadzwoniła w sprawie pana Tobiasza. Planowo miał zostać wypisany w piątek, ale jego stan poprawił się na tyle, że lekarz chciał mu dać wypis już dzisiaj. A ponieważ Marcie zaraz zaczynał się dyżur w karetce, to nie było szansy, żeby dała radę się urwać i zająć naszym emerytem. Dzwoniła, żeby zapytać, czy mogłabym go odebrać.

— Nie ma sprawy. Do godziny powinnam być w szpitalu. — Spojrzałam na zegarek, dochodziła dziesiąta.

Umówiliśmy się, że Marta przekaże panu Tobiaszowi, żeby był gotowy na jedenastą.

Mimo że miałam sporo czasu, postanowiłam od razu ruszyć w drogę. Tym razem nie mogłam zawieść. Osuszyłam policzki z łez i z całą energią na jaką mnie było stać, poderwałam się z ławki, która na ten gwałtowny ruch zareagowała żalosnym skrzypnięciem. Dopiero wtedy zauważyłam, że to ta sama ławka, na której oplakiwałam zakończenie współpracy z Anielakiem. Była więc dwukrotnie świadkiem mojej rozpacz.

— Jeśli myślisz, że moje życie jest pasmem porażek, to... masz rację! — rzuciłam do ławki na pożegnanie.

— Ja po kwasie gadałem z dywanem. — Spojrzałam w kierunku wyrostka na deskorolce. — A ty co brałaś?

Zdawałam sobie sprawę, że rozmowa z ławką nie najlepiej świadczyła o mojej kondycji psychicznej.

— Jakiś mocny towar, co nie? — młodociany drążył temat ze znanstwem.

Z dwojga złego wołałam wyjść przed smarkaczem na łaskę eksperymentującą z chemią niż na regularną szajbuskę. Dlatego w milczeniu odeszłam w swoją stronę, pozostawiając przyszczatemu wolną ławkę do dumania nad używkami.

W drodze na przystanek — zresztą ten sam, na którym wysiadłam czterdzieści minut temu — stanęłam przed nowym wyzwaniem. Tym razem logistycznym. Ponieważ nie miałam roweru, byłam zdana na komunikację miejską. A że nie bardzo się orientowałam, która linia może mnie zawieźć do pana Tobiasza, zadanie dotarcia do niego na czas wcale nie należało do najłatwiejszych.

W temacie najkrótszej trasy postanowiłam zasięgnąć języka u znajomego przedstawiciela prywatnej inicjatywy. Całe szczęście pan Szczepan otworzył już swój uliczny kramik i jak zwykle z zaangażowaniem zachęcał przechodniów do zainwestowania w swój asortyment. Ku mojej uldze okazało się, że postawiłam na właściwego człowieka.

— Rozkład jazdy to ja mam w tym palcu... — Nie miałam już okazji się dowiedzieć, w którym konkretnie.

Niestety pan Szczepan nie zdążył mi również podać numeru właściwego autobusu, gdyż nagle zza jego pleców wyrósł bysior w szykownym gajerku typu slim. Po glacy wygolonej na Kojaka rozpoznałam w nim kolesia, który szarpał się z ulicznym handlarzem tego dnia, kiedy zwolniłam się z biura karier. Dalszy przebieg zdarzeń można określić słowem, którego ostatnio często używałam, opisując przypadki ze swojego życia: m a s a k r a. O jej skali niech świadczą fakty, które zaszły w przeciągu godziny lekcyjnej:

— Oskarżono mnie o czynną napaść fizyczną oraz naruszenie dóbr osobistych.

— Trafiłam na dołek.

— Funkcjonariusz policji zaliczył moją osobę do nizin społecznych, używając wobec mnie określenia: notoryczna recydywistka.

JAK Z PORZĄDNEJ OBYWATELKI ZOFII MORAWIEC STOCZYŁAM SIĘ DO
ZBRODNIARKI ZOFII EM

— Pakuj grajdoł i spieprzaj, menelu jeden! — ryknął bysior.

W odpowiedzi pan Szczepan wyjaśnił swojemu adwersarzowi, że ów może mu naskoczyć, gdyż handlarz nie stoi już przy jego garmażerii. Domyśliłam się, że chodzi o luksusowy restaurant znajdujący się parę metrów dalej.

Załapałam, że konflikt dotyczy zbyt bliskiego styku handlu ulicznego i gastronomii.

— W durnia ze mną grasz?! — Dopasowany garnitur jeszcze mocniej opiął się na bysiowej muskulaturze. — Ostrzegalem, że nie chcę cię tu wiedzieć!

Handlowiec odpowiedział z niezmaconym spokojem, że jak bysio wykupi całą Puławską, to wtedy spełni jego prośbę.

— Twój śmietnik psuje apetyt moim klientom! — Bysior chustką z butonierki wytarł krople potu z glacy.

— Pewnie menu im nie leży. — Pan Szczepan pozostał przy argumentacji słownej.

Niestety Kojak nie miał w sobie takiej siły spokoju. Swoje racje postanowił wzmocnić mocą bicepsów. W ramach rozgrzewki strzelił złowieszczo palcami, a że z gabarytów przypominał Goliata, złapał swojego przeciwnika postury Dawida za chabety, podniósł z łatwością do góry i cisnął nim tak, że ten wylądował prosto w swoim kramiku rozłożonym na kocu. Nie mogłam beczynn timer patrzeć na tę falę przemocy. Szarpnęłam agresora za rękaw marynarki.

— Opanuj się, młocie!

— Też chcesz zarobić, lala?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdyż właśnie w tym momencie pan Szczepan — w akcie zemsty — zamachnął się i jedną z książek, którymi handlował, rzucił w kierunku swojego oprawcy. Tyle że ten zrobił unik i opasłe tomisko o wadze ceglówki trafiło w sam środek szyby, rozbijając ją w drobny mak. Zanim bysio ochłonał, pan Szczepan zgarnął swój stragan do torby i wskoczył do tramwaju, który właśnie odjeżdżał z przystanku obok.

Kiedy on, cały i zdrowy, oddalał się od nas torami, muskularny Goliat skupił całą swoją uwagę na mnie. Wcale nie było takie oczywiste, czy zakończę ten dzień w równie dobrej formie jak pan Szczepan. Na szczęście odgłos policyjnej syreny zapowiedział przybywającą odsiecz.

Ktoś w międzyczasie musiał zawiadomić stróżów prawa. Chwilę później kogut radiowozu zamigał przed naszymi oczami. Odetchnęłam z ulgą — byłam uratowana.

Nie przypuszczałam, że w tym momencie moje kłopoty dopiero się zaczęły...

* * *

— Ona była z tym elementem! To jego współniczka! — Bysior wycelował we mnie palcem, podważając moją wiarygodność wobec policjantów.

— Ja tylko interweniowałam, kiedy ten człowiek agresywnie zaatakował pana Szczepana. — Próbowałam zabrzmieć jak głos rozsądku.

— Słyszycie? Nawet zna imię tego łobuza! — menadżer, bo w międzyczasie wyszło, że takie stanowisko Kojak zajmuje w gastronomicznym lokalu, w żywe oczy kontynuował kampanię oszczerstw. — Ta menelka razem ze swoim kumplem dokonała wybicia okna!

Policjant zapytał menadżera, czy składa przeciw mnie doniesienie.

— No, chyba że się dogadamy — nieoczekiwanie menago zwrócił się do mnie.

— Spiszemy oświadczenie, że pani pokrywa szkody za szybę plus robociznę. Krótka piłka: bulisz siedem tyśi i po sprawie — podliczył.

— Nie ma opcji!

Po pierwsze, byłam niewinna, a po drugie, siedem tyśi to obecnie był mój cały majątek.

— No to się, królewno, zdziwisz, jakie odszkodowanie zaśpiewam ci w sądzie — bysiunio tak się zagotował, że z tej napinki puściły mu szwy pod pachami marynarki typu slim. — Już papuga się o to postara, żeby dopadła cię sprawiedliwość za uszkodzenie mojego mienia — obiecał, strzelając palcami.

Próbowałam odeprzeć jego bezpodstawne oskarżenia, tłumacząc panom mundurowym, że nie ja rozbiłam szybę. I wtedy jeden z policjantów poprosił mnie o dowód.

— Nie mam przy sobie — odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

— Proszę okazać jakiś inny dokument potwierdzający pani dane osobowe.

— Chodzi o to, że nie mogę, bo etui z dokumentami zostawiłam... — a że z nerwów zagmatwałam się w zeznaniach, to historia wyszła na jeszcze bardziej nieprawdopodobną, niż była w rzeczywistości.

Bysior w odróżnieniu ode mnie wylegitymował się dokumentem ze zdjęciem, dzięki czemu policjanci sprawdzili w swojej bazie, że gość nigdy nie miał zatargów z prawem. Ja nie dysponowałam żadnym dowodem potwierdzającym moją nieposzlakowaną opinię. Ponadto im dobitniej starałam się wykazać, że mówię prawdę, tym dobitniej moja opowieść wyglądała jak kłamstwo.

Tak więc „poszkodowany” łysolec złożył swoje zeznanie na miejscu. Natomiast ja — jako sprawca o nieustalonej tożsamości — chwilę później podziwiałam stolicę przez okna pędzącego radiowozu.

* * *

— Proszę, proszę, moja znajoma... — usłyszałam na powitanie od policjanta, który przejął mnie na komisariacie.

Też go skojarzyłam — był to wyższy z dwójki policjantów, którzy niedawno przyłapali mnie, Kaśkę i Bartka na zakopywaniu „sekretów” w parkowym klombie.

— Notoryczna recydywistka od „sekretów”! — W tych okolicznościach żart glińiarza jakoś mnie nie rozbawił.

* * *

Tym sposobem tkwiłam uziemiona na komisariacie.

Ale nie tylko obecne miejsce pobytu mnie martwiło. Problemem był też nieubłaganie upływający czas. Wskazówki zegara na ścianie przesunęły go właśnie o kolejną minutę, pokazując, że jest jedenasta sześć. Coraz bardziej realna stawała się opcja, że u pana Tobiasza pojawię się najwcześniej wieczorową porą. Dopóki nie byłam w stanie potwierdzić swojej tożsamości, dopóty byłam uwięziona w murach komisariatu na górnym Mokotowie. Zadzwoiłam do Marty, że się spóźnię... trochę — mimo niesprzyjającej sytuacji liczyłam na cudowne uwolnienie.

Początkowo miałam nadzieję, że policjant z parkowej przeszłości przy okazji tamtej interwencji zanotował moje dane. Niestety — przypomniał mi, że nie zostaliśmy wtedy formalnie spisani, policjanci sprawdzili jedynie nasze dane w bazie. Notatek z takich interwencji się nie przechowuje.

Zapytałam, czy może przypadkiem jakimś cudem nie zapamiętał mojego imienia, nazwiska oraz daty urodzenia.

— Jestem gliną po pięćdziesiątce, a nie RoboCopem — odrzekł i dodał, że gdyby był mną, to poprosiłby kogoś ze znajomych o przywiezienie dokumentów. Chyba że mi się nie

spiesz z opuszczeniem komendy i chcę mu pomóc w papierkowej robocie. Doskonały humor starszego aspiranta Zbigniewa Kuźmicza — bo jak wyczytałam z naszywki na mundurze, tak się nazywał mój znajomy glina — był totalnym zaprzeczeniem nastroju, w jakim ja się znajdowałam.

Wybrałam numer Kaśki w nadziei, że Szymon zdążył jej oddać moje dokumenty. Ale telefon przyjaciółki był niedostępny — często go wyłączała, gdy miała urwanie głowy na planie.

Prośenie Bartka o pomoc odpadało kompletnie. Dopiero co dostał pracę na stacji. Urwanie się, i to już drugiego dnia, groziło wylaniem. Biorąc pod uwagę, że kumpel miał ogólnie mało szczęścia, nie należało zbytnio prowokować losu.

— Naprawdę nie masz nikogo, kto mógłby ci przywieźć dowód? — policjant Kuźmicz okazał cień troski.

Byłam w sytuacji podbramkowej — mogłam się z niej wydostać tylko przez jedno wyjście awaryjne. Wybrałam numer Szymona. Na szczęście odebrał, i to po pierwszym sygnale.

Nie wiem, czy radość w głosie aktora była naturalna, czy ją zagrał, ale wyczułam mocny ładunek entuzjazmu płynący od niego w moją stronę po bezprzewodowej sieci łączącej nasze komórki.

— Zosia, fajnie cię słyszeć.

A ciebie nie — miałam ochotę odpowiedzieć.

Myślał, że mój telefon jest odpowiedzią na jego śniadaniową propozycję nie do odrzucenia. Wyprowadziłam go z błędu, tłumacząc, że dzwonię w urzędowej sprawie... w pewnym sensie. Nie mogłam tak z buta wypalić: Hejka, wpadniesz do mnie na dołek?

Starłam się brzmieć rzeczowo. Zaczęłam od pytania, czy nadal ma moje dokumenty, Okazało się, że tak. Kręcił dzisiaj nocne sceny i na planie miał się pojawić dopiero koło osiemnastej.

Nie jest źle, ma etui, pomyślałam. Teraz muszę umiejętnie przejść do kwestii zasadniczej.

Kiedy jednak zapytałam, czy ma wolną chwilę, a Szymon się roześmiał, z miejsca pożałowałam, że użyłam właśnie tego sformułowania. W końcu nie dalej jak wczoraj zadałam mu podobne pytanie — oboje wiedzieliśmy, jak to się skończyło. Zanim udało mi się wymyślić zgrabniejszy sposób poproszenia go o przyjazd na komisariat, uprzedził mnie następującą propozycją:

— Jeśli potrzebujesz podwózki, to nie ma sprawy. Lubię być twoim szoferem.

Znowu jest okazja, żeby się zabawić, no nie? — po raz kolejny musiałam się ugryźć w język.

Chociaż byłam pewna, że Szymon traktuje mnie wyłącznie jak przerwę na kawę, przełknęłam gorzką pigułkę. Tonem niezdradzającym targających mną emocji podziękowałam za ofertę pomocy, dodając, że pilnie potrzebuję dokumentów. Zakrywając słuchawkę, dopytałam oficera dyżurnego o adres, po czym podyktowałam ulicę wraz z numerem Szymonowi.

Wdawanie się w szczegóły dotyczące miejsca mojego pobytu uznałam za zbędne. Szymon obiecał, że będzie za góra trzydzieści minut.

Obyś był bardziej punktualny niż ja, pomyślałam, rozłączając się.

Gdy czekałam na przybycie swego wybawcy, dyżurny Kuźmicz spisał moje zeznania w sprawie szyby. Uspokoił mnie, że nie jestem o nic oskarżona — o mojej ewentualnej winie mógłby zdecydować tylko sąd. Ale policjant był pewien, że bysior nie wytoczy mi sprawy o odszkodowanie.

— To mu się nie opłaca. Żeby wyciągnąć od ciebie kasę, musiałby udowodnić, że faktycznie rzuciłaś w okno książkę. Lewy świadek słono kosztuje. Gra niewarta świeczki.

Uśmiechnęłam się do policjanta — moja radość nie była spowodowana wyłącznie ulgą, że nie grozi mi proces. Pan Zbyszek uwierzył, że to ja — a nie bysior — mówiłam prawdę. To było zwyczajnie miłe i byłam mu wdzięczna za okazane zaufanie.

Chwilę potem zadzwonił Szymon — dojechał na miejsce w niecałe pół godziny od naszej rozmowy. Nie był pewien, czy dobrze trafił.

— Zosia, pod adresem, który mi podałaś, jest komisariat.

— Wiem...

— Tylko mi nie mów, że kogoś zamordowałaś!

W tym momencie przypominałam sobie, jak bardzo nienawidzę Szymona Korcza.

Policjant Zbyszek błyskawicznie ogarnął formalności związane z potwierdzeniem mojej tożsamości. W związku z tym, że prócz mnie z gościnności placówki korzystało sporo innych typów — z twarzy raczej podejrzanych — musiałam swoje odczekać, zanim podpisałam zeznania. Wtedy z ust mojego anioła stróża (w randze starszego aspiranta) padło zbawienne:

— Jesteś wolna!

— Juuupi! — wykrzyczałam, i to wcale nie w myślach.

Policjant przeprowadził mnie przez automatyczne drzwi i wyszliśmy na korytarz, gdzie czekała na mnie wolność. I Szymon Korcz.

Aktor podbiegł do mnie, wypytując, jak się czuję i czy dobrze mnie traktowano. Chciał z miejsca wydzwonić swojego znajomego adwokata — najlepszego w Warszawie, jak zaznaczył.

— Spokojnie, zostałam oskarżona o zabicie szyby, a nie zabicie człowieka — nawiązałam do jego żarciku.

Tymczasem Szymon wcale się nie śmiał. Zaczął mnie przeproszać za idiotyczny wygląd — jak samokrytycznie określił swój suchar. Nie zdawał sobie sprawy, że naprawdę zostałam aresztowana.

— Zatrzymana do wyjaśnienia — sprostowałam i wtedy spotkaliśmy się wzrokiem. Jego spojrzenie wyrażało prawdziwy niepokój, więc dodałam: — Wszystko gra, serio.

Jednak dopiero kiedy człowiek w mundurze, czyli pan Zbyszek, potwierdził, że nie mam żadnych zarzutów, Szymon wyluzował. Nie na długo. Na odchodne starszy aspirant Kuźmicz zadał mi pytanie, które przyprawiło aktora o wyraz twarzy typu „megazdziwko”.

— A z tamtych „sekretów” coś wykiełkowało?

— Ciągłe dojrzewają.

Po minie Szymona widziałam, że moja odpowiedź znacznie spotęgowała jego osłupienie.

Ponieważ wolność odzyskałam za osiem dwunasta, nie miałam czasu, żeby się nią beztrudnie cieszyć. W szpitalu czekał na mnie starszy człowiek, a moje spóźnienie znacznie przekroczyło studencki kwadrans.

Wobec wyższej konieczności kiedy Szymon zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść, zdecydowanie odmówiłam. Natomiast gdy spytał, czy mnie gdzieś podrzucić, nie powiedziałam „nie”. Podwiezienie pod szpital miało być ostatnią przysługą, o jaką go w życiu poprosiłam. Temat Szymona był dla mnie zamknięty.

Z rozważań, które ożywczo wspomagał powiew wiatru wywołany złożonym dachem w jeepie, wyrwał mnie głos szofera:

— Zosia, jesteś psychologiem w szpitalu?

— Tak... — skłamałam i to perfidnie.

Może to zaświadczy o mnie jeszcze gorzej, ale do kłamstwa popchnęła mnie próżność. Chciałam podreperować swój wizerunek w jego oczach. Do tej pory zdążył mnie poznać jako

awanturnicę — najpierw zadyma na planie, potem z bratem w naleśnikarni, następnie rozruchy na mieście w stanie upojenia alkoholowego, wreszcie dzisiejszy zatarg z policją zakończony zatrzymaniem. Do tego puszczałka — wystarczyło, że pstryknął i wskoczyłam mu do łóżka.

Chyba można zrozumieć powody, dla których pozostałe kompromitujące fakty z mojego życia — takie jak nieposiadanie stałego zatrudnienia oraz brak widoków na przyszłość — wolałam przed nim zataić. No i popłynęłam z alternatywną wersją swojego CV, robiąc z siebie genialną adeptkę psychologii, rozchwytywaną na prawo i lewo przez warszawskie szpitale i poradnie. Niestety nie przewidziałam, że właśnie w tym momencie ostatecznie się pogрузyłam.

* * *

— O, jaśnie pani raczyła się w końcu zjawić! — wykrzyczał pan Tobiasz na mój, a dokładniej: na nasz widok, gdyż świadkiem owego wylewnego powitania był również Szymon.

Niestety energiczny emeryt zamiast czekać spokojnie, jak pan Bóg przykazał, w swojej sali, wyglądał mnie usadowiony na ławce przed szpitalnym wejściem. Potwierdził tym samym moją teorię na temat ponadprzeciętnej niecierpliwości charakteryzującej swoją grupę wiekową. Jednak wcale nie byłam tym faktem usatysfakcjonowana. Wręcz przeciwnie. To, co poczułam, gdy rekonwalescent ruszył z ławki w kierunku jeepa Szymona, besztając mnie w obecności aktora za spóźnienie, obejmowało całą gamę wrażeń, ale ani jednego ze zbioru pozytywnych.

— Jaka wykwalifikowana opiekunka spóźnia się godzinę i dwadzieścia trzy minuty?! Mój syn wynajął cię, młoda osobo, żebym miał na kogo liczyć w takich sytuacjach!

Pan Tobiasz nie dał się poskromić żadnym moim „najmocniej przepraszam”. Jego werwa dowodziła, że w szpitalu odzyskał siły — to była dobra wiadomość. Gorzej — przede wszystkim dla mnie — że kontynuując głośne artykułowanie swoich pretensji, obalał wersję mojej kariery zawodowej, którą chwilę wcześniej zaprezentowałam Szymonowi. Z każdym kolejnym słowem emeryta stawało się jasne jak słońce, że nie pracuję w szpitalu jako psycholog, tylko jestem opiekunką starszego pana, w dodatku wywiązuję się ze swoich obowiązków, uwaga:

— ...karygodnie! Ja tu usycham, a panienka rozbija się po mieście z narzeczonym!

— To nie jest mój narzeczony...

— ...czy tam chłopakiem! Nie interesują mnie szczegóły waszej zażyłości!

Szymon Korcz już przy okazji wcześniejszych, nietypowych sytuacji z naszym udziałem pokazał, że wśród swoich wad nie miał jednej: wścibstwa. Musiałam przyznać, że posiadał też jedną zaletę: nie kopał leżącego.

Teraz obserwował, jak opieprza mnie krewki dziadek i chociaż musiał mieć z milion pytań, nie zadał ani jednego. Mimo to uważałam, że dla mojego dobra powinien wiedzieć i słyszeć jak najmniej. W skrócie: jak najszybciej chciałam się go pozbyć. Dlatego zasugerowałam, że spokojnie może jechać, bo na pewno ma swoje plany. Jednak Szymon nie chciał się dać spławić.

— Ależ chętnie podwiozę cię i starszego pana — zabłysnął dobrymi manierami.

— Chyba, synku, nie wyobrażasz sobie, że mogłoby być inaczej! — Nawet gdyby aktor próbował nas opuścić, pan Tobiasz by mu na to nie pozwolił. — Nie po to się tu na was naczekałem, żeby teraz wydawać majątek na taksówki!

Szymon karnie wysiadł z jeepa, żeby otworzyć emerytowi tylne drzwi, ale pasażer wybrał sobie miejsce z przodu.

— Auto prezentuje się całkiem, całkiem. Zobaczmy, co nam pokaże kierowca! — Pan Tobiasz wydał komendę: — Odpalaj, kawalerze!

Zrezygnowana czekałam na kolejne odsłony tego koszmaru.

— Dokąd jedziemy? — zapytał szofer.

Gdy podałam adres, powiedział tylko jedno lakoniczne zdanie:

— Kojarzę, gdzie to jest.

Po czym puścił mi oczko we wstecznym lusterku — wiedziałam, że pije do mojego pijaństwa. Nie dalej jak wczoraj odbierał mnie spod kamienicy pana Tobiasza.

* * *

Miałam rację, zakładając, że ta podróż nie będzie prosta, łatwa i przyjemna. Przynajmniej oszczędziłam sobie kolejnego rozczarowania.

Jeszcze zanim ruszyliśmy, pan Tobiasz objawił się jako urodzony pilot. Najpierw zażądał, żeby Szymon powiedział mu, jaką trasę zamierza jechać. Kiedy usłyszał propozycję aktora, skwitował krótko:

— Brak podstawowej wiedzy na temat natężenia ruchu w stolicy.

Następnie oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, że pokieruje Szymona najkrótszą i najszybszą drogą. Nie muszę dodawać, że dziesięć minut później staliśmy w gigantycznym korku, gdyż pilot Tobiasz nie wiedział o zmianach w organizacji ruchu na ulicach, którymi nas poprowadził.

Jeśli ktoś myśli, że pan Tobiasz czuł się winny, to się myli. Nasz emeryt posiadał niezmiernie zasoby dobrego mniemania na swój temat. Wszyscy byli odpowiedzialni za naszą mało komfortową jazdę — głupki z zarządu dróg miejskich, leśne dziadki w kapeluszach, jak filuternie nazywał innych kierowców, Szymon prowadzący, jego zdaniem, bez ikry bożej — tylko nie on sam.

— To może pan sam pokieruje? — wypalił w końcu Szymon pod wpływem nieprzerwanej krytyki płynącej z ust wszystkowiedzącego i wszystkorobiącego lepiej starszego kolegi z siedzenia obok.

— Z przyjemnością — upiorny pilot z ochotą przystał na propozycję. — Patrz i się ucz od wytrawnego kierowcy, jak należy kręcić kółkiem. — Zamienili się miejscami, a ja zdębiałam.

Już raz miałam okazję podziwiać rajdowe umiejętności szanownego emeryta — w końcu to nie kto inny tylko pan Tobiasz rozjechał mój rower. Próbowałam nas uchronić przed nadchodzącą katastrofą drogową — bezskutecznie. Panowie zgodnie spytali, czy mam prawo jazdy. Kiedy powiedziałam, że nie, zostałam pozbawiona prawa głosu. A ponieważ nie mogłam nawiązać wprost do masakry holendra — bo wtedy wyszłoby na jaw, że nie znalazłam się w życiu pana Tobiasza z powodu troskliwego syna — stałam się mądrzejszą przed szkodą, ale nie mogącą jej zapobiec Kasandrą.

Szczęście w nieszczęściu, że do zmiany szofera doszło kilkadziesiąt metrów przed celem naszej podróży. Dzięki temu Tobiasz „Kubica” nie miał szansy na rozwinięcie większej prędkości. Lecz nawet ten minietap pokonał z wyścigową werwą, przyprawiając mnie o gęsią skórę.

— O, jest gdzie zaparkować! — oznajmił zadowolony, kierując rozpędzonego jeepa na chodnik przed swoją kamienicą.

Tyle że, ku mojemu przerażeniu, upatrzone przez emeryta wolne miejsce znajdowało się tuż obok latarni, do której wczoraj przypięłam swój rower. Holender w dobrej kondycji przetrwał noc i pół dnia, a teraz groziło mu kolejne spotkanie z mistrzem kierownicy. Nie mogłam dopuścić do ponownego stratowania go przez emerytowanego pirata drogowego.

— Błagam, nie rower! — wykrzyknęłam, zasłaniając rękami oczy, żeby nie oglądać

nieuniknionej kolizji.

Wszczęty przeze mnie alarm odniósł pożądany skutek — rajd pana Tobiasza skończył się co prawda ostrym hamowaniem, ale nie na dwóch kółkach będących moją własnością, tylko na paśmie miejskiej zieleni. Tym razem holendrowi nie spadł nawet tyci fragment żółtej farby z ramy.

— Co za idiota posiał trawę na miejscu do parkowania!? — podsumował swój manewr niezrażony emeryt.

Mocny akcent, z jakim dobił do celu, świadczył o jednym: na pewno miał problemy ze wzrokiem, i to poważne, ale z asertywnością starszy pan nie miał najmniejszych kłopotów.

Najważniejsze, że nasza podróż dobiegła kresu. Miałam nadzieję, że teraz każde z nas pójdzie swoją drogą. To znaczy ja zamierzałam jeszcze odprowadzić pana Tobiasza na górę. Jednak gdy jak najuprzejmiej próbowałam się pozbyć Szymona, niezmordowany emeryt wtrącił swoje pięć groszy. Koniecznie musiał pochwalić się aktorowi swoim wehikułem we wściekle pomarańczowym kolorze. Z dumą opowiadał o osiągnięciach zaparkowanego pod klatką poloneza, który, jak zaznaczył:

— Jest jak dobre wino. Im starszy, tym lepszy.

Zauważyłam, że emeryt w trakcie owej ody do poloneza głaszcze czule leciwy automobil, nazywając go Poldkiem. W tkliwym podejściu do autka przypominał moją mamę — ona na swoją toyotkę mówiła Lusia i też ją po przyjacielsku poklepywała, dziękując za wspólną jazdę.

W podziękowaniu za możliwość poprowadzenia jeepa nestor zaprosił aktora na herbatę.

— Z przyjemnością wejdę na górę — odparł z nieukrywaną radością Szymon Korcz.

Byłam pewna, że zgodził się tylko po to, żeby zrobić mi na złość. Ponieważ nie mogłam mu zabronić złożenia tej kurtuazyjnej wizyty, nasza trójca w niezmienionym składzie ruszyła ku nowej przygodzie.

* * *

— Teraz rozumiem, dlaczego panienka miała kłopoty z odebraniem mnie na czas! — Pan Tobiasz wymierzył we mnie pustą butelką po metaksie.

— Faj-tła-pa — zawtórował mu gwarek.

Ptaszek miał rację — sama byłam sobie winna. Nie dość, że opróżniłam nie swoją własność, to nie zatarłam śladów przestępstwa. Szczerze? Planowałam odkupić alkohol dzisiaj — szyki popsuł mi przedwczesny wypis ze szpitala właściciela trunku. Nie pozostało mi nic innego, jak przyznać się do winy i przeprosić za — co tu dużo mówić — niestosowne zachowanie.

— Przepraszam... — zaczęłam i na tym skończyłam, bo głos odebrał mi Szymon.

— Ja ugościłem się pana metaxą, chociaż Zosia protestowała. — Tu przygarnął mnie ramieniem, spod którego ja się czym prędzej uwolniłam. — Przepraszam za samowolkę, oczywiście uzupełnię barek.

— Mam inny pomysł, synku. Dasz mi się jeszcze kiedyś przejechać swoim jeepem i będziemy kwita.

— Jasne! A może przy okazji ja będę mógł zrobić rundkę pana polonezem? Wygląda na wózek z mocą! — Tym stwierdzeniem Szymon na amen skradł serce seniora.

Panowie uściśnęli sobie prawice, a we mnie rodziła się feministka. Nie prosiłam Szymona o zgrywanie rycerza na białym koniu. Sama potrafię ogarniać swoje kłopoty. Metaxa była wypadkiem przy pracy, natomiast aktor coraz aktywniej uczestniczył w moich sprawach — bez żadnego problemu wszedł w rolę mojego chłopaka. Miałam ochotę krzyknąć: — Halo, pomyliłeś

mnie z Ingulą!

Tymczasem panowie popłynęli w tematykę auto-moto, która okazała się pomostem łączącym dwa różne pokolenia, jeśli nie epoki.

— Ale to była frajda, poczuć pod rękami takie zrywne autko, synku! — Faktycznie za kierownicą emeryt wyglądał, jakby mu ubyło z dwadzieścia lat.

Bez wątpienia samochodu, oprócz gwarka, z którym się przywitał z rozbrajającą czułością, były jego największą miłością. Tyle że z tego co zdążyłam zaobserwować, miłością nieodwzajemnioną.

— No to jesteśmy umówieni na rajdzik. Przez Zosię proszę mi dać znać, kiedy miałby pan ochotę pośmigać — Szymon lał miód na serce emeryta.

Pan Tobiasz aż cały promieniał. Postanowił mnie uświadomić w sprawie niesamowitego fartu, jaki mi się w życiu trafił.

— Zośka, masz morowego chłopaka. Pilnuj go, żeby ci jakaś inna nie skradła takiego skarbu.

Po tym tekście nie spodziewałam się już niczego gorszego. A jednak nie doceniłam Szymona.

— Nie, panie Tobiaszu, to ja mam szczęście, że poznałem taką świetną dziewczynę jak Zosia.

Miałam dość. Wykręcając się bliżej nieokreślonymi pilnymi obowiązkami, rozpoczęłam ewakuację z tego męskiego kręgu. Pan Tobiasz zapisał sobie jeszcze moją komórkę — bo, jak zaznaczył, następnym razem, jak się spóźnię, będzie mnie poganiał telefonami.

Trochę mnie zbiła z tropu opcja dalszego odgrywania roli jego opiekunki. Jednak żeby nie przedłużyć swojej wizyty, postanowiłam wyjaśnić to z panem Tobiaszem przy następnej okazji.

— Ja też będę leciał — wypalił Szymon, pozbawiając mnie nadziei na chwilę samotności.

* * *

— Może teraz pójdziemy coś zjeść? — Szymon najwidoczniej wolał spędzać czas w towarzystwie. W czym: Zośki czy Inguli, to już nie było takie ważne.

Podziękowałam za propozycję, dodając, że jestem już z kimś umówiona.

— Cześć. I jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Szymon chciał mnie na do widzenia pocałować w usta, ale się w porę odchyliłam i tylko musnął mnie w policzek. Odwróciłam się od niego, zajmując się odpinaniem holendra. A że jak na złość kłódka oczywiście musiała się zaciąć, to Szymon znów wystąpił w roli wybawcy, odblokowując cholerne ustrojstwo jednym mocnym szarpnięciem.

— Dzięki...

Wsiadłam na rower, wyminęłam aktora, ale zdążyłam przejechać zaledwie parę metrów.

— Zaczekaj... — usłyszałam za sobą głos Szymona.

Nie musiałam się zatrzymywać, ale to zrobiłam. Powód był jeden. Nie chciałam sprawiać wrażenia, że mam z nim jakiś problem. Pozwoliłam, żeby Szymon mnie dogonił.

— Wczoraj spędziłem z tobą miły wieczór. — Stanął naprzeciwko, przytrzymując kierownicę holendra. — Myślałem, że ty ze mną też. — Przyszpilił mnie do muru tym swoim laserowym spojrzeniem. — Zosia, czy coś się stało?

Poczułam falę gorąca na swoich policzkach. Wiedziałam, co to znaczy — trać panowanie nad emocjami. I kiedy byłam pewna, że zaraz powiem coś, czego będę żałować, nastąpił zwrot akcji w stylu tandeciarskiego romansidła klasy C. Tuż obok nas, na światłach,

zatrzymał się autobus. Była na nim reklama — identyczne zdjęcie zobaczyłam tego ranka na przystanku. Olbrzymie podobizny Szymona i ciemnowłosej aktorki przesłoniły resztę ulicy. W tym momencie spojrzałam na aktora — miał odpowiedź na swoje pytanie. Dosłownie sama podjechała mu pod nos.

— Fajnie razem wyszliście — rzuciłam na pożegnanie i odjechałam.

Byłam tak rozdygotana, że nie słyszałam, czy Szymon coś za mną jeszcze krzychał, czy nie. Pędziłam przed siebie, nie bardzo wiedząc dokąd — jednak w konkretnym celu: byle dalej od Szymona.

Tym sposobem, nie zdając sobie z tego sprawy, dojechałam w okolice swojego domu. Akurat dobrze się złożyło — nie miałam nastroju, żeby szlajać się po mieście. Z kolei na rozmowę Jarkiem Darskim byłam za bardzo wymięta. Postanowiłam się skupić na sprawach istotnych, takich jak wyjście z Niuńkiem na spacer i przejrzenie w necie ogłoszeń z ofertami pracy.

Niestety zaraz miało się okazać, że również tych planów nie uda mi się zrealizować.

— Dlaczego nie jesteś na szkoleniu? — spytałam, zaskoczona obecnością mamy w mieszkaniu.

Z tego co mówiła, pamiętałam, że jej zajęcia kończyły się o osiemnastej. Tymczasem dochodziła ledwie piętnasta. W dodatku mama siedziała skulona na fotelu, z głową podpartą na ręku. Wiele razy w Kielcach widywałam mamę siedzącą w identycznej pozie — przybierała ją zawsze, kiedy miała jakiś problem.

— Urwałaś się na wagary? — próbowałam ją rozśmieszyć.

Mama podniosła głowę, spojrzała na mnie i się rozplakała.

— Córeńko, okłamałam cię...

Rozdział

DZIEWIĄTY

— Rany boskie, samobójca! — Z zamyślenia wyrwał mnie kobiecy krzyk. Spojrzałam w dół — na chodniku, cztery piętra niżej od skraju dachu, na którym siedziałam, stała przerażona dozorczyńni budynku.

— Spokojnie! — odkrzyknęłam, zgarniając włosy z twarzy w celu ukazania swoich rysów.

— Aaaa... — gospodyni mruknęła w odpowiedzi i wróciła do podlewania bratków w lastrиковych donicach.

Postronnemu świadkowi nasz dialog mógł się wydać z lekka dziwaczny. Nie dość, że kobieta nie zadała oczywistego pytania:

— Dziewczyno, co ty do kur... ki nędznej robisz na dachu?!

To jeszcze zachęciła mnie do pozostania na wysokości:

— Detoksuj się na zabój, narwańcu! — Po czym oddaliła się w kierunku dalszych kwietników, tracąc kompletnie zainteresowanie moją osobą.

Niekonwencjonalna reakcja dozorczyńni wynikała z faktu, że nie pierwszy raz gościłam na stropie włości, którą zarządzała.

Dla jasności — ani ta, ani poprzednie wizyty nie były spowodowane moimi samobójczymi skłonnościami. Zresztą cztery niewysokie kondygnacje budynku plus bujny żywopłot rosnący tuż pod nim nie stwarzały warunków do oddania skoku w otchłań wieczności. Lubiłam wpaść na dach, żeby nabrać ochoty do życia, nie odwrotnie. A wszystko zaczęło się od Kaśki.

Na drugim roku studiów wprowadziłyśmy się do kawalerki w starej kamienicy, na której dachu obecnie siedziałam. Kiedy trafiłyśmy na ogłoszenie o jej wynajmie, byliśmy pewne, że to oferta idealna.

Super lokalizacja — przy ulicy Koźlej, czyli ścisła Starówka. Super cena — siedem stówek za wynajem plus opłaty i kaucja, czyli hipertanio jak na warszawskie standardy.

A haczyk? Nie od razu przyszło nam do głowy, że to zbyt idealne, żeby mogło być prawdziwe. Wszystko wyjaśniło się pierwszej nocy. Wtedy oświeciło nas, dlaczego kawalerka była w mocnej promocji.

Oprócz nas zamieszkiwali ją dzicy lokatorzy w postaci licznej rodziny karaluchów. A że owe żyjątka prowadziły nocny tryb życia, to dopiero pod osłoną nocy zdałyśmy sobie sprawę z ich towarzystwa. Nie zamierzałyśmy mieszkać w takich warunkach — nie tylko ze względu na nieprzestrzeganie ciszy nocnej przez insekty.

Problem w tym, że właściciel nieruchomości odmówił zwrotu kasy, uświadamiając nas, że zaliczka, którą wpłaciłyśmy, jest bezzwrotna w takiej sytuacji. Zostałyśmy więc z opcją miesięcznego pobytu w karaluszej norze. Nie miałyśmy wyboru — do czasu znalezienia nowego lokum musiałyśmy gdzieś przebiedować. I wtedy w przyпіływie geniuszu lub desperacji Kaśka wymyśliła plan B — dach.

Każdego dnia po powrocie z uczelni chwytałyśmy śpiwory oraz karimaty, by spędzać

czas pod osłoną nieba. Początkowe protesty gospodyni domu uśmierzyliśmy czterema kartonami Marlboro zakupionymi pod Stadionem Dziesięciolecia, na Jarmarku Europa [świeć Panie nad jego duszą]. A że tamtej wiosny był wyjątkowo ciepły maj — niemal zamieszkałyśmy na dachu kamienicy. Tam też odkryłyśmy, że kąpiele w promieniach zachodzącego słońca na tle Starówki — wschody ze względu na wczesną porę pozostawały poza naszym zasięgiem — miały na nas kojąco-uspokajający wpływ. Nazwałyśmy je detoksami.

Dozorczynie też czasem wpadała na pokazy naszego prywatnego Cyrku du Soleil, bo, jak mówiła, dzięki nam odkryła, że petek w takich okolicznościach przyrody to przyjemność nie tylko dla płuc, ale też dla serca. Moja uwaga, że kardiolog mógłby się z nią nie zgodzić, nie powstrzymała jej od zadymiania seansów detoksykacji. Poza tą drobną przywarą, babka była całkiem w porządku. Pozwalała nam bywać na dachu nawet po wyprowadzeniu się z jej bloku.

Dzisiaj, po konfrontacji z mamą, przypomniałam sobie o naturalnej terapii na nerwy. Nie odwiedzałam dachu ponad rok, ale na całe szczęście lufcik bez problemu dał się otworzyć. I teraz, siedząc na swoim dawnym miejscu, czekałam na początek pokazu.

Nagle rozdzwoniła się moja komórka — spojrzałam na wyświetlacz i wyciszyłam dźwięk. Nie zamierzałam pozwolić, żeby Szymon Korcz zakłócił mi detoksykację. Tym bardziej że żółto-pomarańczowy grejpfrut rozpoczął właśnie odwrót znad Warszawy.

Cyk — wytoczył się zza błękitnego wieżowca. Bęc — obił strop świętego Jana. Siup — zjechał pochyłościami katedry wprost na dachy staromiejskich kamieniczek. Hyc — kicając po czerwonych dachówkach przeskoczył na wiślaną skarpe, by powiedzieć „dobry wieczór” królewskim nurtom i — myk — turlając się na drugą stronę nieba, zniknąć ze stolicy. Do jutra.

* * *

— Oj, po twojej minie widzę, że detoks nie pomógł? — Kaśka dotarła na dach już po zachodzie słońca.

Nie do końca miała rację — podniebne show słonecznego cytrusa wywołało u mnie uśmiech i amnezję w temacie trudnych spraw. Tyle że chwilową. Przebłysk optymizmu minął wraz z końcem przedstawienia. Niestety.

— Nic się nie martw, zaraz doprowadzę cię do pionu — kumpela przyjechała do mnie prosto z planu. — Poprzytykałyście się ostro z mamą, tak? — Tyle powiedziałam jej przez telefon.

— Niczego nie rozumiesz.

— Próbuję, ale może mi zdradzisz coś więcej poza tym, że odbyłaś z mamą najgorszą rozmowę w życiu — szturchnęła mnie dla dodania otuchy. — Harcerka, nie czaj się! Nie takie historie ogarniałyśmy!

— Takiej jak ta: nigdy — odpowiedziałam ciężko.

Fakt, razem z Kaśką nieraz mierzyłyśmy się z różnymi problemami. Jednak nawet nasze najślabsze momenty czy największe wtopy nie dorastały do kłopotów, które wyrosły przede mną po szczerej rozmowie z mamą. W moim życiu nic już nie miało być takie, jak kiedyś. I na tym polegał dramat.

— Kaśka, to nie była jakaś familijna pogaduszka!

— A co?

— Koniec świata.

* * *

APOKALIPSA WEDŁUG MOJEJ MAMY

Kiedy mama powiedziała mi o tym, że skłamała, poczułam się niepewnie. Mimo że jeszcze nie wiedziałam, o co konkretnie chodzi, to nieoczekiwane wyznanie zapowiadało kłopoty.

Sprawę pogarszał fakt, że mama płakała — bardzo rzadko sobie na to pozwalała przy mnie lub Piotрку. Właściwie to tylko raz w życiu przyłapałam ją we łzach — tego dnia, kiedy tata wyleciał do Australii. Musiała wiedzieć, że już do nas nie wróci.

Teraz w moim warszawskim mieszkaniu patrzyłam na płaczącą mamę po raz drugi. Usiadłam w fotelu naprzeciwko niej.

— Mamo, co się dzieje?...

Szczerze? Tak naprawdę wcale nie chciałam tego wiedzieć. Marzyłam, żeby usłyszeć jakąś wymówkę:

— Chciałam wyjąć rzęsę i zatarłam sobie oko...

albo

— To przez nowy tusz, muszę być na niego uczulona...

Niestety, tym razem mama nie próbowała przede mną ukryć, że coś jest nie tak. Wzięła głęboki oddech, po czym odezwała się głosem brzmiącym przerażająco serio.

— Zosiu, ukrywałam prawdę najdłużej jak się dało, bo nie chciałam was martwić, ciebie ani Piotrka. Ale już nie mam siły...

— Jaką prawdę, mamo?

Prawda, którą odkryła przede mną moja mama, była tak szokująca, że nie mieściła mi się w głowie. Nie — wróć. Nie — prawda. Prawdy. Bowiem okazało się, że jest ich dużo, dużo więcej niż jedna.

— Córeńko, nie mam żadnego szkolenia w Warszawie...

— To co tu robisz?

— Próbuję znaleźć pracę...

Szok numer jeden:

Moja mama od dwóch miesięcy była bezrobotna. Została zwolniona z urzędu pocztowego, bo w ramach oszczędności zredukowano jej stanowisko. Od tego czasu próbowała zaczepić się gdzieś w Kielcach — tyle że bez sukcesów. Z tego co mówiła, wynikało, że pięćdziesięcioletnia specjalistka od księgowości ze znajomością Worda i Excela nie miała żadnych szans z tabunem młodych adeptek po zarządzaniu czy marketingu, oblatanych w PowerPointach oraz najnowszych Office'ach.

Nic mi się nie składało. To, że było ciężko z pracą w Kielcach, to jedno. Ale skąd nagle Warszawa? Mama nigdy nie lubiła tego miasta, więc po co szuka tu pracy? A gdzie zamierza mieszkać? W tym momencie ogarnęła mnie panika. Najpewniej ze mną!

— Zaraz, powoli. Mamo, co to za wariactwo z tą Warszawą? W Kielcach masz mieszkanie...

— Miałam...

W tym momencie doznałam szoku numer dwa:

Mama wynajęła nasze M-3 jakimś studentkom z Ostrowca Świętokrzyskiego za 950 zeta miesięcznie [jak na standardy kieleckie to i tak całkiem sporo za trzypokojowe mieszkanie], żeby mieć pieniądze na spłatę kredytu gotówkowego. I tu zaliczyłam szok numer trzy — nie miałam pojęcia, że mama wzięła jakąś pożyczkę, i to pod hipotekę mieszkania!

Kiedy sprecyzowała, że chodzi o kwotę stu piętnastu tysięcy złotych, a miesięczna rata to jedyne dwa tysiące, odpadłam kolejno czwarty i piąty raz.

— Na co ci były takie pieniądze?

— Nie wzięłam tego kredytu dla siebie...

— Jezu, mamo, a dla kogo?

Werble! A oto szoki o numerach od sześciu wzwyż:

— Dla Janusza [6]. Spotykaliśmy się sześć miesięcy [7], ale jak tylko przelałam mu pieniądze na konto, wyjechał z Kielc [8].

Mama, płacząc, dodała, że zgłosiła sprawę na policję, ale powiedziano jej, że nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa. Nie było żadnych dowodów, że została oszukana. Z własnej woli wzięła kredyt, a potem sama zrobiła przelew.

Mama do mnie mówiła, a ja potakiwałam, nie wierząc w to, co słyszę. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się po drugiej stronie lustra — wszystko było inaczej, niż powinno być.

— Dałaś gigantyczną kasę obcemu koleśowi bez spisania umowy?!

— Janusz stał się dla mnie kimś bardzo bliskim [9]... Rozumiesz mnie, córeczko?

— Mamo, zlituj się! Jak mogłaś być taka głupia! — Wybiegłam z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Ich huk był odpowiedzią na ostatnie pytanie mamy.

* * *

— Serio, Kaśka, nie wiem jak to wszystko ogarnąć... — dojrzałam do końca rodzinnej apokalipsy i skoczyłam w dół...

...tyle, że nie z dachu, a z Barbakanu, na który się w międzyczasie przeniosłyśmy. Ową przeprowadzkę wymógł na nas głód. Toteż zakupiwszy po bułce z pieczarkowym farszem, kontynuowałyśmy rozmowę na ceglany murku, w cieniu Zygmunta lypiącego na nas z kolumny oraz jego świty w osobie księżycowego pazia.

Konkretnie, to przez cały czas mówiłam wyłącznie ja — Kaśka w trakcie mojej opowieści nie odezwała się ani słowem. Teraz też siedziała w milczeniu, zapatrzona w podświetlony biało-czerwony koszyk po drugiej stronie Wisły. Albo randkowanie z architektem wyczuliło ją na nieoczywiste piękno obiektu do uprawiania narodowego sportu, albo po niusach, jakie usłyszała ode mnie, zwyczajnie nie wiedziała, co ma powiedzieć.

Tak czy inaczej — jako że Barbakan nie był z pluszu — zasugerowałam, żebyśmy przespacerowały się Krakowskim Przedmieściem. Kaśka była umówiona ze swoim Danielem przy hotelu Bristol. Pomyślałam, że ją tam odprowadzę, a potem wsiądę na rower i pomknę... no właśnie: dokąd? Na konfrontację z mamą nie byłam jeszcze gotowa. Kaśka — ni stąd, ni zowąd — zastrzeżona mnie pytaniem:

— Zośka, pamiętasz jak zareagowała twoja mama, gdy usłyszała, że wtopiłaś kasę w mieszkanie z karaluchami?

Tak się składało, że doskonale to pamiętałam, gdyż bardzo obawiałam się tamtej rozmowy. Obie z Kaśką musiałyśmy powiedzieć naszym familiom, że pieniądze, jakie dostałyśmy na wynajem, przepadły i w związku z tym potrzebujemy ekstradofinansowania.

Gdy zadzwoniłam do mamy, była zła, ale, ku mojej uldze, nie na mnie, tylko na nieuczciwego właściciela, który nas naciągnął.

— A przypomnieć ci reakcję moich rodziców? — Kaśka nie musiała tego robić.

Pamiętałam, że zrobili jej przez telefon koszmarną awanturę — długo potem płakała. Skomentowała wtedy, że starsi wbili ją w ziemię, jak zawsze.

Prawda była taka, że Kaśka nigdy nie dogadywała się ze swoimi rodzicami. A że do tego była jedynaczką, tak jak Bartek, to miała totalnie przechlapane. Nie było nikogo innego, na kim jej starsi mogliby skupić swoją uwagę. Kaśka powiedziała mi kiedyś, że nie pamięta, aby rodzice kiedykolwiek ją pochwalili. Za to zawsze czuła, że są zawiedzeni posiadaniem córki, która nie

spełnia ich ambicji. Faktycznie, Kaśka za każdą słabszą ocenę niż czwórka — nawet w liceum — dostawała kary. Ciągle miała na coś szlaban: a to na telewizję, a to na wychodzenie z domu.

— A pamiętasz akcję z tabletkami antykoncepcyjnymi? — przyjaciółka znowu wypaliła od czapy.

— Co to ma wspólnego z moimi obecnymi problemami?

— Kojarzysz czy nie?

Jasne, że nie zapomniałam o środkach, które mama znalazła w moich dzinsach.

Wrzuciłam spodnie do pralki bez sprawdzenia kieszeni. A ona jak zwykle zrobiła to za mnie. No i wyszło, że jej latorośl, mimo że jest dopiero w maturalnej klasie, to egzamin z dojrzałości ma już za sobą.

Tyle że ja mimo ukończonej osiemnastki ciągle byłam dziewczęciem z wianuszkami.

Moja edukacja seksualna sprowadzała się do pettingu z jednym Rafałem z kółka polonistycznego. Razem przygotowywaliśmy się do olimpiady. To nie ja miałam poważnego chłopaka, tylko Kaśka.

Na początku ostatniej klasy liceum zaczęła chodzić z Marcinem — wysmaganym słońcem instruktorem żeglarstwa. Poznała go na kursie, na który zapisała się tylko z jego powodu. Marcin studiował prawo na Uniwerku Świętokrzyskim i fakt, że był od nas o rok starszy, czynił z niego (w oczach rodziców Kaśki) chłopaka nieakceptowalnego. Zresztą nie pozwalali się jej spotykać z żadnym przedstawicielem płci męskiej — miała się uczyć do matury, a nie tracić czas na głupoty.

Proste więc, że Kaśka ukrywała przed starszymi swoją zażyłość z Marcinem. Tym bardziej nie chciała, aby odkryli, że wraz z żeglarzem przepłynęła przez swój pierwszy raz.

Aby uniknąć kłopotów, poprosiła mnie, bym przechowywała jej pigułki antykoncepcyjne. Tym sposobem trefne dropy trafiły do mojej mamy. Pamiętam, jak weszła z nimi do mojego pokoju — byłam pewna, że czeka mnie koszmarna pogadanka „O zapyłaniu”.

— Zosiu, wiesz, że możesz ze mną porozmawiać o wszystkim.

I tyle — było po sprawie. Mama potraktowała mnie jak dorosłą kobietę, która ma prawo sama zdecydować, czy chce rozmawiać o swoich intymnych sprawach, czy nie.

— Zazdroszczę ci, że masz taką fajną mamę — Kaśka spojrzała na mnie i zrozumiałam, po co urządziła te wypominki z przeszłości.

Mama zawsze była fair w stosunku do mnie — a ja nie potrafiłam odplacić jej tym samym, kiedy to ona, pierwszy raz w życiu, potrzebowała mojego wsparcia.

Byłam wykształconym psychologiem, powinnam zdawać sobie sprawę, ile kosztowało ją powiedzenie mi prawdy. Tymczasem ja nie myślałam o niej, tylko o sobie. Przestraszyłam się, że jej kłopoty zakłócą moje warszawskie życie, ale też byłam zazdrosna, że, oprócz mnie i Piotrka, mama pokochała kogoś jeszcze...

— Jarek Darski miał rację, nie panuję nad swoimi emocjami.

— Zośka, zareagowałaś jak córka... Fakt, że skończyłaś psychologię, nie ma żadnego znaczenia, bo chodzi o twoją mamę. To normalne.

Zawsze mogłam liczyć na Kaśkę — była najlepszą przyjaciółką na świecie.

* * *

Idąc Krakowskim Przedmieściem, rozmawialiśmy o drugim hitowym temacie z mojego dzisiejszego dnia. Zresztą, trudno było go pominąć, kiedy Szymon Korcz śmiał mi się w twarz z co drugiego billboardu. Może to naiwne, ale w głębi serca miałam nadzieję, że Kaśka przyniosła z planu jakieś sensowne wytłumaczenie jego sesji z piękną brunetką. Na przykład, że

ta ich big love jest jedną wielką bujdą wymyśloną przez jakiegoś dziennikarzynę dla podniesienia sprzedaży gazety, a zdjęcia to fotomontaż.

Niestety — wyglądało na to, że wszystko, co przeczytałam w gazecie, było prawdą. Kaśka dowiedziała się od Drugiego, że Szymon pojawił się ostatnio z nową dziewczyną na bankiecie urodzinowym producenta serialu. Kaśka, jako mniej znaczący personel, nie była zaproszona na ową imprezę. Dlatego nie miała pojęcia, że aktor z kimś się spotyka.

— Korcz nigdy wcześniej nie robił z siebie pajaca w kolorówkach, ale widocznie każdy celebryta — prędzej czy później — zapada na brak odporności na obciach. Szok — Kaśka zaprezentowała opad szczęki, jaki ona i jej koledzy z planu mieli po dzisiejszej prasówce.

Wiedziała, że próbuje mnie rozśmieszyć. Popatrzyłyśmy na siebie. Bez zbędnego gadania wiedziała, jak się czuję.

— Będzie dobrze — wzięła mnie pod rękę i przystąpiła do pracy u podstaw w celu postawienia mnie na nogi. — Zośka, nie rozklejamy się, tylko ogarniamy. Co z listą spraw, którą zrobiłam ci rano?

Wyjęłam z kieszeni spis sporządzony przez przyjaciółkę, gdy jeszcze byłam szczęśliwie zakochaną naiwniaczką.

Z trzech punktów dwa można było uznać za załatwione:

Anielak. Byłam, wzięłam co trzeba — do odhaczenia.

Doktor Marta. Rozmawiałam z nią, co prawda przez telefon, ale wyszło, że sytuacja z Darskim nie wstrzymała przepływu dobrej energii między nami — można odhaczyć.

Jarek Darski — niezadowolony!

— Jutro od tego zaczynasz — Kaśka podkreśliła ten punkt szminką, którą właśnie poprawiała kontur ust, gdyż zbliżyliśmy się do hotelu, gdzie miała się spotkać z przystojnym architektem.

Przyjaciółka miała rację — spotkanie z Darskim wiązało się z możliwością pracy u niego. A w związku z mamą na gwałt musiałam postarać się o sensowne źródło zarobkowania.

— Wielce mało prawdopodobne, żeby mnie zatrudnił — podsumowałam.

— Idź śmiało przez życie — Kaśka przypomniła częstochowską rymowanąkę z pamiętnika. — Wbij to sobie tu. — Kumpela puknęła mnie w czoło. — Zośka, musisz mieć parę za siebie i za mamę!

Kiedy zbliżyliśmy się do Bristolu, przyjaciółka dostrzegła, że pod hotel właśnie podjechał Daniel. Wsiadł ze swojego porsche z bukietem fioletowych tulipanów. Kaśka promieniała z radości, że zapamiętał, jakie są jej ulubione kwiaty.

— Ciacho, co nie?

Na żywo architekt prezentował się jeszcze lepiej niż na focie, którą pokazywała mi Kaśka. Tyle że ja, zamiast potwierdzić, że gość był rasowym przystojniakiem, wypaliłam z pytaniem, które nagle zamajaczyło mi pod kopułką.

— Kaśka, dlaczego wy ciągle spotykacie się w hotelach?

— Daniela to kręci, zresztą mnie też, a co?

— Ani razu nie zaprosił cię do siebie. Nie sądzisz, że to jest trochę dziwne?

— Co w tym dziwnego?! Dopiero co się poznaliśmy, poza tym u Daniela mieszka siostra, bo remontuje swoje mieszkanie. Seks w trójkącie mógłby być trochę krępujący, nie sądzisz?

Z twarzy przyjaciółki zniknął uśmiech, miała szkliste oczy — zdałam sobie sprawę, że właśnie popsulam jej wieczór.

— Wiesz, Zośka, co jest dziwne? Że moja przyjaciółka odgrywa się na mnie za to, że jej nie wyszło. Przykro mi, że Szymon okazał się dupkiem, ale nie każdy facet jest taki jak on.

Kaśka podbiegła do Daniela i razem zniknęły za drzwiami hotelu. Pomyślałam o powiedzeniu: „szewc bez butów chodzi”. Nie dlatego, że nic mądrzejszego nie przyszło mi akurat do głowy. W tej chwili czułam się dokładnie jak bosy majster od obuwia. Co mi po dyplomie z psychologii, skoro po raz kolejny pokazałam, że nie radzę sobie w relacjach z najbliższymi osobami?

— Faj-tła-pa — gromki chór własnych szarych komórek podsumował mnie w zastępstwie gwarka.

Poczułam, jak kamyki z chodnika wbijają się w moje nagie stopy.

* * *

Gdy wróciłam do domu, mama leżała po ciemku w moim pokoju, wtulona w Niuńka. W odróżnieniu ode mnie, yorkuś nie zostawił jej samej z kłopotami. Co więcej, próbował po swojemu pocieszać mamę, zmieniając się w jej przytulankę. Szczerze? Coraz częściej miałam wrażenie, że ten piesek potrafił lepiej zrozumieć ludzkie emocje niż niejeden człowiek. Choćby na przykład ja, magister od psyche.

Dość — krzyknęłam na siebie w myślach, zirytowana własnym uzalaniem się nad sobą.

W tym momencie liczyła się tylko jedna osoba — moja mama. Nieraz pokazała, że ja i Piotrek jesteśmy dla niej najważniejsi. Teraz przyszła kolej, żebym udowodniła, że ona dla nas też. Usiadłam przy mamie.

— Śpisz?

— Nie, kochanie...

Mama spojrzała na mnie — zobaczyłam, że ma szkliste oczy. Znowu płakała — tym razem także przeze mnie. Zrobiło mi się jeszcze bardziej wstyd.

— Mamuniu, przepraszam, że wyszłam. I za wszystko, co powiedziałam. Wcale tak nie myślę.

— Wiem, Zosiek, znam cię...

To właśnie była cała moja mama — nawet po gówniarskim występie, jakim się odpłaciłam ze jej szczerości, nie skreśliła mnie.

— Nie martw się, wszystko ogarniemy.

— Nie jestem pewna, córeńko...

Dopóki mama pracowała, spłacała ratę z pensji. Zarabiała 3300 zł na rękę. Po odjęciu 2000 zł dla banku, zostawało jej mniej więcej 1300 zł na życie, w tym czynsz, światło, gaz itp. I jeszcze wysyłała kasę Piotrkowi, żeby pilny studencik miał za co żyć we Wrocławiu.

Wywołanie tematu brata uświadomiło mi, że jak najszybciej muszę z nim porozmawiać. Nie chciałam dłużej okłamywać mamy. Z drugiej strony wiadomość, że synuś rzucił studia, mogłaby ją totalnie załamać.

Jutro spotkam się z Piotrkim — postanowiłam w myślach i wróciłam do mamy.

— Musiałam sprzedać Lusię, żeby wszystko spać — ciężkie westchnienie świadczyło o tym, jak bardzo przeżyła rozstanie z ukochanym mobilkiem.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się, gdy mama straciła pracę, ale wtedy niespodziewanie pokazało się światełko w tunelu. Jakaś znajoma znajomej zaoferowała się, że załatwi mamie pracę w Londynie, w sklepie swojego kuzyna. Wszystko było dogadane na sto procent. Na czas swojego wyjazdu, mama postanowiła wynająć mieszkanie, żeby na siebie zarabiała.

Gdy jedną nogą była już w stolicy Anglii, owa znajoma poinformowała ją, że Londyn nie

wypalił, bo kuzyn zatrudnił koleżankę swojej córki. Finalnie — mama została w Kielcach bez mieszkania, pracy i z opinią frajerki, która dała się zrobić w bambuko wyliniałemu lowelasowi — tak za jej plecami szeptali niezawodni „życzliwi”. W tej sytuacji nie dziwiłam się, że przyjechała do Warszawy.

— Ale to nie wszystko, córeczko... Mam też długi.

Mama sięgnęła po notes i spisała stan swoich finansów:

DOCHODY:

Opłata za wynajem mieszkania w Kielcach — 950 zł, minus 320 zł na czynsz za mieszkanie, czyli na czysto: 630 zł.

Tyle że te pieniądze miały wpłynąć na konto dopiero w następnym miesiącu. Pieniądze z tego miesiąca poszły na bilet do Londynu. A że wyjazd szlag trafił, to kasa przepadła. Firma przewozowa „ROYAL BUS” nie przyjmowała zwrotów biletów.

ZALEGŁOŚCI:

Rata za poprzedni miesiąc — 2000 zł

Rata za ten miesiąc — 2000 zł

Odsetki za to i poprzednie opóźnienia — ok. 600 zł

— Zalegam bankowi cztery tysiące sześćset złotych. Pomyślałam, że wezmę szybką pożyczkę od jednej z tych firm, co się reklamują w telewizji.

— Nie! Damy sobie radę, mam oszczędności.

— Nie będziesz płacić za moje długi... — tu przerwała, bo nie dałam jej skończyć.

Przypomniałam mamie to, co zawsze mówiła mnie i Piotrkowi: w rodzinie nie ma „moje”, „twoje”. Jest: „nasze”. Koniec kropka. Finalnie, dla świętego spokoju, musiałam się zgodzić, że pożyczam mamie pieniądze. Od ręki mogłam jej dać siedem tyśi, czyli w sam raz na długi i kolejną ratę. Zyskiwałyśmy miesiąc na opanowanie sytuacji. Nie zamierzałam mówić, że to kasa odłożona na kurs psychoterapii, żeby mama nie zaczęła śpiewki, że przez nią nie pójde na szkolenie itp., itd. Poza tym zostało mi jeszcze prawie całe osiem stówek z zesłomiesięcznej pensji od Anielaka — z tego pięćset zeta miało iść na mieszkanie i koło stówki na odkupienie metaxy panu Tobiaszowi. Reszta na rozpustę. W sumie nie było najgorzej.

Usiadłam przy biurku, odpaliłam kompa, żeby zrobić przelew. Jednocześnie obserwowałam mamę — siedziała na łóżku z podwiniętymi nogami, mocno przygarbiona, jakby kuliła się pod ciężarem emocji, które w sobie dusiła. Dotarło do mnie, że spustoszenie w jej sercu musiało być co najmniej tak duże, jak to w finansach. Postanowiłam za wszelką cenę wyciągnąć ją z tej obolałej skorupki, zanim schowa się w niej na dobre.

— Zapomnij, że jestem twoją córką. Rozmawiamy jak kobieta z kobietą...

Mama wyglądała na nieco spłoszoną — pierwszy raz rozmawiałyśmy nie o moim, ale o jej chłopaku. Byłam równie skrępowana jak ona, ale nie mogłam odpuścić. Rodzicielka musiała się przed kimś wygadać, a tak się składało, że w najbliższej okolicy oprócz mnie nie miała innych znajomych.

Do przebicia balonu z negatywną mieszanką uczuć wybrałam ostrze satyry.

— W skali od jednego do dziesięciu, ile dajesz mister Januszowi za te sprawy?

— puściłam oczko do mamy. — Był wart stu piętnastu tyśi?

Mama wbiła we mnie osłupiały wzrok, jakby nie dowierzała, że naprawdę mogłam ją o coś takiego zapytać. Byłam pewna, że zaraz wybuchnie — nie pomyliłam się. Nastąpiła u niej eksplozja... tyle, że śmiechu, który przełamał naturalne lody skrępowania, jakie istnieją między matką a córką w temacie osobistego życia tej pierwszej. Chciałam, żeby mama — oprócz dziecka — zobaczyła we mnie przyjaciółkę. I chyba się udało, bo opowiedziała mi o swojej znajomości z Januszem Rogozińskim.

Poznali się w warsztacie, w którym mama serwisowała toyotkę Lusię — on był tam nowym mechanikiem.

Wcześniej mieszkał w Szczecinie, ale po rozwodzie szukał nowego miejsca na życie. Padło na Kielce, bo tu znalazł pracę — w każdym razie taką wersję sprzedał mamie.

Mniej więcej po sześciu miesiącach znajomości zwierzył się, że jego pięcioletni siostrzeniec ma śmiertelną wadę serca. Tylko natychmiastowa operacja w Szwajcarii mogła uratować chłopcu życie. Janusz chciał pomóc bezrobotnej siostrze, samotnie wychowującej chorego synka w Szczecinie, ale bank odmówił mu udzielenia kredytu, gdyż — jako zatrudniony na umowę śmieciową — nie spełniał wymogów.

Zrozpaczony wujaszek — sam nie miał dzieci i kochał siostrzeńca jak syna — poprosił mamę o pomoc. Mama nie mogła odmówić pomocy w ratowaniu umierającego dziecka. I tak przez swoje złote serce stała się złotą rybką złapaną w sieć kłamstw rybaka Janusza.

— Córeńko, boję się, co będzie, jeśli nie znajdę pracy... — ostatnie przeżycia odbiły się na mamie ostrym niedoborem poczucia własnej wartości. — Przeze mnie możemy stracić mieszkanie... — załamał się jej głos.

Przypomniałam sobie o Oliwce z „Móz” — ją też, podobnie jak mamę, oszukał facet, któremu zaufała. W ramach pokrzepienia maminego serca, opowiedziałam historię Oliwki, z mocnym naciskiem na puentę: mimo że dziewczyna zaliczyła kompletny dół, to nie dała się złamać, a w nagrodę dostała od życia nową miłość i super pracę.

— Nic nie musisz, wszystko możesz — zagrzałam mamę do walki mottem Oliwki.

— Twoja koleżanka jest dużo młodsza ode mnie. W moim wieku zaczynanie wszystkiego od początku jest porażką...

— Damy sobie radę, razem — przytuliłam ją najmocniej jak potrafiłam. — Wierzę w ciebie, mamó — chciałam, żeby nie tylko usłyszała, ale też poczuła, że ma we mnie oparcie, i to cholernie silne.

W tym momencie w kieszeni zawibrowała mi komórka — zerknęłam na wyświetlacz. To był znowu Szymon. Wyczułam na sobie czujne spojrzenie mamy. Wyłączyłam telefon.

— Córeczko, a u ciebie wszystko dobrze?

Okłamanie mamy nie wchodziło w grę, więc żeby zyskać na czasie zaczęłam strzepywać z bluzy niewidzialne pyłki. I w tym momencie, jak na zawołanie, rozległo się pukanie. Do pokoju zajrzał Bartek — dopiero co wrócił do domu ze służby na stacji benzynowej.

— Przepraszam, dziewczyny, że wam przeszkadzam w rodzinnej naradzie, ale Zośka, mam do ciebie temat do obgadania „na już”.

Ponieważ kumpel — jak na siebie — zabrzmiał niepokojąco serio, to chwilę później zmieniłam się z maminej powierniczki w Bartkową. Nie zwlekałam z tym również z pobudek osobistych — wolałam darować sobie i mamie pogłębienie ogólnego doła tematem Szymona.

* * *

— Co się dzieje? — podjęłam kolejną próbę wyciągnięcia od Bartka, co go gnębi. Bo że coś mu leżało na duszy i to coś nie było piórkowej wagi, wiedziałam już w momencie, gdy usiedliśmy naprzeciw siebie przy kuchennym stole i Bartek, zamiast po swojemu — kawa na ławę — wyłożyć problem, jaki mieliśmy rozkminić, skupił się na gmeraniu w cukiernicze.

Od dziesięciu minut przekopywał łyżeczką puszkę w biedronki, w której trzymaliśmy „białą śmierć”, jakby chciał znaleźć między słodkimi kryształkami jeśli nie antidotum na ciążyący mu dylemat, to przynajmniej podpowiedź, jak ma mi oznajmić o swoim zmartwieniu.

Żeby ułatwić kumplowi zadanie, podrzucałam mu różne motywy, aby — na zasadzie gry w ciepło–zimno — zorientować się, gdzie mniej więcej leży jego problem.

— W pracy na pewno wszystko w porządku? — kumpel potwierdził kiwaniem głowy, czyli znowu zimno. Jego kłopot nie miał nic wspólnego ze sferą życia zawodowego.

Wcześniej udało mi się ustalić, że owo utrapienie nie wiązało się również z rodzicami, kasą, nie było też ogólnym dołem czy warszawską wersją paryskiego spleenu. Powoli kurczyły się potencjalne źródła Bartkowego smutku. W celu poszerzenia spektrum poszukiwań, zastanowiłam się nad własnymi bolączkami i wtedy dotarło do mnie, że nie zapytałam kumpla o materię, która u mnie wywołała bolesne klucia w okolicach serca.

— Bartek, czy ty się nie zakochałeś? — brzęczący dźwięk jaki rozległ się w kuchni po tym, jak przyjaciel upuścił na podłogę ocukrzoną łyżeczkę, był gongiem kończącym zgadywanke.

Nagle wyjaśniły się nietypowe objawy, jakie zauważyłam tego wieczoru u przyjaciela. Myślałam, że błędny wzrok, ceglana czerwień oraz mowowstręt były efektem jakiejś nerwowej zadymy. Nawet zaparzyłam Bartkowi podwójną melisę, licząc, że ziółka złagodzą efekty owej awanturki.

Tymczasem dokładnie o 22:34 czasu kuchennego wyszło na jaw, że mój kumpel pierwszy raz w życiu zasmakował tych samych cierpień co młody Werter. Pozostało jeszcze jedno pytanie — kto zrobił z niego ofiarę miłosnych katuszy?

— Zośka, błagam cię, tylko nie mów nic Kaśce — no i wszystko stało się jasne. Bartek był zakochany w naszej przyjaciółce.

Tymczasem kumpel, jakby nieco zawstydzony niespodziewanym wydaniem się jego sekretu, wolał skupić się na zbieraniu ziarenek cukru z podłogi, niż skonfrontować się ze mną twarzą w twarz. Im dłużej go obserwowałam, tym wyraźniej docierało do mnie, że Bartek kochał się w Kaśce od dawna.

Drugi raz tego dnia mądrość ludowa pomogła mi ogarnąć rzeczywistość.

— Kto się lubi, ten się czubi — wyrecytowałam.

— I tak nic z tego nie będzie, bo moja Julia ma innego... — Bartek ciężko westchnął. — Ale nie to mnie wkurza najbardziej... — wziął głęboki oddech, no i odpalił raketkę w swoim niepodrabialnym stylu.

— Ken od ekierki robi Kaśkę! Buja się porszakiem z kalifornijską Barbie!

— W tłumaczeniu z Bartkowego na polski oznaczało to, że architekt Daniel ma na boku ekstra blondynkę.

Okazało się, że kumpel wygrzebał w necie adres biura architektonicznego, w którym pracował ten...

— Kreślarski playboy! — i od kilku dni uprawiał regularny stalking, przesiadując w każdej wolnej chwili w sąsiedztwie miejsca zatrudnienia architekta.

Dzisiaj wykorzystał do tego celu przerwę między zmianą poranną a popołudniową, bo biuro architekta znajdowało się pechowo, czy też szczęśliwie — w tym momencie nie byłam tego pewna — niedaleko stacji benzynowej, na której Bartek od niedawna pracował. I tak przyuważył Daniela z blond koleżanką.

— Najpierw szamali z Barbie kluchy w knajpce obok biura fagasa, a potem pojechali w miacho.

Bartek nie mógł powiedzieć Kaśce o tym, co widział, bo gdyby wyszło na jaw, że szpiegował jej faceta, stałoby się jasne, że jest o Kaśkę zazdrosny. A kumpel za nic nie chciał się przed nią odkryć ze swoimi uczuciami — bał się, że Kaśka go wyśmiej.

— Dla niej jestem emocjonalnym pajacem — Bartek odcisnął swoją wściekłość na

własną bezradność na nieszczęsnej łyżeczce od cukru, wyginając ją w pętelkę.

Gordyjską — dopowiedziałam w myślach, gdyż metalowy zawijas był nomen omen odzwierciedleniem emocjonalnego węzła, w jaki się zaplątał mój zakochany bez pamięci kumpel.

— Zośka, może ty byś do niej zadzwoniła?

Plan Bartka nie był skomplikowany: miałam powiedzieć Kaśce, że widziałam Daniela przypadkiem na ulicy w towarzystwie Barbie. Jednak nie byłam pewna, czy powinniśmy go zrealizować. Opisałam Bartkowi dzisiejszą sytuację spod Bristolu.

— Goguś bajerem na siostrzyczkę mydli jej oczy!

Tyle że istnienie żeńskiego rodzeństwa architekta potwierdzała również zadyma z moim holendrem w serwisie rowerowym. Bajk, który przez pomyłkę trafił do mnie, należał właśnie do siostry Daniela.

— On ci tak powiedział, a to żaden dowód! — Bartek był zawiedziony moją sceptyczną postawą. — Widziałem ich razem — mówię ci, nie zachowywali się jak brat i siostra — walnęła pięścią w stół, rozlewając melisę. — Jak pomyślę, że Kaśka jest teraz z tym oszustem...

I w tym momencie mnie przekonał — zmiana mojej decyzji nie wynikała tylko ze współczucia dla Bartka. Wpłynął na nią również użyty przez niego epitet. Słowo oszust nierozzerwalnie skleiło mi się z kanciarzem Januszem. Nie mogłam pozwolić, żeby Kaśka została oszukana podobnie jak mama. Nawet jeśli nius o Danielu miałyby uznać za przejaw mojego zawistnego charakteru, musiałam wykonać telefon do przyjaciółki. Kaśka nie odebrała, więc po konsultacji z Bartkiem wysłałam jej esemesa:

WIDZIAŁAM DANIELA Z BŁODNYNKĄ — SPYTAJ GO KTO TO BYŁ

Odpisała — ale to, co napisała, świadczyło o tym, że ma mnie za żołą, która za wszelką cenę chce popsuć jej szczęśliwe chwile:

ONA — SIOSTRA, TY — PIES OGRODNIKA :((((WYŁĄCZAM KOMÓRKĘ

Oboje z Bartkiem opuszczaliśmy kuchnię bez nadziei na spokojną noc, dobijając się jeszcze moją nieszczęśliwą historią miłosną. Kumpel, w nadziei że przynajmniej u mnie gra, zapytał nieopatrznie:

— Zośka, a jak ci idzie z serialowym gwiazdorem?

Chwilę potem nasza dwójka plus moja mama spotkała się przed telewizorem. Okazało się, że nikt z nas nie ma melodii na sen i kumpel zaproponował, żebyśmy zapodali jakiś film na DVD. Ze wszystkich możliwych on i mama wybrali akurat *To właśnie miłość* od Szymona Korcza.

Tym sposobem ja wraz z rodzicielką pierwszy raz widziałyśmy początek filmu. Tyle że przez ogólną sytuację życiową, ani my, ani Bratek, nie zaliczyliśmy się do targetu, na którego licu komedia romantyczna byłaby w stanie wywołać choć cień uśmiechu.

Spojrzałam na nasze odbicia w ekranie telewizora: kumpel, mama i ja — smężna trójka. Wśród różnych problemów, z którymi się zmagaliśmy, jeden był wspólny — każde z nas miało złamane serce.

Nagle mój smutek sięgnął takiego dna, że poczułam nieodparty przymus przewietrzenia głowy — ku radości Niunia, któremu trafił się ponadprogramowy nocny spacer.

* * *

Było ciepło, cicho i zupełnie pusto — żadnych nocnych marków w najbliższej okolicy. Niuniek miał trawnik tylko dla siebie. Za dnia panowało na nim prawo pięści i drobne pieski w typie yorka były przeganiane z trawki przez posiadaczy większej masy i ostrzejszych kłów. Obserwując brutalne reguły rządzące tym psim szaletem, załapałam, dlaczego człowieczy żywot

bywa nazywany pieskim życiem.

Teraz na pasku zieleni rządził yorkuś. Ja zaanektowałam na swoje siedzisko pień po lipie, którą zeszłego lata za pośrednictwem pioruna trafił szlag.

Oboje z psinką delektowaliśmy się szczęśliwym brakiem towarzystwa.

Nie wiem jak Niuniek, ale ja wyłączyłam myślenie — skupiłam się na oddychaniu.

Sztachnęłam się mocnym machem powietrza i zamknęłam oczy, próbując rozróżnić poszczególne składniki czerwcowej mieszanki. Odurzyła mnie kompilacja zapachów mieszkań, przenikających do atmosfery przez otwarte balkony i okna. Wyczułam chmielową nutę z piwnych ogródków, uprawianych wzdłuż stołecznych ulic...

— Ściągnęłam cię myślami... — nagle za moimi placami odezwał się głos, którego za nic nie spodziewałam się usłyszeć w środku nocy pod własną klatką.

Miałam nadzieję, że Niuniek obszczeka nieproszonego gościa, tymczasem yorkuś powitał Szymona Korcza z zenującym entuzjazmem, który wyraził oparciem łapek o jego dzinsy. Aktor pogłaskał zdradziecką miniaturę, pieczętując ich przyjaźń obietnicą wspólnego wypadu na sushi. Po obłaskawieniu Niuńka, zajął się mną.

— Zosia, przyjeżdżam do ciebie, a ty czekasz na mnie przed blokiem. Czysta magia...

— Jeśli myślał, że jego czary na mnie podziałają, to był w błędzie, i to poważnym. Lecz najwidoczniej nie dostrzegł kolczastego pancerza, w który się odziałam i kontynuował swoje hokus-pokus. — Serio, albo to telepatia, albo przeznaczenie...

Szymon podszedł do mnie z szerokim uśmiechem, z którego ja wyczytałam — wręcz bezczelne w tych okolicznościach — przekonanie o własnym uroku osobistym. Gorzej — ku mojej irytacji wyglądało na to, że świetnie się bawi. Poczułam znajome ukłucie.

— Rozumiem, że twoja dziewczyna jest zajęta i chcesz się zabawić, ale mnie nie kręci powtórka z rozrywki.

Zawołałam Niuńka. Ale akurat yorkuś miał na wszystko wyczesane, bo przypomniał sobie, że jest psem myśliwskim i usiłował upolować kreta, biegając od jednego kopczyka ziemi do drugiego.

— Wpadłem, bo nie odbierałaś, a chyba trochę głupio wyszło z tą okładką...

Słowa „chyba” i „trochę” potwierdziły, że facet traktował mnie jak lalę z trocinami zamiast mózgu. Ponowiłam apel do yorkusia, żeby wracał ze mną do domu. Niestety, bez odzewu.

— Zosia, posłuchaj...

— Nie, Szymon, to ty posłuchaj. Mam kogoś i nie chcę, żeby pomyłka z tobą zniszczyła związek, na którym mi naprawdę zależy.

Nawet nie przypuszczałam, ile będzie mnie kosztować to, co właśnie powiedziałam. Schowałam ręce w rękawy bluzy, żeby Szymon nie zauważył jak mi drżą. W końcu się odezwał.

— Jasne, rozumiem. Fajnie, że teraz między nami wszystko jest wyczyszczone. Trzymaj się, Zosia.

Odwrócił się i ruszył do swojego jeepa. O świcie też patrzyłam jak wsiada do samochodu — wtedy, gdy odjeżdżał, nie mogłam doczekać się momentu, kiedy zobaczę go znowu. A w tej chwili... niestety, czułam to samo. Jednak wiedziałam, że do następnego spotkania już nie dojdzie, i było mi z tą myślą cholernie ciężko. Obserwowałam jak Szymon odpala silnik, wycofuje jeepa z chodnika... Nagle szklista tafla zaczęła pokrywać moje oczy.

— Nie do zobaczenia — wyszeptalam do niego i do siebie na pożegnanie.

I wtedy od strony klatki rozległ się donośny wrzask.

— Kolego, stój!

Zdezorientowana zobaczyłam, jak z bloku wybiega Bartek i niemal rzuca się Szymonowi

pod koła. Dalszy rozwój zdarzeń obserwowałam z wyrazem twarzy, który można określić w skrócie trzema wyrazami: NIE DO WIARY!

Kumpel, zatrzymawszy jeepa, dokonał błyskawicznej autoprezentacji:

— Siema, jestem Bartek, ziom Kaśki, z którą pracujesz, i Zośki, którą bajerujesz.

Bartek zamachał do mojej osłupiałej osoby w celu potwierdzenia naszej zażyłości, po czym wrócił do zadzierzgiwania znajomości z aktorem.

— Tak już mam, że znajomki znajomek są moimi ziomalami, tak że my, stary, z automatu jesteśmy kumplami — panowie przybili piątkę. — Szymo, z balkonu dojrzałem, że masz furę, i postanowiłem do ciebie uderzyć, bo dramatycznie potrzebuję drajwera pod Bristol. Wchodzisz w to?

Słyszając, co sprowadziło Bartusia przed blok, odpadłam. Jednocześnie zacisnęłam kciuki w nadziei, że Szymon ma napięte plany na dalszą część nocy i powie „narka” swojemu nowemu ziomowi. Niestety — albo aktor zapalał do Bartka przyjaźnią od pierwszego wejrzenia, albo miał słabość do wcielania się w rolę szofera. Tak czy siak, zgodził się dostarczyć Bartka pod wskazany adres.

— Szymas, masz u mnie zgrzewkę browców — kumpel z wyrazami wdzięczności na ustach usadowił się koło swojego dobrodzieja.

Po błyskawicznej konsultacji z resztkami zdrowego rozsądku — jakie jeszcze posiadałam — uznałam, że nie mogę dopuścić do katastrofy, którą zapowiadała nagła chęć odwiedzenia przez Bartka hotelu, w którym aktualnie przebywała Kaśka w towarzystwie architekta Daniela.

— Jadę z wami — nie mając innego wyboru, z Niuńkiem pod pachą, zajęłam miejsce z tyłu samochodu.

Tym sposobem — ku mojemu przerażeniu wobec nieskrywanego entuzjazmu Szymona, z którym powitał kolejną okazję na ubaw w moim towarzystwie, oraz niepokojąco bojowego nastroju Bartka — popędziliśmy jeepem w parną warszawską noc. Ta — mimo że dobiegała północ — miała się dopiero rozkręcić.

Rozdział

DZIESIĄTY

„Stwierdzić, że wycieczka do Bristolu w składzie: zakochany Bartek, szofer Szymas oraz ja z Niuńkiem miała przebieg gęsto wypełniony atrakcjami, których dopełnieniem był spektakularny finał, to tak, jakby nie powiedzieć niczego o niepowtarzalnej atmosferze owej eskapady. Szczerze? Zgliszcza, jakie pozostały w efekcie naszego spontanicznego najazdu na hotel, sprawiły, że w moim osobistym rankingu Wieczorów Nie Do Zapomnienia ten zajął pierwsze miejsce, deklasując z nawiązką wszystkie pozostałe. Niech za słowo wprowadzenia do opisu tego wypadu posłuży podsumowanie dokonane przez Kaśkę:

— Zośka, szacun. Byłam pewna, że nie jesteś w stanie mnie już niczym zaskoczyć. A tu pudło. W życiu nie myślałam, że dzięki tobie poczuję się jak bohaterka filmów Wesa Cravena.

Dla jasności — owo porównanie nie było wyrazem wdzięczności za zorganizowanie niespodziewanych odwiedzin. Przywołanie reżysera koszmarów z Freddym Kruegerem, których obie się tak bałyśmy, że nigdy ich nie oglądałyśmy, będąc same w domu, oznaczało coś wprost odwrotnego. W skrócie: Kaśka nienawidziła mnie za zgotowanie jej najgorszego horroru w życiorysie.

KOSZMAR Z HOTELU BRISTOL — SCENARIUSZ & REŻYSERIA: SZOFER,
PRZYJACIÓŁKA ORAZ ZAKOCHANY KUMPEL PLUS YORKUŚ

— Masz jakiś plan?

— Hasłowo, Szymas, stawiam na improwizację.

Tego się właśnie obawiałam — mój kumpel był specjalistą od akcji po bandzie, które miały jeden wspólny element: zawsze wymykały się spod kontroli. Dlatego od momentu ruszenia spod bloku próbowałam wykazać, że więcej argumentów przemawia „przeciw” nalotowi na Bristol niż „za” nim. Nocną porą nie musieliśmy przebijać się przez korki i w ekspresowym tempie zbliżaliśmy się do celu naszej podróży. Stąd miałam niewiele czasu na przekonanie Bartka do swoich racji. Wyłożyłam je w trzech punktach.

Po pierwsze — już powiadomiliśmy Kaśkę o istnieniu Barbie, teraz ona sama musiała zdecydować, co z tym zrobić.

Po drugie — przyjaciółka dobitnie pokazała nam, co sądzi o wtrącaniu się w jej sprawy. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można było przewidzieć, jak zareaguje na naruszenie swojej hotelowej intymności przez nieproszonych gości.

Po trzecie — Bartek po takim wejściu smoka raczej mógł pożegnać się z szansą na rozbudzenie w Kaśce pozytywnych uczuć do własnej osoby. Koniec, kropka.

Tyle że siła mojej argumentacji nie poraziła kumpla — potrzebował dodatkowej konsultacji.

— Szymas, a co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Nie odpuściłbym dziewczyny, na której mi zależy — Szymon zabasował swojemu nowemu kumplowi, tworząc wraz z nim dwuosobowy chór zgodnych ziomów.

— Bartek, znamy się sto lat, zastanów się komu zaufać. Mnie czy ledwo co poznanemu

koledze? — spojrzalam znacząco na naszego szofera.

— Sorry, Zośka, ale Szymas ma doświadczenie w temacie: „jak to się robi z dziewczynami”. Sama wiesz najlepiej. — Na całe szczęście siedziałam z tyłu i Szymon nie zobaczył, jak spalam się ze wstydu.

Serio, po zdaniu, jakim Bartek zwięcził swoją wypowiedź, życzyłam mu wszystkiego, co najgorsze. Zresztą podobnie jak Szymonowi, którego uważałam za współwinnego kryzysowej sytuacji. Ale że właśnie dojechaliśmy pod Bristol, wyrównanie osobistych rachunków z kumpem musiałam odłożyć na później. Wszyscy troje, plus Niuniek, wysiedliśmy z jeepa.

— Bartek, może zdradzisz nam co teraz? Będziesz biegał po wszystkich pokojach w poszukiwaniu Kaśki? — Bo tego, że recepcja nie udzieli mu informacji, byłam pewna. I akurat w tym upatrywałam szansę na uniknięcie katastrofy.

— Mam inny pomysł — rzucił kumpel i po chwili nie tylko cały Bristol, ale również Krakowskie Przedmieście usłyszało, na czym ów polegał.

Bartek podszedł do zaparkowanego obok porszaka Daniela i najzwyczajniej w świecie kopnął w oponę wozu, uruchamiając alarm.

— Nieźle to sobie wykom... — Szymon nie dokończył komplementować swojego nowego zioma pod wpływem spojrzenia, jakim go obdarzyłam.

W skrócie: miałam ochotę zabić obu „ziomali”. Tymczasem z hotelu wybiegł ku nam na powitanie wściekle wyglądający boy.

— Jesteś z siebie zadowolony? — przygwoździłam aktora ciężarem odpowiedzialności. — Proszę, ratuj teraz sytuację.

Szymon ruszył do faceta w liberii, chcąc uspokoić emocje, ale równoległe do akcji włączył się Niuniek, no i zaczął się kociół.

Nasz obronny yorkuś rzucił się do eleganckich nogawek boya. Ten w odwecie próbował kopnąć psinkę, którą osłonił Bartek, sam obrywając za Niuńka. Ten akt agresji wywołał z kolei moją ostrą reakcję słowną, za którą hotelowy elegancik odwdzieczył mi się wiązką tak nieparlamentarną, że zarobił za nią od Szymona w czapę — skrótowo rzecz ujmując.

A że w międzyczasie alarm w porszaku przestał wyć, to Bartek swoim sposobem uruchomił go ponownie i w końcu na balkonie hotelowego apartamentu pojawił się Daniel, w szlafroku. Architekt nigdy nie poznał nas osobiście, więc wziął Bartka za regularnego chuligana.

— Jak ci zaraz skopię dupę, łobuzie!

— No chodź, frajerze! — odrzyknął kumpel, a jego głos zwabił na balkon również Kaśkę, która, dla odmiany, miała na sobie ubranie.

O poziomie szoku, którego przyjaciółka doznała na widok naszej kotłującej się trójki, niech świadczy fakt, że dopiero po dłuższej chwili była w stanie wydobyć z siebie głos — całkiem donośny.

— Co wy tu robicie?!

— Znasz ich? — Daniel był równie oszołomiony, jak ona.

— Kaśka! Ten frajer robi cię w bambuko z jedną Barbie! — Bartek ryknął z całej piersi. Tym samym ów nius dotarł do każdego, kto akurat przechodził obok Bristolu.

A ponieważ ta ciepła noc obrodziła w licznych spacerowiczów, to sytuacja osobista Kaśki stała się obiektem zainteresowania całkiem sporego grona. Co — jak się łatwo domyślić — nie zostało przyjęte przez naszą przyjaciółkę z aplauzem.

Wszystko, co wydarzyło się potem, upoważniało mnie do stwierdzenia: „a nie mówiłam”. Tyle że nie przyniosło mi to żadnej satysfakcji. Wręcz przeciwnie.

* * *

Chwilę później, na drugim piętrze hotelu Bristol, Kaśka — tonem, którego nijak nie można by nazwać łagodnym — uświadomiła nam z Bartkiem, jak kolosalną porażką była nasza misja.

Po esemesie z wiadomością o blondynce Kaśka wzięła Daniela w krzyżowy ogień pytań. Okazała się wyjątkowo skutecznym śledczym — podejrzany przyznał się do winy w postaci posiadania żony, którą okazała się Barbie. W czasie przesłuchania wyszło również, że architekt był nie tylko mężem, ale też ojcem parki półrocznych bliźniaków. Swój skok w bok tłumaczył wypaleniem prozą życia rodzinnego — jako architekt z duszą artysty czuł się nią przytłoczony.

Biedny miś liczył, że Kaśka zapłaci nad jego losem i z radością weźmie na siebie rolę słodzika.

Przekombinował — kiedy my pojawiliśmy się pod Bristolem, ona właśnie zakończyła swoją znajomość z architektem i szykowała się do opuszczenia hotelu.

Przyjaciółka poinformowała nas o tym wszystkim w dużo, dużo, dużo, dużo bardziej ekspresyjnej formie. W skrócie: wykrzyczała nam to w twarz przed drzwiami apartamentu, w którym zamknął się jej nieaktualny już chłopak w obawie przed narwanymi znajomymi swojej byłej.

Kaśka była tak wkurzona, że nie chciała z nami gadać.

W efekcie razem z Bartkiem goniliśmy ją korytarzem, próbując wyjaśnić, że chociaż wszystko wyszło krzywo, to nie mieliśmy złych zamiarów.

— Jak chciałeś mnie upokorzyć, to ci się udało!

— Kaśka, ja tylko próbowałem...

— ...wiem, Bartek, zrobić ze mnie idiotkę, jak zawsze! Ale tym razem przegiąłeś.

— Gdybym mógł cofnąć czas...

— ...jedyne, czego teraz od ciebie chcę, to żebyś zniknął mi z oczu, a najlepiej z życia!

Kaśka zabrzmiała cholernie serio. Wyminęła Bartka, nie dając mu szansy na powiedzenie niczego więcej. Pierwszy raz zobaczyłam w oczach kumpla szklistość, którą doskonale znałam z autopsji. Zrobiło mi się go szkoda, chciałam mu pomóc i wypaliłam:

— Kaśka, on to zrobił, bo cię kocha...

Bartek dosłownie skamieniał. Zrozumiałam, że zamiast pomóc, tylko pogorszyłam sytuację.

— Chyba ci odbiło, Zośka... — popatrzył na mnie z takim zawodem, jakby chciał powiedzieć: „nie jesteśmy już kumplami”, po czym zbiegł schodami na dół, nie odwracając się ani razu za siebie.

— Jeszcze próbujesz go usprawiedliwić? I to w taki dumny sposób? — Kaśka stanęła naprzeciwko mnie. — Jak mogłaś pozwolić, żeby zrobił ze mnie pośmiewisko? I to w dodatku przy Szymonie Korczu, z którym pracuję... — Kaśka wytarła wilgoć z policzków, po czym wypowiedziała tekst o horrorze, jaki jej zgotowałam.

Pierwszy raz odkąd się znałyśmy, słyszałam w głosie przyjaciółki tony żalu. Najgorzej, że we wszystkim miała rację. Już samo rozstanie z Danielem, a wcześniej odkrycie, że ją okłamywał, musiało pokłuć Kaśkowe serce. Jak mocno — sama wiedziałam najlepiej. My z Bartkiem, odstawiając ten cały cyrk, tylko zwielowaliśmy ten ból.

Gorzej — byłam przyjaciółką Kaśki i powinnam stanąć na głowie, żeby zapobiec temu koszmarowi, ale tego nie zrobiłam. Zawiodłam ją — taka była prawda.

— Przepraszam... — więcej nie byłam w stanie z siebie wydusić. Czułam, że najgorsze dopiero usłyszę.

— Wiesz, co myślę, Zośka? — zawiesiła głos, próbując opanować emocje. — Chyba czas, żeby każda z nas poszła swoją drogą.

Patrzyłam, jak Kaśka odchodzi korytarzem i z całych sił próbowałam mruganiem powstrzymać słoń nawałnicę. Lecz z góry byłam skazana na porażkę — oprócz przyjaciela straciłam także przyjaciółkę... Łzy poleciały mi ciurkiem po policzkach.

* * *

Kiedy jakieś piętnaście minut później, które spędziłam w hotelowej łazience, próbując doprowadzić twarz do jakiegoś takiego porządku, zesłam na dół, natknęłam się we foyer na Szymona, pogrążonego w rozmowie z atrakcyjną czterdziestolatką.

On czarował, a ona ewidentnie ulegała jego magii, co rusz obdarzając aktora powłóczytym spojrzeniem. Musiałam przyznać, że Bartek w jednym miał rację — Szymon faktycznie wiedział, jak to się robi z dziewczynami. Obeszłam skórzane kanapy, które zajmował Szymon oraz jego nowa zdobyczna i niezauważona przez aktora opuściłam wykwintne wnętrze Bristolu.

* * *

— Cholerni celebryci! — przed hotelem natknęłam się na boya w liberii. Zirytowany elegancik łypnął na kobietę, z którą perorował Szymon za szklanymi drzwiami. — Menadżerka ma słabość do znanych twarzy! Tylko dlatego się wam upiekło!

Wyjaśniło się, kim jest rozmówczyni aktora.

W sumie niewiele to zmieniało — Szymon Korcz miał zaraz definitywnie zniknąć z mojego życia. Chętnie bym uniknęła również tego ostatniego spotkania, lecz musiałam poczekać na aktora: ze względu na Niuńka, który kimał smacznie w jego aucie. Zostawiłam yorkusia w jeepie, gdyż, jak się okazało, psiny nie były mile widziane w hotelu.

Kpiną losu było, że czekałam na Szymona w towarzystwie jego oficjalnej dziewczyny (bo że aktor miał też koleżanki w drugim obiegu, wiedziałam z własnego doświadczenia). Sama przez chwilę byłam jedną z nich. Tak czy siak po drugiej stronie ulicy wisiał billboard z okładką, z którą zaczęłam i kończyłam ten pechowy dzień. Zastanowiło mnie, czy zjawiskowa brunetka wie o podbojach swojego chłopaka i zrobiło mi się jej szkoda. Jeśli tak — musiała udawać przed sobą, że jej to nie przeszkadza, a jeśli nie — to była naiwniaczką, która prędzej czy później boleśnie zderzy się z ziemią.

— Chyba powinniśmy pogadać... — z rozważań wyrwał mnie ich bohater.

A ja w tym momencie poczułam, jak bardzo jestem wściekła na Szymona Korcza. W drodze do hotelu zgrywał przed Bartkiem faceta, który dla swojej ukochanej przeniósłby góry. Tymczasem, chociaż był w związku, nie przepuścił okazji do skoku w bok, która mu się nawinęła w postaci mojej osoby. Szymon niczym się nie różnił ani od Janusza, który oszukał moją mamę, ani od Daniela. Był takim samym oszustem. Nagle wybuchłam i powiedziałam mu to wszystko prosto w twarz.

— Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda o moim związku?

— Już sobie o tym przeczytałam.

Odwróciłam się, żeby zabrać Niuńka z jeepa, ale aktor stanął mi na drodze, opierając się o drzwi samochodu.

— Z naszej dwójki to ty jesteś w poważnej relacji, sama to przyznałaś. Ja nie jestem z Ingą tak naprawdę...

— Naprawdę... jesteś żaloszny.

Moja odporność na ściemę w męskim wykonaniu właśnie się wyczerpała. Wzięłam yorkusia na ręce i zniknęłam z życia Szymona Korcza, jednocześnie wymazując go ze swojego.

* * *

Telepiąc się przez stolicę nocnym autobusem ze śpiącym Niuńkiem na kolanach, analizowałam rozmowę z Szymonem. Mówiąc to, co powiedziałam na końcu, za bardzo się przed nim odkryłam. Pokazując emocje, okazałam swoją słabość i za to byłam na siebie zła. Przytuliłam się do yorkusia, szukając w jego futerku utulenia w bólu.

* * *

Gdy koło drugiej w nocy razem z psinką dotarliśmy do domu, zorientowałam się po butach w przedpokoju, że Bartka jeszcze nie było. Natomiast Kaśka wróciła przed nami. Zgaszone światło w jej pokoju oraz zamknięte drzwi świadczyły jasno, że przyjaciółka nie miała ochoty na moje towarzystwo.

Leżąc w łóżku, przytulona do mamy, nasłuchiwałam dźwięku klucza przekręcanego w zamku. Poczulałam ulgę, kiedy Bartek w końcu zawinął do domu. Na krótko. Zaraz potem wrócił niepokój o to, co będzie dalej z naszą trójką. Bałam się, czy nasza przyjaźń wyjdzie z tej nocnej masakry bez szwanku. Ranek pokazał, że moje obawy były słuszne — okrzyk „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” przestał mieć rację bytu. Niestety.

* * *

— Kasia, Bartek, chciałam wam bardzo podziękować, że przygarnęliście do siebie starszą waszej koleżanki — mama zebrała nas rano w kuchni. — Obiecuję jak najmniej uprzykrzać wam życie i jak najkrócej korzystać z waszej gościnności — przytuliła ich, potem mnie i zaprosiła nas do stołu na specjalne śniadanie.

Przy okazji porannego spaceru z Niuńkiem, mama zaliczyła spożywcza, żeby skompletować produkty do menu pod kulinarne gusta każdego z nas. I tak na Bartkowe śniadanie składały się zapiekanki z serem, pieczarkami oraz ziołową mieszanką majeranku, curry i granulowanego czosnku.

Mama zrobiła kiedyś takie, będąc u nas w Warszawie — od tamtej pory Bartek uważał jej zapiekanki za bezkonkurencyjne.

Co do Kaśki, to przez dziewiętnaście lat naszej znajomości mama zdążyła poznać jej smakowe upodobania prawie tak dobrze jak moje i Piotrka. Tak się składało, że obie przepadałyśmy za pastą jajeczną. Oprócz tego przysmaku mama zaserwowała naleśniki z nutellą, za którymi przepadaliliśmy wszyscy.

Chociaż śniadanie było niespodzianką, że aż palce lizać, to atmosfera, w jakiej je pałaszowaliśmy, zdecydowanie odbiegała od miłej. Nasza trójka, poza grzecznościowymi zwrotami typu: „podaj mi cukier, proszę”, nie odzywała się do siebie.

Całe szczęście mama była za bardzo przejęta, żeby zauważyć, co się dzieje. Rano zadzwonili do niej z biura rachunkowego, do którego wysłała swoje CV i teraz — w biegu dopijając kawę — szykowała się do wyjścia na rozmowę o pracę.

— Powodzenia — pożyczyliśmy jej, pozornie zgodnym chórem.

Musiała wyłapać jakąś fałszywą nutę, bo nagle zawróciła, mówiąc:

— Kochani, nawet nie wiecie, jak się cieszę, że Zośka ma takich przyjaciół.

Stres zdecydowanie stępił przenikliwość mojej mamy. Jednak miałam nadzieję, że to, co powiedziała, roztopi lód, jaki w tej chwili skuwał relacje naszej trójki. Niestety — przyjaźń między mną, Kaśką i Bartkiem weszła w stan krytyczny. Gdy tylko rodzicielka wyszła z mieszkania, kuchnię opuściła Kaśka, rzucając suche „dziękuję”, nie wiadomo do kogo, bo nie spojrzała ani na Bartka, ani na mnie. Zaraz potem drzwi wejściowe oznajmiły swoim trzaskiem, że Katarzyna wybyła z domu. W międzyczasie Bartek też wstał od stołu i skupił się na najpilniejszej ze spraw, nie dopuszczającej ani chwili zwłoki — zaczął wkładać naczynia do zlewu.

— Bartek, słuchaj...

— Nie mam teraz czasu, muszę pędzić do pracy.

Kumpel nie chciał słyszeć, co miałam do powiedzenia. Za to bardzo przejął się kolejną ważką kwestią — kto pozmywa po śniadaniu. Zapytał mnie z nienaturalną uprzejmością, czy się tym zajmę, bo jeśli to byłby za duży kłopot, on sam wszystko zmyje po powrocie.

Jasne, że mogłam wyszorować gary. Jako bezrobotna samotnica bez chłopaka, za to z perspektywą utraty przyjaciół, nie miałam się dokąd spieszyć.

Perfekcyjny pan domu uspokojony moją deklaracją czym prędzej ulotnił się z chałupki. Tym sposobem jedyną żywą istotą, do której mogłam zagadać, był Niuniek. Zawołałam go do kuchni.

* * *

Pucując naczynia, zwierzałam się psince ze swoich smutków i smuteczków, a Niuniek dzielnie brał je wszystkie na swoją miniaturową klatę.

Streściłam yorkusiovi wczorajszą rozmowę z Szymonem — w końcu czworonóg przespał moment, kiedy dałam upust emocjom przed hotelem. W kółko wałkowałam w głowie to, co aktor powiedział o sobie i brunetce. Próbowałam zrozumieć, jak mógł kłamać mi w oczy, że nie są razem, skoro w gazecie zapewniał o miłości do Ingi i szczęśliwym związku.

— Niuniek, co on chciał mi wmówić? Że oszukał dziennikarkę, pół Polski i dziewczynę pozującą z nim na okładce? A nawet jeśli, to i tak jest łgarzem! Jakby nie było, okłamał jedną z nas! — Pies oderwał się od wyjadania pasty jajecznej z salaterki i obdarzył mnie spojrzeniem, z którego wyczytałam, że totalnie się ze mną zgadza.

— Niuniek, a czy według ciebie to możliwe, żeby najlepsi kumple w ciągu jednej nocy stali się dla siebie zupełnie obcy?

Miniatura, merdając ogonkiem, zanurzyła pyszczek w miseczkę z chrupkami — co przetłumaczyłam jako:

— Zośka, weź i nie bredź! Jarek Darski, mówi ci to coś?! Ogarnij żeż ten motyw, dziewczyno!

— Niunio, dzięki za wsparcie!

Pogilgałam yorkusia za uszkiem, tak jak lubił. Byłam gotowa posłuchać rady mojego wiernego przyjaciela w miniaturze.

* * *

Zanim wyszłam z domu, milionowy raz tego ranka sprawdziłam komórkę — w celu upewnienia się, czy aby na sto procent nikt nie dzwonił, kiedy oddawałam się porannej toalecie. I, jak za każdym poprzednim razem, miałam zero nieodebranych połączeń oraz tyle samo

nieprzeczytanych esemesów. Poczułam zawód.

Nie chodziło o to, że tęskniłam za telefoniczną paplaniną z kimkolwiek. Byłam rozczarowana, bo nie zadzwonił ten jeden, konkretny numer. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i ku swojej wściekłości czekałam na telefon od kolesia, który w drodze do hotelu Bristol powiedział mojemu kumplowi, że jak mu na kimś zależy, to nigdy nie odpuszcza.

— Zośka, ty musisz sobie odpuścić — tym razem to nie był głos Niuńka, tylko mój własny.

Wiedziałam, że nie powinnam myśleć o Szymonie, bo tylko powiększam siniaki na i tak już bardzo poobijanym sercu. Ale chociaż próbowałam wykasować aktora ze swojego dysku pod kopułką, to on, jak wirus dobrego hakera, nijak nie dawał się usunąć.

* * *

Nie zdążyłam odpalić holendra spod bloku, a odezwał się pierwszy „wilk”, wywołany — z gąszczy abonentów sieci komórkowych — przez moje notoryczne gapienie się na wyświetlacz. Niespodziewanie dzwoniącym okazał się mój brat. Jego telefon był początkiem czarnej serii.

* * *

...żeby wszystko było dobrze — zakończyłam pogawędkę z lokatorami murowanej rezydencji, o którą zahaczyłam w drodze do poradni Jarka Darskiego.

Spojrzałam na twarze kilku innych gości, zastanawiając się, czy należą do stałych bywalców, czy przypominają sobie o tych gościnnych progach tylko od święta lub w chwili trwogi — tak samo jak ja. Mimo że na co dzień nie byłam wzorową owieczką, to dzisiaj zajrzałam do kościoła przy Rakowieckiej, licząc — jak zawsze w sytuacjach podbramkowych — że Dobry Pasterz przyknie oko na moje słabsze momenty i pomoże mi się ogarnąć.

Moja wizyta była bezpośrednio związana z telefonem brata, a także z połączeniem, które odebrałam zaraz po tym pierwszym.

Piotrek w pierwszym zdaniu oznajmił mi, że nie telefonuje, żeby pogadać — tak banalnym powodem przy wybieraniu czyjegoś numeru mogła kierować się cała reszta ludzkości. Mój brat na odwrót: zakomunikował, że dzwoni, bo właśnie nie ma czasu na gadkiszmatki. Jedynie chce mi przekazać, że nie pracuje już u pana Chana i że bym go tam absolutnie nie szukała. Moją próbę wydobywania z niego jakiegoś konkretnego zbył krótkim:

— Dam znaka potem.

I było po rozmowie.

Odezwała się moja kobieca intuicja, siódmy zmysł albo zwyczajnie dobrze znałam brata. Tak czy inaczej — wyczułam kłopoty. Już w tym momencie pomyślałam, że do Jarka Darskiego mogę pojechać trasą obok kościoła jezuitów. W tym, że to dobry pomysł, upewniłam się po przepedałowaniu kolejnych kilkunastu metrów — wtedy komórka ściągnęła mnie z roweru po raz drugi.

Tym razem dzwoniła mama. Zgodnie z tym, jak się umówiłyśmy, miała mi dać znać, jak jej poszła rozmowa. Niestety — nie poszła. Ogólnie usłyszała, że wszystko ma niewystarczające: kwalifikacje, umiejętności, doświadczenie. Okazało się, że praca w tym samym urzędzie pocztowym przez wiele lat świadczyła o jej charakterologicznym braku predyspozycji do podejmowania nowych wyzwań. Uff... Mama starała się wypaść na twardzielkę, której tak drobne niepowodzenie nie jest w stanie choćby o milimetr wyprowadzić z równowagi. Tylko że

im bardziej starała się żartować z rekrutacji w biurze rachunkowym, tym wyraźniej słyszałam, że tak naprawdę jest załamana jej przebiegiem. Gorzej — traciła wiarę w znalezienie pracy.

Dlatego po odbyciu rozmów z dwoma członkami najbliższej rodziny oraz pośrednio powodowana ogólną nie najlepszą sytuacją osobisto-przyjacielsko-zawodową, uznałam, że nie zaszkodzi zwrócić się do opatrności. Jej siedziba pod wezwaniem świętego Andrzeja Boboli była moim ulubionym warszawskim kościołem. Nie ze względu na piękno architektury — żelbetonowy koszmarek, jaki straszył obok starej kaplicy jezuitów, wywoływał wszystkie reakcje z wyjątkiem zachwytu. Miałam z tym kościołem ciepłe wspomnienia — kojarzył mi się z pierwszą wizytą w stolicy.

Ową podróż odbyłam w wieku lat dziesięciu wraz z babcią Renią i pięcioletnim Piotrkim.

Babcia zabrała nas do Warszawy, gdyż przykościelny chór, w którym była pierwszym sopranem, został zaproszony do stolicy przez swój śpiewający odpowiednik z parafii świętego Andrzeja Boboli.

Po przybyciu na miejsce Reginka i jej koleżanki zajęły się próbą przed występem na festynie, zaś opiekę nad nami objął przedstawiciel gospodarzy z zakonu jezuitów. Sędziwy ksiądz Grzegorz zaczął naszą wycieczkę od największej tamtejszej atrakcji: zabrał nas do krypty z doczesnymi szczątkami Andrzeja B.

Już sam szkielet w oszklonej trumnie — mimo całej swojej świętości — zrobił na mnie, a tym bardziej na smyku Piotrku, piorunujące wrażenie. Sympatyczny ksiądz, chcąc jak najlepiej zapoznać nas z żywotem patrona Polski, opisał nam — niezwykle malowniczo — tortury, jakim ów zawdzięczał literki „św.” przed nazwiskiem.

Wbijanie drzazg w paznokcie, przypiekanie na wolnym ogniu, odcinanie płatów skóry, odrąbywanie palców... tyle wystarczyło, żeby mnie doprowadzić do płaczu, a u Piotrka wywołać histerię.

Na koniec na otarcie łez dostaliśmy po egzemplarzu „Biblii dla najmłodszych” i od tamtego czasu utrzymywaliśmy z zakonikiem Grzegorzem kontakt. Zawsze na święta wysyłałam sobie kartki, a gdy zaczęłam studiować w Warszawie, wpadałam do duchownego — już wtedy starowinki — na bajaderkę z cukierni obok jezuickich włości.

Ksiądz Grzegorz dołączył do swojego patrona rok temu — dożył stu jeden lat i do końca uwielbiał opowiadać o męce świętego Boboli z najdrobniejszymi szczegółami.

W każdym razie zawsze jak miałam do pogadania z Panem światła i ciemności, to zaglądałam do jezuitów przy Rakowieckiej.

Lecz ta wizyta w świętym domostwie — dobitniej niż wszystkie poprzednie — dała mi odczuć na własnej skórze, jak niezbadane bywają boskie wyroki.

* * *

Gdy mknęłam ścieżką rowerową przez Pola Mokotowskie, komórka odezwała się po raz trzeci... Czy zignorowałam melodyjkę alarmującą o połączeniu i pojechałam dalej? Otóż zrobiłam dokładnie na odwrót.

— Przecież to mógł być Szymon!

Oczekiwanie na telefon od osoby, która — jak twierdziłam — dla mnie nie istniała, było tak irracjonalne, że wkurzało mnie samą. W końcu wygmeralam z torebki komórkę i z bijącym — irytująco głośno — sercem spojrzałam na wyświetlacz. Mimo że dzwoniącym nie był Szymon, nie czułam rozczarowania. Tego rozmówcy wyczekiwałam jeszcze bardziej. Odebrałam z radością, przekonana, że Kaśka dzwoni na zgodę.

Po jej pierwszych słowach przestałam się uśmiechać, a gdy skończyłyśmy rozmawiać, miałam oczy wilgotne od łez.

Przekaz Kaśki był jasny i krótki — wobec tego, co zaszło między nami, nie wyobraża sobie dalszego wspólnego mieszkania. Tylko ze względu na moją mamę — nasze kłopoty finansowe — nie wyprowadzi się od razu. Dopóki nie znajdzie kogoś na swoje miejsce, zostanie w mieszkaniu. Tyle. Plus chłodne „cześć” i długi sygnał w słuchawce.

Ciężko określić jednym, a nawet kilkoma słowami, co poczułam. Ja i Kaśka byłyśmy jak siostry. Myślałam, że po kilku cichych dniach jej przejdzie i wszystko będzie dobrze. Przecież takiej przyjaźni jak nasza nic nie mogło zniszczyć! A jednak coś się znalazło — mieszanka ekstremalnych emocji. Ból i żal po nieszczęśliwej miłości oraz wściekłość za poniżenie na oczach faceta, który dostarczył owych cierpień, wysadziły naszą przyjaźń w niebyt.

Jak na streszczeniu poprzedzającym kolejny odcinek serialu przeleciały mi przed oczami najważniejsze wydarzenia z mojego życia: upadek Piotrka z huśtawki, wyjazd taty do Australii, zawał mojej ukochanej babci Reni... Kaśka zawsze była przy mnie. Kiedy zapłakana próbowałam wyobrazić sobie coś niewyobrażalnego, czyli mój świat bez przyjaciółki, telefon zadzwonił czwarty raz. Ale teraz tak nienawidziłam już nie tylko komórki, ale nawet wynalazcy tego upiornego przekaźnika złych wiadomości, że nie patrząc, kto dzwoni, cisnęłam aparatem do oczka wodnego za sobą. Tyle że wykonując rzut w pół obrotu, nie zauważyłam dwóch dziewczynek siedzących na murowanej obudowie sztucznego zbiornika i dokładnie w nie wycelowałam.

Szczęśliwie koleżanki wykazały się refleksem i w ostatniej chwili uchyliły się przed lecącą wprost na nie komórką. To jednak nie zapobiegło tragedii.

— O boniu!

Słyszac rozdzierający krzyk jednej z nich podbiegłam do szósto lub pięcioklasistek (na oko wyglądały na późną podstawówkę).

— Coś ci się stało?

— Wpadła mi do bajora zawieszka! — beksa toczyła łzy jak grochy.

— Co takiego?

Na to jej koleżanka pokazała mi na swoim ręku sznureczek z dyndającą blaszką w kształcie psa, dodając:

— Jej była taka... tylko trochę inna! Bo ja wolę psy.

Beksa, chlapiąc, potwierdziła słowa koleżanki i sprecyzowała, że jej zawieszka była w kształcie kotka, bo kotki kocha tysiąc razy bardziej niż psiaki. Okazało się, że w momencie gdy zdecydowałam się na brutalne rozstanie z komórką, płaczka zdjęła bransoletkę, żeby zmniejszyć obwód sznurka. Robiąc unik przed telefonem, wypuściła błyskotkę z łapek. I teraz mnie obwiniła za poniesioną stratę.

— Teraz musisz ją znaleźć!

— Słuchaj, naprawdę mi przykro, że twoja zawieszka wpadła do wody, ale muszę pędzić na ważne spotkanie, tak że sorry — faktycznie spieszyłam się do Jarka Darskiego, ale znowu nie tak bardzo. Nie byłam umówiona na konkretną godzinę.

Tak naprawdę nie chciało mi się taplać w akwenu, który służył za basen hordom psów z górnego i dolnego Mokotowa.

Kiedy oddaliłam się w kierunku roweru, beksa z koleżanką zdjęły buty, podwinęły szorty i weszły do oczka.

— Całkiem wypasiona ta twoja komórka.

Wsiadłam na holendra tylko po to, żeby za sekundę z niego zejść. Koleżanka beksy wynurzyła spod tafli rękę z moim przemoczoną telefonem.

— Chłopaki z klasy skopiują pamięć i będzie niezła beka z twoich zdjęć!

Zaniepokoiłam się — być może nieco zbyt pochopnie pozbyłam się komórki.

Z doświadczenia wiedziałam, że spece z punktów naprawczych byli w stanie odzyskiwać dane z telefonów po przejściach. Oblatani w kompach gówniarze też spokojnie mogli posiadać takie umiejętności, jeśli nie większe. A w tej komórce pod postacią esemesów, zdjęć i mejli było zapisane ostatnie pół roku z mojego życia. Dokładnie sześć miesięcy temu wymieniałam komórkę na model nówka sztuka.

Poprosiłam małą o zwrot mojej własności, a wtedy usłyszałam od pyskatej siksy, że skoro wyrzuciłam komórkę, a ona ją znalazła, to telefon jest jej. Dostałam ultimatum: komórka za pomoc w mokrej robocie.

Tym sposobem spędziłam ponad godzinę, brodząc w mętnej wodzie. Sama. Dwie bestyjki wyczuły, że zależy mi na odzyskaniu telefonu i wzięły na siebie kierowanie moimi pracami z murka. A że do dyrygowania miały wyjątkowy talent, byłam pewna, że w przyszłości daleko zajdą.

— Mam! — jakimś cudem wymacałam na betonowym dnie zgubę.

Wyciągnęłam z wody kotka na sznurku. Gdy zobaczyłam, że jest na nim wygrawerowane:

$K + Z = FF$

...doznałam déjà vu. Jakoś w gimnazjum dostałam od Kaśki rzemyk z metalowym amuletem, na którym był niemal identyczny grawer jak ten. Różnił się tylko literkami po znaku równości. Poprosiłam swoje młodsze koleżanki o wyjaśnienie skrótu "FF"

— Friends Forever!

Wyciągnęły w moim kierunku swoje zawieszki — dopiero teraz przypomniałam sobie, że ja lata temu zgubiłam swój wisiołek od Kaśki.

— Tylko nie mówcie, że się nazywacie Kaśka i Zośka?

„Przyjaciółki na zawsze” popatrzyły na mnie zdeglustowane, że w ogóle mogłam je posądzić o tak obciachowe imiona. Beksie rodzice dali na chrzcie Klara, a jej koleżance — Zuza.

Przygoda z małolatami natchnęła mnie pewnym pomysłem — wiedziałam, dokąd skieruję rower po spotkaniu z Jarkiem Darskim. Ale wcześniej musiałam jeszcze dojechać do jego poradni. Odkąd utopiona komórka przestała spowalniać drogę, moje szanse na dotarcie do celu wzrosły.

Nagle strach zaczął mnie zjadać z coraz większym apetytem, a to oznaczało jedno: kilkudniowa pielgrzymka do miejsca przeznaczenia zbliżała się do końca. Nieubłagalnie.

* * *

— Cześć, kosmitko...

Odwróciłam się — korytarzem poradni szedł w moją stronę Szymon.

— Jak mnie tu znalazłeś?

— Mam swoje sposoby. Zosia, muszę ci coś powiedzieć...

Szymon nachylił się nade mną i szepnął mi do ucha:

— Eibotejs szuuuu...

— Szymon, nie znam tego języka.

— To język miłości, kosmitko... — nagle głos Szymona stał się jakby bardziej kobiecy.

— Zosia, halo...

I wtedy się obudziłam.

Nade mną pochylała się doktor Marta. Chwilę mi zajęło ogarnięcie sytuacji — Szymon

odwiedził mnie tylko we śnie, niestety. Ale co tu robi Marta? Przecież jechałam do poradni Darskiego. Jak znalazłam się w jej szpitalu? Ogarnęła mnie panika — czyżby moje skołowanie było wynikiem kontaktu z napojem wysokowym w rodzaju metaxy? Spokojnie, powoli, myśl... No i wszystko sobie złożyłam.

Byłam w poradni, ale kiedy tam dotarłam, okazało się, że Jarosław Darski jest w trakcie sesji z pacjentem. Toteż zapadłam się w sztruksową kanapę w poczekalni. Jej milutka faktura podziałała na mnie odstresowująco i odpłynęłam.

A Marta wpadła do męża, żeby podrzucić mu klucze od domu, których zapomniał — i tym sposobem się na mnie natknęła.

— Bardzo fajnie, że w końcu pogadacie z Jarkiem. — Marta nie dopytywała, czemu do naszej rozmowy nie doszło kilka dni wcześniej, tylko się uśmiechnęła.

Zrozumiałam, dlaczego polubiłam lekarkę od pierwszego momentu: promieniowała życzliwością. Podziękowała mi za wczorajsze odebranie pana Tobiasza ze szpitala — martwiła się, jak wybrnąć z naszego oszustwa. Według mnie nie trzeba było niczego tłumaczyć — pan Tobiasz wyzdrowiał, opiekunka nie była mu już potrzebna i koniec sprawy.

Zresztą, planowałam dzisiaj do niego zajrzeć (żeby oddać metaxę — ten szczegół pominęłam), więc przy okazji zorientuję się w sytuacji. W tym momencie urwałyśmy, bo na korytarzu pojawił się Jarosław Darski.

Marta cmoknęła męża, z czułością poprawiła mu zawinięty kołnierz od koszuli, dała klucze i popędziła na dyżur. Kiedy mnie mijała, uniosła kciuk do góry — dlatego wchodząc za Darskim do jego gabinetu, poczułam, że może nie będzie najgorzej. Ale ledwo zamknęły się drzwi, straciłam nadzieję na pozytywny finał.

* * *

Ja odezwałam się pierwsza. Zaczęłam od przeprosin za swoją szczeniacką ucieczkę sprzed kilku dni i tamtą sprzed roku. Psychoterapeuta słuchał mnie z nieodgadnioną miną. W końcu przemówił — wyjaśnił, że użył wtedy ostrych słów, bo zależało mu, żebym potraktowała je bardzo serio. Akurat o to nie musiał się martwić, od tamtego czasu wiernym towarzyszem moich dni i nocy było zdanie:

— Nie nadajesz się do tej roboty.

Gorzej — Darski wcale się z niego nie wycofał. Zaznaczył jedynie, że nie miał szansy doprecyzować swojej wypowiedzi, bo dałam dyla. Dlatego teraz chciał dokończyć to, co wtedy zaczął.

Byłam pewna, że tego, co teraz usłyszę, też długo nie zapomnę — miałam rację.

Jarek Darski wyjaśnił, że obserwując mnie przez tamte trzy tygodnie, zauważył, że jestem bardzo uczuciowa i zbyt łatwo daję się ponieść emocjom. To jest moja pięta achillesowa. A w pracy psychoterapeuty dystans i umiejętność obiektywnej oceny stanu pacjenta to podstawa.

Zrozumiałam — ja takowych nie posiadałam, dlatego powinnam pomyśleć o innym zawodzie. To był gwóźdź do mojej trumny, w której na pochówek czekały już marzenia: o szczęśliwej miłości, przyjaźni na wieki, a teraz mogłam dołożyć do nich wizję siebie jako dobrej psychoterapeutki. Podziękowałam za poświęcony czas i ruszyłam do drzwi.

— Zosia, chyba mnie źle rozumiałaś. Mówiąc, że się nie nadajesz, nie miałem na myśli, że „w ogóle”, tylko „na razie”. Po prostu musisz popracować nad sobą, ale uważam, że warto, bo masz „ucho do ludzi”, jak to ujęła moja żona.

Po czym psychoterapeuta zaproponował mi... pracę jako psycholog pierwszego kontaktu — jak określił moje stanowisko. Miałam udzielać porad osobom, które po raz pierwszy zgłaszały

się do poradni. Chodziło o wstępne określenie problemu pacjenta i wskazanie sposobu pomocy.

— Cały etat, trzy tysiące trzysta brutto. To żadne kokosy, ale więcej na razie nie mogę zaproponować. Odpowiada ci to?

Rany, człowieku, przed chwilą byłam bez pracy i żegnałam się z marzeniem o karierze psychologa! A ty nie dość, że je właśnie spełniasz, to jeszcze chcesz mi za to płacić! Szczerze? Bosko! — chciałam mu to wszystko wykrzyczeć w twarz, ale zgodnie z radą jego samego wcisnęłam emocjonalny hamulec.

— Tak.

Darski postawił też warunek: miałam z nim konsultować wszystkie przypadki, żebym — poprzez wspólną analizę — mogła zobaczyć, co robię dobrze, a nad czym powinnam popracować.

— Zgadzasz się na to, Zosiu?

Jasne! Panie Darski kocham pana! — tak by było bez hamulca, a z nim jest:

— Tak, oczywiście.

Darski podał mi rękę.

— Do zobaczenia jutro, zaczynasz o dziesiątej.

* * *

Gdy wyszłam z poradni, zatęskniłam za komórką — chciałam się podzielić dobrymi nowinami i nie miałam jak. Inna sprawa, że jedyną osobą, która odebrałaby ode mnie telefon, była moja mama.

Tak czy inaczej, prując na rowerze pod adres zgapiony od K + Z z Pól Mokotowskich, sama musiałam się cieszyć pierwszym sukcesem od wielu miesięcy. Nawet billboard z Szymonem i zjawiskową Ingą, który minęłam po drodze, nie popsuł mi radości. W każdym razie nie do końca.

W sklepie z zawieszkami powiedziano mi, że z moim zamówieniem wyrobią się dopiero na siedemnastą, czyli miałam dwie godziny luzu.

Postanowiłam wykorzystać ten czas na uregulowanie jednego długu.

Ciągle oszalała ze szczęścia, z metaxą w rękę, zapukałam do drzwi pana Tobiasza. Emeryt otworzył, a kiedy weszłam do mieszkania, zaskoczył mnie oryginalnym powitaniem.

— Albo powiesz kim jesteś, albo sam to z siebie wyciągnę, oszustko — senior przekręcił zamek typu skarbiec. I tak mój dobry nastrój został po drugiej stronie drzwi.

* * *

Może dlatego, że byłam świeżo po podpisaniu umowy o pracę na stanowisku psychologa-konsultanta, to ze spokojem przyjęłam nieco dziwne zachowanie emeryta. Wyciszyłam swoje emocje i zamieniłam się w słuch, umożliwiając panu Tobiaszowi wykrzyczenie — dosłownie — tego, co mu leżało na duszy.

Po tym, co usłyszałam, drugi raz w ciągu niecałych trzydziestu minut doceniłam walory posiadania komórki i musiałam zwrócić honor wynalazcy tego telefonu. Gdybym miała przy sobie działający aparat, oszczędziłabym emerytowi nerwów i smutku. A teraz starszy pan płakał — poniekąd przeze mnie.

Zaczął się od tego, że chciał swoim Poldkiem zrobić rundkę po Warszawie, bo — jak wyjaśnił — bardzo stęsknił się za kółkiem. Tyle że pod samym domem trafił kołem na dziurę w jezdni i z miejsca zadzwonił po drogówkę, żeby:

— Te nieroby zainteresowały się kraterem zagrażającym bezpieczeństwu na drodze!

A ci owszem, przyjechali, ale zamiast na dziurze, skupili się na prawie jazdy pana Tobiasza. Konkretniej — zainteresował ich fakt, że senior go nie posiadał, gdyż dokument został mu odebrany. Trzy miesiące temu wjechał w parkometr, którego nie zauważył. Wtedy okazało się, że ma poważną wadę wzroku — co akurat dla mnie nie było zaskoczeniem. Mimo że sprawił sobie mocne szkła, to i tak nie widział na tyle dobrze, by móc prowadzić wóz.

Mundurowi wypisali mu mandat i w związku z tym pan Tobiasz próbował się do mnie dodzwonić — nie miał nikogo innego, z kim mógłby o tym porozmawiać. Tyle że ja nie odebrałam. I wtedy niecierpliwy emeryt wykręcił numer syna. Chciał od niego numer agencji, przez którą mnie wynajął do opieki, żeby za jej pośrednictwem dać mi znak, bym:

„Raczyła oddzwonić, do ciężkiej cholery, do cholery jasnej!”

Tym sposobem wyszło na jaw oszustwo moje i Marty, co zresztą lekarka przewidziała. Dlatego od progu pan Tobiasz przyszpilił mnie pytaniem, skąd się wzięłam w jego życiu.

— Przez przypadek. — I opowiedziałam mu, jak zmasakrował mi holendra, jak przez Poldka namierzyłam, gdzie mieszka, a potem jak znalazłam go nieprzytomnego w mieszkaniu.

Gdy skończyłam, chwilę siedzieliśmy w ciszy. Tylko gwarek po swojemu skomentował sytuację.

— Faj-tła-pa.

A później pan Tobiasz opowiedział mi, jak to się stało, że nie ma kontaktu z własnym synem. Rozstał się z żoną, gdy chłopiec był mały — oni wyjechali do Gdańska, on został w Warszawie. I zanim się zorientował, syn stał się dorosłym mężczyzną, dla którego on był co najwyżej dalekim znajomym.

— Nie zaprzyjaźniłem się z Jurkiem, więc jak miał wyrosnąć ma mojego przyjaciela? — pan Tobiasz za pomocą chustki osuszył policzki.

A ja zdałam sobie sprawę, że jego historia coś mi przypomina. Mój tata też z roku na rok stawał się dla mnie i Piotrka coraz dalszym znajomym. Dotarło do mnie, że może powinnam coś z tym zrobić, w każdym razie przynajmniej spróbować...

— Zostałem taksówkarzem, bo kocham prowadzić samochód, a teraz odebrano mi nawet i to — znowu stawiał opór strumykom pod oczami. — Będę musiał sprzedać Poldka. Samochód musi jeździć, inaczej traci duszę, a to autko — zawiesił głos, szukając właściwego słowa — to mój druh. Tyle razem przeżyliśmy...

I wtedy pomyślałam o mamie — nagle wpadłam na pewien pomysł...

Tak się zagadaliśmy, że wyszłam z mieszkania emeryta po osiemnastej. Musiałam się spieszyć, żeby zdążyć odebrać zawieszki przed zamknięciem sklepu. Głos pana Tobiasza dogonił mnie na schodach.

— Wiesz, Zosia, mój dziadek mówił, że przypadki są tylko w gramatyce, a w życiu wszystko dzieje się po coś. Teraz jestem pewien, że miał rację.

* * *

Pedałując do domu, zastanawiałam się nad filozofią życiową dziadka pana Tobiasza — jednak nie zdążyłam dojść do jakiegokolwiek konkluzji w temacie „co rządzi światem: przypadek czy przeznaczenie”. Moje myśli powędrowały w stronę radiowozu, który parkował przed naszą klatką. Gdy podjechałam nieco bliżej, dostrzegłam obok wozu znajomą twarz starszego aspiranta Zbigniewa Kuźmicza. Zbliżywszy się jeszcze kapkę, zobaczyłam, że policjant rozmawia z jakimś kolesiem — po sportowym stroju rozpoznałam w nim Dresę od Niufa. Zwiększyłam prędkość i zobaczyłam, że w otwartych drzwiach radiowozu siedzi moja mama

z yorkusiem na rękach. Teraz depnęłam w pedały po całości. Kilka sekund później hamowałam już z piskiem opon na miejscu zdarzenia.

— Zosia, za nieprzepisową jazdę na rowerze też można zarobić mandacik.

— Skąd pan zna moją córkę?

— Mamo, co tu się dzieje?

— Jak się chce być na bieżąco, to trzeba mieć włączoną komórkę, proste.

Musiałam przyznać Dresowi rację, zresztą tego wieczoru jeszcze kilka razy miałam okazję się przekonać, że lepiej żyć z komórką niż bez niej.

Okazało się, że mama — będąc na spacerze z Niuńkiem — trafiła na Dresę. Ten, powróciwszy ze swojej eskapady, zjawił się, żeby odebrać Niuńka. Mama, nie wiedząc, kto zacz, podejrzewała, że Dres chce ukraść psinkę. Ponieważ nie mogła się do mnie dodzwonić, wezwała policję. Pan Zbyszek, słysząc w radiostacji, że niejaka Morawiec zgłosiła próbę kradzieży yorka, skojarzył moje nazwisko i na ochotnika zgłosił się do tej interwencji. Założę się, że teraz musiał tego żałować, nie mogąc za nic opanować naszej wścieklej awantury o Niuńka.

— Słuchaj, kolego, oddałeś mi Niuńka, więc pies jest mój — zastosowałam argumentację podłapaną od koleżanki beksy znad oczka.

— Nie oddałem, tylko powierzyłem. Dzięki za opiekę, Niuniek, idziemy do domu.

— Niuniek, zostań.

Yorkus biegł ode mnie do Dresy i z powrotem. Tyle że my — klóćąc się o Niuńka — nie pomyśleliśmy o nim samym. Dopiero mama postawiła nas do pionu.

— Dostyc tego, ta psinka cała drży ze stresu! — mama stanęła między mną a Dresem.

— Jeśli wam zależy na Niuńku, to nie możecie kazać mu wybierać między wami.

Spojrzeliliśmy z Dresem na siebie — było mu tak samo głupio jak mnie. Ustaliliśmy, że będziemy się opiekować yorkusiem na zmianę — jeden tydzień on, drugi ja. Potem przeprosiliśmy psinkę, gilgając ją za uszami — ja za prawym, Dres za lewym. Niuniek załapał, co mu chcemy powiedzieć — na znak, że przyjął przeprosiny, uderzył w swój zwyczajowy jazgot.

Zgodziłam się, żeby tego wieczoru Dres zabrał yorkusia do siebie — mimo że Niuniek znalazł u nas drugi dom, to pewnie musiał się stęsknić za tym pierwszym. Pożegnałam się z miniaturą — patrząc, jak truchta za Dresem, pomyślałam, że czeka mnie cholernie smutny wieczór: bez Niuńka, bez przyjaciół, za to ze złamanym sercem.

— Siema siostra, będę tatą — Piotrek wyłonił się zza bloku z uśmiechem od ucha do ucha, nie zauważając mamy siedzącej w drzwiach zaparkowanego nieco dalej radiowozu.

— Słucham?

— Mama? Nie wróciłaś do Kielc?

Piotrek był kolejną ofiarą mojej wojny z komórką — próbował się do mnie dodzwonić, żeby ustalić, czy mama wyjechała. Nie odbierałam, więc poszedł na żywioł.

Po minie rodzicielki wiedziałam, że to nie będzie ciężki wieczór — czekała nas apokalipsa. Pan Zbyszek taktownie zawiązał się radiowozem, zostawiając nas w rodzinnym sosie. Na pożegnanie rzucił do mamy, że bardzo mu było miło ją poznać. Pewnie równie bardzo jej współczuł z powodu upiornych dzieci.

* * *

Tak jak przewidziałam — rozmowa była ciężka. W skrócie: Piotrek spotykał się z córką swojego — byłego już — szefa, pana Chana. Su Li była o rok starsza, studiowała anglistykę i, co w naszym przypadku najistotniejsze, była z moim bratem w ciąży. Konkretnie — w drugim

miesiącu. Pan Chan w podziękowaniu za zrobienie go dziadkiem wyrzucił Piotrka z pracy. Za to Piotrek bardzo się cieszył z dziecka, bo, jak oznajmił:

— Su Li jest dziewczyną z moich snów.

Kiedy skończył, mama wbiła go w głębę: że nie ma pojęcia, o czym mówi, że jest nieodpowiedzialnym smarkaczem itp., itd. Piotrek wytrzymał do:

— Zawiodłeś mnie, synu — po czym ulotnił się z mieszkania.

Na początku też byłam wściekła na brata — dokładnie tak jak mama. Ale on aż promieniał z radości, że zostanie tatą. Starał się jak mógł ogarnąć sytuację.

Powiedziałam mamie, że według mnie przesadziła — wystarczy, że rodzina jego dziewczyny się od nich odwróciła.

— Musimy być w tym razem z nim, w każdym razie ja będę — rzuciłam i też wyszłam z mieszkania.

* * *

Teraz, leżąc na bluzie w parku, próbowałam obiektywnie ocenić sytuację mojej rodziny po dzisiejszym wieczorze. Rozumiałam, dlaczego mama była aż tak ostra dla Piotrka — bała się, że nie będzie w stanie mu pomóc, za co obwiniała samą siebie.

Spojrzałam w górę na bujną, dębową czapę — w jej cieniu ja, Kaśka i Bartek świętowaliśmy sukcesy, opłakiwaliśmy porażki, ale najczęściej po prostu leżeliśmy sobie na trawie, gadając o wszystkim i o niczym. Nazywaliśmy ten nasz dąb „drzewkiem szczęścia”. Tyle że tego wieczoru byłam pod nim sama...

Nagle usłyszałam szmer. Podniosłam się — w moją stronę szła Kaśka, a z nią Bartek.

— Wiedzieliśmy, że tu będziesz.

Proste — ja też liczyłam, że oni wpadną. W końcu to było nasze miejsce. Nie spodziewałam się jedynie, że zjawią się razem. A to mogło znaczyć...

— Zośka, co jest z twoją komórką!? Wydzwaniałam do ciebie cały dzień! Nagadałam ci głupot i chciałam powiedzieć „sorry”, ale ty byłaś non stop poza zasięgiem...

Tak — ciągle byliśmy przyjaciółmi. Okazało się, że Bartek pojechał na plan do Kaśki i zdobył się na szczerą rozmowę. Przyznał, że wczoraj w hotelu powiedziałam prawdę — kocha Kaśkę i dlatego — mimo że go ostrzegałam, jak to się może skończyć — musiał przyjechać do Bristolu. Bartek poprosił Kaśkę, żeby dali sobie dwa miesiące. W tym czasie chciał wyjechać na jabłka do Niemiec, do znajomego swojego ojca. Wszystko już nagrał — na stacji benzynowej i tak już zdążył podpaść szefowi.

— Zobaczymy, czy za sobą zatęsknimy — Kaśka wytłumaczyła mi ich plan.

Bartek miał wyjechać już w niedzielę. I nagle pomyślałam, że to dobry moment, żeby odkryć nasze „sekrety”.

Doszliśmy do klombu, w którym niemal dwa miesiące wcześniej je zakopaliśmy. Kucnęliśmy, żeby wbić się w ziemię i nagle Bartek krzyknął:

— Stop, dziewczyny! Zrobimy to we wrześnie, jak wrócę.

Zrozumiałam, dlaczego wolał zaczekać — widocznie jego marzenie było związane z Kaśką. Nagle przypomniałam sobie o zawieszkach. Wyjęłam je z kieszeni. Dla Bartka miałam męski model sznureczka, ale na okrągłych blaszkach mieliśmy to samo. Bartek zapytał, co znaczy skrót na końcu.

— Wielka nieskończona przyjaźń! — wykrzyczałyśmy z Kaśką.

Przytuliłam się do nich — dobrze było mieć znowu przyjaciół.

* * *

— A jak z Szymonem? — Kaśka spytała o aktora, gdy byliśmy prawie pod blokiem.

Wzruszyłam ramionami — opowiedziałam jej i Bartkowi o naszej wczorajszej rozmowie przed hotelem.

— Nie dałaś mu szansy się wytłumaczyć — Bartek ruszył z obroną ziomasa. — Może dzwonił? Ale że postanowiłaś wykąpać komórkę, to nie miał szans z tobą pogadać?

— Bartek, gdyby mu zależało, już by tu był.

— Może jest...

W tym momencie Kaśka odwróciła mnie twarzą do billboardu po przeciwnej stronie naszej ulicy — był na nim olbrzymi plakat z Szymonem, który, zamiast wystrzałowej brunetki, obejmował... mnie. Nad zdjęciem był podpis: MEŁAHCOKAZ ĘIS W EIBOT KOSMITKO.

Patrzyłam na billboard oszołomiona, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

— Jaka ładna para...

Obok mnie stanął Szymon, spojrzał na mnie wymownie i dorzucił:

— Ciekawe, co twój chłopak na to...

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię — jasne było, że moja ściema jakimś cudem ujrzała światło dzienne, nawet domyślałam się jakim: Kaśka.

Chwilę milczeliśmy. W końcu on się odezwał: usłyszałam, że wydzwaniał do mnie cały dzień, ale miałam wyłączony telefon. Nie wdając się w szczegóły, wyjaśniłam, że komórka mi się wyładowała — nie chciałam wyjść na jeszcze większą kosmitkę niż w rzeczywistości.

Szymonowi nie udało się skontaktować ze mną, ale za to dodzwonił się do Kaśki... Teraz zrozumiałam, dlaczego ona i Bartek prowadzili mnie jakimiś opłotkami z parku — Szymon musiał mieć czas na ogarnięcie swojej instalacji. Spojrzałam na przyjaciół — pokazali mi po kciuku i wbiegli do klatki.

— Przeczytaj...

Szymon podał mi swoją komórkę — na ekranie był wyświetlony esemes, który do mnie wysłał. Nie była to krótka wiadomość tekstowa. Dotyczyła okładki — z tego, co napisał, wynikało, że wymyślił ten wspólny wywiad, żeby pomóc przyjaciółce w rozkręceniu kariery aktorskiej.

— Udało się?

— Nagle sobie wszyscy o niej przypomnieli. Dostała nawet propozycję reklamy. To był dobry uczynek, nic więcej.

Spojrzał mi w oczy. Nie byłam pewna, czy mówi prawdę — w końcu był aktorem — ale bardzo chciałam zaryzykować i zdecydowałam się mu uwierzyć.

— Możesz mi powiedzieć, co jest napisane przed: kosmitko?

— Zakochałem się w tobie... — Szymon wyjaśnił, że jak się stresuje, to mówi od tyłu. To go rozluźniało, choć nie tak jak terapia... usta-usta. Gdy rozpoczęliśmy wspólny relaks, rozległy się brawa.

Na balkonie mojego mieszkania stali Kaśka, Bartek, mama i Piotrek — uff, pogodzili się.

Widząc przyjaciół i rodzinę w komplecie, oddaliłam się wraz z Szymonem do jego mieszkania, na drugą część antystresowej terapii.

EPILOG

— Gorzko, gorzko... Nie, nie. To nie ja z Szymonem. Buzi nie dają też sobie Kaśka z Bartkiem.

— Cio lat! — tak, to polsko-kantoński dialekt w wykonaniu pana Chana. — Na sowie Su Li i Pi!

Właśnie wypiliśmy kolejny toast za zdrowie młodej pary. Piotrek i Su Li Morawiec mienili się szczęściem — spod sukienki z chińskiego jedwabiu dyskretnie wychylał się trzeci członek ich rodziny. Mój bratanek lub bratanica — państwo Morawcowie zdecydowali, że płeć swojego skarbu poznają dopiero w dniu porodu.

Świętowaliśmy w kafejce „Może & Morze”, w której braciak od trzech tygodni pracował jako kucharz. I, według Oliwki, miał do tego wrodzony talent. Stosunki między Piotrkim a rodzicami Su Li się unormowały — dzięki naszej mamie. Odwiedziła ich, porozmawiali i jakoś zaczęło się układać. Brat jednak nie przyjął propozycji powrotu do baru teścia. Nie chciał być całkowicie zależny od pana Chana — razem z żoną zamieszkali w willi teściów, na poddaszu.

Wśród gości był również pan Tobiasz — odkąd użyczył mamie Poldka, do prowadzenia własnej działalności w postaci przewozu osób, wszedł do rodziny. Mama zabierała go czasem ze sobą na dyżury — tłumacząc pasażerom, że to jej osobisty pilot. Dla niej tęsknota emeryta za kółkiem i adrenaliną związaną z jazdą jest zupełnie zrozumiała — sama uwielbia prowadzić, dlatego kocha swoją pracę taksówkarki. Polonez okazał się całkiem ekonomiczny, bo pan Tobiasz — jeszcze jak sam jeździł taryfą — zamontował mu napęd na gaz. W dodatku robi furorę jako relikw PRL-u. Piotrek przygotował mamie stronę internetową i tym sposobem ma sporo zleceń — m.in. jako limuzyna ślubna — poza korporacją taksówkarską.

Zresztą Piotrek i Su Li też jechali do ślubu z mamą. Mieli jeszcze do wyboru radiowóz — bo pan Zbyszek od czasu spotkania z mamą w sprawie Niuńka coraz częściej się z nią widuje. Nawet próbował coś ruszyć w sprawie oszusta Janusza. Zobaczymy, może coś z tego wyjdzie.

A propos yorkusia, który oczywiście też był obecny na przyjęciu, z Dressem współpracujemy bez zgrzytów. Można nawet powiedzieć, że zaczynamy się kolegować.

Mama zdecydowała się sprzedać mieszkanie w Kielcach — doszła do wniosku, że Warszawa da się lubić. Poza tym dzięki temu mogliśmy się pozbyć tego cholernego kredytu. Nasze M3 poszło za 280 tysięcy. Po spłacie haraczu bankowi zostało około 165 tysięcy. Rozglądamy się za malutką kawalerką dla mamy, a na razie nadal mieszka ze mną i Kaśką.

To znaczy bardziej z nią, bo ja pomieszkuję sporo u Szymona. Konkretnie — coraz częściej.

A Kaśka i Bartek? Przyjaciółka nerwowo zerkała a to na drzwi, a to na komórkę.

* * *

— Tęskniłaś?

— Bardzo...

Bartek pojawił się przed samym końcem imprezy — jego bus miał opóźnienie. Warto było poczekać te dwa miesiące, żeby zobaczyć moich przyjaciół RAZEM, szczęśliwych.

Teraz w czwórkę wracaliśmy jeepem Szymona. Kiedy przejeżdżaliśmy koło parku, Bartek zaproponował, żebyśmy odkopali „sekrety”. Mieliśmy to zrobić po jego powrocie.

* * *

Kiedy — po czterech miesiącach — wydobyliśmy karteczki spod szkiełek i odczytaliśmy swoje marzenia, okazało się, że życzenia każdego z nas dotyczyły pozostałej dwójki.

Napisaliśmy hasłowo: Ja: Bartek — koszulki, Kaśka — miłość, Bartek: Zośka — sajko, Kaśka — ja, Kaśka: Zośka — love, Bartek — dziewczyna.

Cóż, wyglądało na to, że marzenia się spełniły. Zaczynając od Kaśki — stała przytulona do Bartka, który za zarobioną w Niemczech kasę planował wypuścić pierwsze T-shirty ze swoimi nadrukami. Szymon już mu robił reklamę — pozując na ściankach w koszulce od Bartka z napisem: „kocham”, od tyłu. Wreszcie ja — Szymon był moją love, a sajko uprawiałam w poradni Darskiego, z którym się świetnie dogadywałam. A za dwa miesiące zacznę kurs psychoterapii.

Generalnie: ogólny bilans wychodził nam na plus.

Nie umiałam stwierdzić, czy zakopanie „sekrétów” miało jakikolwiek wpływ na to, jak się potoczyły losy naszej trójki. Może tak, może nie.

Nadal też nie wiedziałam, co odgrywa kierowniczą rolę w naszym bytowaniu: przypadek, przeznaczenie, a może opatrność — kto to wie?

Lecz myśląc o mamie, Piotрку, naszej trójce, Szymonie, o tym wszystkim, co mi się przydarzyło... i o ludziach, których poznałam: panu Tobiaszu, lekarce Marcie, Darskim — coś do mnie dotarło.

Chociaż jesteśmy tak różni, że patrzymy na siebie jak na kosmitów, to wszystkim — oprócz tlenu — do egzystencji niezbędna jest... przyjaźń. Bez niej nie ma ani szczęśliwej miłości, ani rodziny.

A z przyjaciółmi nawet życie jest całkiem do ogarnięcia — serio, tego akurat jestem pewna!

** KONIEC **

Katarzynie Goleni — dziękuję za opiekę literacką.

Karolina Frankowska

Rodzinie — jest dla mnie jak przyjaciele,

przyjaciółom — są dla mnie jak rodzina.

